cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #188 02/2022

Ksiądz Profesor Dariusz Oko

LAUREATEM NAGRODY IM. GRZEGORZA I WIELKIEGO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

ROMEK PISZE POZEW

POLITYK, MILIONER, PRAWNIK I ZAPOMNIANE SKANDALE

ISSN 1895-4960

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI NA PODSTAWIE FOT. MARCIN GADOMSKI/PAP, ADOBE STOCK

eprasa.pl 14a99e893b

NASZ LAUREAT ▼ 6–9

Nasza historia to wzór i zobowiązanie / 4

TEMAT NUMERU ▼ 10–21

Maciej przy Jaruzelskim, a Roman przy Tusku... / 10

IDEE ▼ 22–34

Czas to pojęcie względne, kalendarz – ideowe / 22

HISTORIA ▼ 36–59

Józef Mackiewicz – bardziej aktualny dziś niż za życia / 36

KRAJ ▼ 60–73

Roma aeterna, czyli pamiętaj, że jesteś człowiekiem / 60

ŚWIAT ▼ 78–97

Polska na pierwszej linii wojny energetycznej z Rosją / 78

Spis treści

NASZ LAUREAT

Z ks. prof. dr. hab. Dariuszem Oko rozmawia Grzegorz Wszołek
Nasza historia to wzór i zobowiązanie 4

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Maciej przy Jaruzelskim, a Roman przy Tusku, czyli prawica według Giertychów 10

Magdalena Nowak
Polityk, milioner, prawnik i zapomniane skandale 14

Ryszard Czarnecki
Giertych. Co się z nim stało? 21

IDEE 22–34

Jakub Augustyn Maciejewski
Czas to pojęcie względne, kalendarz – ideowe 22

Józef Wieczorek
Ku jakiej cywilizacji zmierza świat akademicki 28

Małgorzata Matuszak
Śmierć o całe życie za wcześnie 32

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Józef Mackiewicz – bardziej aktualny dziś niż za życia 36

Ewa Polak-Pałkiewicz
Podajcie mi tylko rękę, Francuzi, będę ocalony! 42

Dariusz Jarosiński
Rosyjska krew, polskie serce 48

Agnieszka Kowalczyk
Słoneczne życie zdobywczyni Pamiru 54

KULTURA

Tomasz Łysiak
Roma aeterna, czyli pamiętaj, że jesteś człowiekiem 60

Olga Doleśniak-Harczuk
Szybko, szybciej... Cranach! 66

Krzysztof Karnkowski
Kometa nad doliną San Fernando 70

ŚWIAT

Piotr Grochmalski
Polska na pierwszej linii wojny energetycznej z Rosją 78

Hanna Shen
Zjednoczony Front, czyli chińskie uderzenie 84

Antoni Rybczyński
GUŁag Putina 88

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Zawirowania w Kazachstanie zwiastują koniec ery Nazarbajewa 94

eprasa.pl 14a99e893b

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Ksiądz Prof. Dariusz Oko laureatem Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Kim są... aniołowie
KATECHIZM INTELIGENTA 27

Ryszard Czarnecki
Witkacy, Ruscy i Jankesi oraz duch cesarzowej „Sisi"
CZARNECKO TO WIDZĘ 35

Marek Kalinowski
Między breakdance a muzyką baroku
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 73

Krzysztof Wołodźko
Ameryka ciężkiej pracy. Reportaż, który boli
DZIENNIK LEKTUR 74

Marcin Wolski
Sztuka apostazji
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Złe skutki zaniedbywania psychologii
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Ksiądz Profesor Dariusz Oko laureatem Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego

Redakcja miesięcznika „Niezależna Gazeta Polska – Nowe Państwo" dokonała wyboru laureata Nagrody im. Świętego Grzegorza I Wielkiego. Statuetka z kryształem górskim – taką postać ma nasz „Grzegorz" – za rok 2021 trafi do rąk Księdza Profesora Dariusza Oko.

Od lat honorujemy osoby, które w sposób szczególny stają w obronie prawdy w życiu publicznym i zgodnie z bardzo znaną nauką patrona naszego wyróżnienia – „Nawet jeśli prawda może powodować zgorszenie, lepiej dopuścić do zgorszenia, niż wyrzec się prawdy" – walczą o wolność debaty publicznej, której bez prawdy by po prostu nie było.

Czcigodnego Laureata Czytelnikom mediów Strefy Wolnego Słowa nie trzeba przedstawiać. Ksiądz Profesor z niezwykłą konsekwencją i odwagą demaskuje zakłamanie współczesnego świata. Również w Kościele katolickim. Nazywa zło złem, ujawnia i opisuje mechanizmy, które mają zmanipulować katolików i oderwać ich od nauki Chrystusa. Wskazuje na cenzurę, którą organizacje lewicowe starają się wprowadzić wobec chrześcijan. Tłumaczy podstępność tych działań, które przedstawiane są ludziom jako wyraz tolerancji, otwartości czy szacunku do drugiego człowieka. Ksiądz Profesor opisuje, w jaki sposób tą chorobą współczesnego świata zainfekowany jest już także Kościół. Jak bezwstydnie bezbożność – poprzez wyrodnych kapłanów – przedarła się do ołtarza i sieje zamęt w sercach i umysłach wiernych. Głośna książka naszego Laureata „Lawendowa mafia. Z papieżami i biskupami przeciwko homoklikom w Kościele" otworzyła oczy dziesiątkom tysięcy czytelników. Przywołana na początku słynna nauka świętego papieża Grzegorza I Wielkiego jak ulał pasuje do aktywności Księdza Profesora Dariusza Oko. Można wręcz powiedzieć, iż czcigodny Laureat żyje wedle zaleceń jednego z najznamienitszych następców świętego Piotra. I nie schodzi z tej drogi, mimo szalonych ataków lewackich aktywistów z Kościoła i spoza niego. Za głoszenie Słowa Bożego i prawdy na temat manipulowania ludzi przez środowiska LGBT Ksiądz Profesor jest dziś prześladowany procesem karnym przez jeden z niemieckich sądów. W perspektywie jest zarówno wysoka grzywna, jak i więzienie. Oto prawdziwy obraz otwartości współczesnego świata – tolerancja dla pochlebców i konformistów, zniewolenie i cenzura dla wszystkich tych, którzy ośmielą się mieć własne zdanie i żyją zgodnie z Dekalogiem. Głos naszego Laureata to sprzeciw wobec dyktatury fałszywej tolerancji i fałszywej wolności. ■

Ksiądz Profesor Dariusz Oko z niezwykłą konsekwencją i odwagą demaskuje zakłamanie współczesnego świata. Również w Kościele katolickim. Nazywa zło złem, ujawnia i opisuje mechanizmy, które mają zmanipulować katolików i oderwać ich od nauki Chrystusa.

eprasa.pl 14a99e893b

Nasza historia to wzór i zobowiązanie

Publiczne, otwarte krytykowanie swoich najwyższych przełożonych w Kościele, tak jak ja to czynię, wymaga wiele odwagi, wiele wiedzy i wiele umiejętności. To jest wielkie osobiste ryzyko. Bardzo niewiele osób na to stać, nawet kiedy widzą wielkie zło systemowe i wielką krzywdę tysięcy osób. Jeżeli ja się na to odważam w imię elementarnej uczciwości i sprawiedliwości, w imię chronienia tysięcy osób najmniejszych i najsłabszych, to wszyscy ludzie dobrej woli powinni stanąć po mojej stronie, a nie po stronie mafii – ktokolwiek by ją tworzył – z ks. prof. dr. hab. Dariuszem Oko, Laureatem Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego, rozmawia Grzegorz Wszołek.

eprasa.pl 14a99e893b

FOT. WOJCIECH PACEWICZ/PAP

▶ Drogi Księże Profesorze, dołączył Ksiądz do grona laureatów Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego wręczanej przez miesięcznik „Nowe Państwo". Ze stanu duchownego wyróżnialiśmy w przeszłości ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego w 2007 roku i ks. Stanisława Małkowskiego w 2011 roku. Gratulujemy!

Bardzo dziękuję, to dla mnie wielki zaszczyt, tym bardziej, że wcześniej laureatami tej nagrody były między innymi tak wspaniałe postacie, jak jeden z najbardziej znaczących polskich profesorów filozofii pan Ryszard Legutko, a także jeden z najlepszych Prezydentów Rzeczpospolitej Polskiej – pan profesor Lech Kaczyński, a zarazem – jako ofiara katastrofy pod Smoleńskiem – męczennik sprawy polskiej. Natomiast Grzegorz Wielki to rzeczywiście wielki papież i wielki święty Kościoła! Najlepszy wzór, jak wytrwale odkrywać prawdę i nią żyć, jak skutecznie tę prawdę głosić i jej bronić. Pomimo wszystkich trudności i niebezpieczeństw. To wielka zachęta i inspiracja, a także wspaniałe wsparcie w moich działaniach.

▶ Potrzebuje Ksiądz dobrych myśli i modlitw? Wsparcia?

Tak, oczywiście, i zdaje się, że wyrażenie takiego poparcia stanowiło istotną część motywacji jury przyznającego mi tę nagrodę. Jest tak po wydawaniu na mnie wyroku w Niemczech za opublikowanie w tym kraju artykułu pod tytułem „O konieczności ograniczenia klik homoseksualnych w Kościele". W pierwszej instancji dano mi do wyboru odsiedzenie czterech miesięcy w więzieniu albo zapłacenie 4800 euro grzywny. Uzasadnienie wyroku jest bardzo wątpliwe i niejasne, bardzo wadliwe od strony prawnej, ale zdaje się w nim sugerować, że obraziłem wszystkich gejów całego świata. To przecież już w tytule widać, że odnosi się on wyłącznie do przestępczej grupy homoseksualnej pośród duchownych, tzw. lawendowej mafii. Zatem, tak samo jak nie odnosi się do wszystkich duchownych, nie odnosi się do wszystkich homoseksualistów. Twierdzić coś innego, to zaprzeczać elementarnym zasadom logiki i gramatyki, to zapewne świadomie kłamać. Wielu widzi w doprowadzeniu do tego zemstę na mnie w wykonaniu właśnie tej „lawendowej mafii". Kiedy napisze się prawdę o mafii, jakoś przeszkodzi w jej działaniu, mafia zawsze się mści, każda mafia, także lawendowa. To już należy do jej przestępczej „natury".

To podobnie, jakby sąd w Mediolanie skazał dziennikarza z Sycylii, który ujawnił machinacje mafii z Palermo, jakoby za obrażanie wszystkich Sycylijczyków. Jeżeli oskarżasz Cosa Nostra, to dopuszczasz się Volksverhetzung, czyli judzenia, podburzania przeciw wszystkim Włochom. Przecież sąd powinien wspierać i chronić takiego dziennikarza, a nie stawać po stronie tak groźnej mafii. Przecież taki dziennikarz na pewno spotka się z zemstą mafii, przed którą sąd powinien go bronić, a nie tę zemstę jeszcze ułatwiać. Przecież publiczne, otwarte krytykowanie swoich najwyższych przełożonych w Kościele, tak jak ja to czynię, wymaga wiele odwagi, wiele wiedzy i wiele umiejętności. To jest wielkie osobiste ryzyko. Bardzo niewiele osób na to stać, nawet kiedy widzą wielkie zło systemowe i wielką krzywdę tysięcy osób. Jeżeli ja się na to odważam w imię elementarnej uczciwości i sprawiedliwości, w imię chronienia tysięcy osób najmniejszych i najsłabszych, to wszyscy ludzie dobrej woli powinni stanąć po mojej stronie, a nie po stronie mafii – ktokolwiek by ją tworzył. Przede wszystkim należałoby tego oczekiwać od sądu demokratycznego państwa.

▶ Księdza poparło kilkadziesiąt tysięcy osób w petycji „Brońmy ks. Oko". Spodziewał się Ksiądz takiego odzewu?

W przekonaniu wielu ludzi niesprawiedliwość tego wyroku aż „woła o pomstę do nieba". Dlatego pod petycją w mojej obronie podpisało się już ponad 55 tys. osób i można to czynić dalej na stronie bronmyksiedzaoko.pl, o co bardzo proszę. Petycja i jej uzasadnienie są sformułowane także w języku angielskim i niemieckim, dlatego jak najbardziej można i należy wysyłać ją do znajomych i przyjaciół za granicą. Ludzie czynią to chętnie, bo widzą tę sprawę podobnie jak ksiądz biskup Radosław Zmaitrowicz z Ukrainy, który napisał o mnie: „Podobne pozwanie kapłana za prawdę nie jest niczym nowym w historii Kościoła. Wiele Bożych mężów dawało świadectwo prawdzie nawet kosztem cierpienia i kosztem własnego życia. Można tu wspomnieć o św. Janie Chrzcicielu, o św. Stanisławie Biskupie, o św. Tomaszu Morusie i o wielu innych bohaterach, którzy bronili prawdę o człowieku, o małżeństwie i rodzinie, o pięknie życia w łasce Bożej".

▶ Czy Ksiądz w swojej diagnozie wieloletnich problemów Kościoła z molestowaniem seksualnym w tle jest odosobniony?

Właśnie nie, a szczególnie ważne są słowa księdza kardynała Müllera. On jest przecież najwyższym autorytetem, reprezentuje naukową teologię i – razem z papieżem Benedyktem XVI – należy do grona dwóch największych współcześnie żyjących teologów. Ponadto w wielkim stopniu jego nauczanie jest tożsame z teologią niemieckiego papieża z Bawarii. Benedykt dlatego powierzył mu najważniejszą, najbardziej odpowiedzialną misję w Kościele – zadanie

eprasa.pl 14a99e893b

stróża i obrońcy autentycznej chrześcijańskiej wiary. W czasach upadku i chaosu, które teraz panują w wielu rejonach Kościoła, jest on znakomitą latarnią wskazującą drogę na kontynent prawdy. Można powiedzieć, że dzisiaj odgrywa on podobną rolę, jak św. Atanazy Wielki w czasach arianizmu w IV wieku po Chrystusie. Wtedy ten ojciec i doktor Kościoła uratował Kościół, ponieważ potrafił skutecznie przeciwstawić się większości biskupów, która uległa herezji arianizmu (odrzucającej prawdę o Trójcy Przenajświętszej). Podobnie dzisiaj kardynał Müller w obronie Kościoła i świata przeciwstawia się wielu biskupom, którzy ulegają ideologii gender, popadając nawet w genderherezję. Dlatego jego szczególnie warto słuchać, bo on w sposób wyjątkowy głosi i broni prawdy odkryte przez rozum albo objawione nam przez samego Boga. Odrzucać jego nauczanie to w istocie odrzucać też nauczanie papieży Benedykta XVI i św. Jana Pawła II, czyli odrzucać nauczanie Kościoła.

▶ A co wspomniany ksiądz kardynał dokładnie powiedział?

W obszernym wywiadzie udzielonym na temat mojego artykułu stwierdził m.in.: „Artykuł profesora Oko to naukowy raport na temat ciężkich przestępstw popełnionych na młodych mężczyznach i chłopcach, które dokonali postawieni wysoko w hierarchii duchowni, na czele z byłym kardynałem McCarrickiem. Albo ci sędziowie nie przeczytali artykułu, albo nie są w stanie ocenić go za pomocą kryteriów naukowych, albo też nie dostrzegają jasno przestępczego charakteru działań tych osób, które żyją w Kościele, ale chroniąc się za tarczą bezkarności, jaką daje im sprawowany urząd, prowadzą licznych młodych mężczyzn do zguby. Potępienie tych przestępstw przy użyciu mocnych słów nie jest podżeganiem społeczeństwa do nienawiści, ale aktem odwagi, który zasługuje na szacunek wszystkich przyzwoitych ludzi. Nie wolno unieważniać znaczenia tych przestępstw tylko dlatego, że ich sprawcy byli aktywnymi homoseksualistami, którzy mogli się poczuć obrażeni z tego powodu, że ktoś im powiedział prawdę w twarz".

▶ To rzeczywiście mocne stwierdzenia. Ktoś jeszcze z grona znamienitych hierarchów wstawił się za Księdzem?

Oczywiście, takich głosów jest dużo więcej, na przykład ksiądz arcybiskup Ján Orosch z Trnawy na Słowacji napisał: „Pragnę więc tym listem dołączyć do grona tych, którzy skierowali do Księdza Profesora słowa uznania i wdzięczności, dołączyć do słów Jego Eminencji Kardynała Ludwiga Müllera i wyrazić moje pełne wsparcie. Bardzo się cieszę z wydania książki pod tytułem »Lawendowa mafia« w języku słowackim".

Trzeba też dodać, że podobnie jak kardynał Müller, za swojego życia całkowicie popierali mnie kard. Stanisław Nagy oraz kard. Marian Jaworski, który jest moim mistrzem w filozofii i uczynił mnie swoim głównym następcą w nauce na Papieskim Uniwersytecie w Krakowie. A jak kard. Müller należy do najbliższych przyjaciół papieża Benedykta XVI oraz stanowi z nim teologiczną jedność, tak ci dwaj kardynałowie byli najbliższymi przyjaciółmi św. Jana Pawła II – i to jeszcze od czasów młodości oraz stanowili z nim filozoficzną i teologiczną jedność.

Głos w mojej sprawie zabrał też sędzia kościelny ks. dr Peter Mettler z diecezji Münster: „Całkowicie zgadzam się z treścią Księdza artykułu. W mojej trzydziestoletniej pracy w Brazylii temat klik homoseksualnych szukał mnie, znajdywał i szedł za mną. Ciągle na nowo byłem z nim konfrontowany jako proboszcz i później wykładowca prawa kanonicznego na Wydziale Teologiczno-Filozoficznym w Belo Horizonte i jako przewodniczący międzydiecezjalnego sądu. Przeżywałem niezmierzone, duchowe i materialne szkody, których kliki te były przyczyną".

▶ Z wyrokiem kolońskiego sądu, który zasądził 4800 euro grzywny lub 4 miesiące więzienia dla Księdza, nie zgadzają się też niektórzy politycy.

Na przykład wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski napisał: „Według niemieckiego sądu ks. prof. Dariusz Oko demaskując w artykule naukowym grupę gwałcicieli działających wewnątrz Kościoła, podżegał do nienawiści. Sąd tym samym zadeptał wolność akademicką i pokazał, że wyżej ceni oprawców niż ofiary. Nie dopuśćmy do takiej paranoi w Polsce". Natomiast pan Vladimír Palko, były minister spraw wewnętrznych Słowacji, bohater walki z komunizmem, napisał w bardzo pozytywnej recenzji słowackiego wydania mojej książki „Lawendowa mafia": „I tak jest w dzisiejszym liberalnym społeczeństwie. Katolicy są niszczeni, gdy w Kościele dochodzi do poważnych skandali pedofilskich lub po prostu podejrzeń o skandale homoseksualne, jak miało to miejsce w 2004 r., w którym to skandalu uczestniczył również ks. Rothe. I niszczą nas nawet dzisiaj, kiedy dla liberalnego społeczeństwa ks. Rothe jest nagle pożytecznym w ściganiu polskiego profesora, który walczy z katastrofą skandali pedofilskich, wskazując ich korzenie". Takich listów i e-maili jest dużo więcej, szczególnie wstrząsające są te pochodzące od ofiar „lawendowej mafii". Jeden z obywateli USA ostatnio znowu napisał mi: „W imieniu ofiar tej grupy drani, którzy pod przykrywką sutanny i koloratki niszczą

eprasa.pl 14a99e893b

ludzkie życie, pragnę Księdzu podziękować za nieugiętość i odważną walkę!".

▶ Oburzyło Księdza to, że taki wyrok zapadł właśnie w niemieckim sądzie. Ale też artykuł o „lawendowej mafii" ukazał się w niemieckim czasopiśmie „Theologisches", a pozwał m.in. Księdza niemiecki duchowny...

Ale to tym bardziej znamienne, bo – przypomnę – niemiecki system sprawiedliwości zrobił wiele, żeby w żaden sposób nie ukarać wykonawców tych największych zbrodni w całych dziejach Europy Środkowej. W Auschwitz zabito 1,1 mln ludzi. W tej liczbie był około 1 mln Izraelitów i 75 tys. Polaków. To dzieło zabójstwa wykonało około 8300 niemieckich SS-manów i SS-manek. Pośród nich 90 proc. nie spędziło za to nawet jednego dnia w niemieckim więzieniu, nie zostało w żaden sposób ukaranych, a przecież to byli najwięksi zbrodniarze i zbrodniarki wszech czasów w Europie Środkowej. Nikt na tych ziemiach nie dokonał większej zbrodni. Dlatego ksiądz kard. Gerhard Müller tak komentuje ten wyrok: „Ci ludzie, przypisujący sobie moralną wyższość, powinni się zająć badaniem historii czterech rozbiorów Polski i nienawiści Prusaków oraz narodowych socjalistów wobec Polaków. Powinni to zrobić, zanim będą występować jako nauczyciele swoich słowiańskich sąsiadów".

Niemcy zamordowali około 3 tys. polskich księży, z czego 2 tys. w obozach koncentracyjnych. Już w pierwszych miesiącach II wojny światowej eksterminowali około 30 tys. przedstawicieli polskich elit, mieszkających na Pomorzu. W sumie zabili około 100 tys. przedstawicieli polskiej inteligencji, i to tylko w ramach samej akcji Intelligenzaktion. To dużo więcej nawet wobec zbrodni rosyjskich komunistów, którzy w Katyniu zamordowali około 20 tys. polskich oficerów. Tylko w Krakowie i we Lwowie uwięzili ponad 200 profesorów, których niemieccy oficerowie wysyłali do obozów koncentracyjnych albo od razu zabijali strzałami w tył głowy. I teraz znowu polski profesor i polski ksiądz ma iść do niemieckiego więzienia. Jakby Sonderaktion Krakau Zwei. Bardzo znaczące.

W Warszawie w ciągu tylko kilku dni zabili około 50 tys. ludzi, przede wszystkim kobiet i dzieci. W całym Powstaniu Warszawskim zamordowali około 250 tys. osób. W sumie pozbawili Polskę łącznie około 6 mln ludzi, 3 mln Polaków i 3 mln polskich Żydów. Po wojnie niemiecki wymiar sprawiedliwości bardzo o to dbał, żeby niemieckim wykonawcom tych zbrodni, największym ludobójcom wszech czasów Europy Środkowej, włos nie spadł z głowy. I rzeczywiście, ponad 99 proc. z nich nie spędziło nawet jednego dnia w niemieckim więzieniu, wbrew oczekiwaniom milionów rodzin tych ofiar.

▶ I to tak Księdza oburza? Kiedyś Niemcy niszczyli, wysadzali w powietrze, zabijali i rabowali, a dziś nie chcą ponieść moralnej i politycznej odpowiedzialności?

Wielu sądzi, że to jest właśnie prawdziwa pogarda dla ofiar, to jest traktowanie ich jak podludzi. Według wielu to jest właśnie prawdziwe Volksverhetzung – podjudzanie przeciw grupie narodowej, o jakie oskarża się nieliczną, prześladowaną mniejszość, która odważa się mówić prawdę o homo- i genderideologii, a także o „lawendowej mafii" w Kościele. Tak jak wcześniej za krytykę komunizmu, tak teraz znowu polski ksiądz profesor może pójść nawet do długoletniego więzienia za krytykę współczesnych ideologii. Ponieważ ośmielił się opublikować prawdę o klikach homoseksualnych w Kościele i stara się bronić chłopców i kleryków przed homoseksualnymi drapieżnikami.

▶ Co chce Ksiądz osiągnąć, nagłaśniając wątek „lawendowej mafii"?

Staram się tylko ratować chłopców, młodzieńców i kleryków przed homoklikami – podobnie jak moja babcia i dziadek ratowali w Krakowie dzieci żydowskie z rąk niemieckich siepaczy. Pomimo że za jakąkolwiek pomoc dla Izraelitów Niemcy zabijali na miejscu nie tylko ratowanych Żydów, lecz także ratujących ich Polaków. Ta działalność przyczyniła się do śmierci mojej babci pod koniec wojny. Również mój dziadek z tego samego powodu tylko o włos rozminął się ze śmiercią, co jednak nie udało się jego bratu, który został zamordowany w obozie koncentracyjnym Auschwitz. Ja sam urodziłem się w mieście Auschwitz, a także moja matka chrzestna, Lidia Skibicka-Maksymowicz, jest z Auschwitz bardzo boleśnie związana. Jako czteroletnia dziewczynka była więziona w baraku doktora Mengele. Dzisiaj jako jedna z ostatnich żyjących więźniarek obozu jest świadkiem dla całego świata. Ostatnio we Włoszech oraz w innych krajach ukazała się kolejna książka na jej temat pod tytułem „Dziewczynka, która nie potrafiła nienawidzić". Sam papież Franciszek napisał wstęp do tej książki i także dlatego stanie się ona prawdopodobnie światowym bestsellerem. Znane jest zdjęcie mojej matki chrzestnej z papieżem, który na znak wielkiego szacunku całuje jej numer obozowy 70072.

Moja matka chrzestna w ogóle mogła przeżyć obóz, bo własna matka z narażeniem życia, prze-

eprasa.pl 14a99e893b

mykając się między barakami, donosiła jej jakieś resztki pokarmu, które udało się jej „zorganizować". Poza tym matki, których noworodki Niemcy mordowali przez utopienie w wiadrze z wodą, oddawały jej resztki mleka ze swoich piersi. To heroiczne poświęcenie kobiet pozwoliło uratować choć tę dziewczynkę – spośród setek innych. Przeżyła, a teraz jest wielką patriotką i osobą głęboko wierzącą. Tak jest, bo sama najbardziej doświadczyła, że życie jest możliwe tylko jako dar Boga i dar ludzkiej solidarności.

I to jest wielki wzór i wielka nauka dla nas. Choćby Niemcy i genderyści dzisiaj znowu nas najgorzej poniżali i krzywdzili, trzymajmy się razem, brońmy się razem i solidarnie sobie pomagajmy. A przede wszystkim ze wszystkich sił trzymajmy się Boga, powierzajmy się Jezusowi i Maryi, a reszta będzie nam dodana. To najważniejsze, co mam do powiedzenia. ■

BIOGRAM

Ks. prof. UPJP2 dr hab. Dariusz Oko, ur. 1960 roku w Oświęcimiu, kapłan archidiecezji krakowskiej. Jest autorem dwóch doktoratów – z filozofii i teologii, a także habilitacji z filozofii. Pracuje jako kierownik Katedry Filozofii Kultury Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie i jest profesorem tego Uniwersytetu. Przez 37 lat kapłaństwa zawsze angażował się równolegle w pracę naukową i duszpasterską (jako stały rezydent w parafiach polskich i zagranicznych). Przez 16 lat był duszpasterzem studentów, a od 25 lat jest duszpasterzem lekarzy Archidiecezji Krakowskiej. Na studiach, sympozjach, pielgrzymkach i pracy duszpasterskiej spędził za granicą ponad 10 lat, poznając ponad 70 krajów i wszystkie kontynenty. Najlepiej zna Niemcy, w których studiował i pracował ponad 7 lat. Znany jest także z działalności publicystycznej i medialnej, zwłaszcza z krytyki ideologii gender. W wielu miastach Polski i świata na zaproszenie osób świeckich, księży, biskupów, arcybiskupów i kardynałów wygłosił ponad 250 wykładów. Poza Polską miały one miejsce w największych aglomeracjach miejskich Stanów Zjednoczonych, Kanady, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Ukrainy, Austrii i Irlandii. W styczniu 2014 roku wygłosił wykład w Sejmie RP dla posłów, z których wielu stało się później członkami polskiego rządu, w tym m.in. pani premier Beata Szydło. Natomiast w czerwcu 2018 roku wygłosił wykłady dla posłów w Radzie Najwyższej Ukrainy (czyli parlamencie Ukraińskim) oraz dla społecznych elit państwa w kijowskim Domu Ukraińskim (czyli w najważniejszym centrum kulturowym kraju).

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

1. Pamiątkowy Medal Prof. dr. hab. Józefa Bogusza przyznany przez Towarzystwo Lekarskie Krakowskie z okazji jubileuszu 140-lecia Towarzystwa Lekarskiego Krakowskiego oraz 100-lecia Domu Lekarza, 28.06.2006.
2. Druga Nagroda na XXIX Międzynarodowym Katolickim Festiwalu Filmów i Multimediów Niepokalanów 2014.
3. Nagroda im. ks. Piotra Skargi Instytutu ks. Piotra Skargi na XI Kongresie Konserwatywnym w Niepołomicach, Niepołomice 18.10.2014.
4. Tytuł Kanonika R.M., Kraków 12.11.2014.
5. Nagroda za „Książkę Miesiąca": „Dyktatura gender", książka kwietnia, kategoria „Publicystyka", Wydawnictwo Biały Kruk. Nagroda przyznana przez „Magazyn Literacki KSIĄŻKI" i Bibliotekę Narodową, kwiecień 2014.
6. Jako jedna z trzech osób nominowany do finału Laurów Studenckich UPJPII w kategorii „Mentor Studentów", maj 2019.
7. Postanowieniem prezydenta RP Andrzeja Dudy odznaczony został Medalem Złotym za Długoletnią Służbę, wrzesień 2019.
8. Nagroda „Animus et Semper Fidelis za rok 2019" przyznana przez Polskie Stowarzyszenie Morskie-Gospodarcze im. Eugeniusza Kwiatkowskiego w 100. rocznicę Zaślubin Polski z Morzem, luty 2020.
9. Nagroda „Per crucem ad lucem" przyznana przez „Góralskich Rycerzy Rodowych",Nowy Targ 8.06.2021.

PUBLIKACJE M.IN.:

„The Transcendental Way to God according to Bernard Lonergan" (doktorat z filozofii 1991); „Łaska i wolność. Łaska w Biblii, nauczaniu Kościoła i teologii współczesnej" (doktorat z teologii 1997); „Przełom – wyzwanie i szansa" (1998); „W poszukiwaniu pewności. Próba transcendentalnego ugruntowania metafizyki w filozofiach Emericha Coretha i Bernarda Lonergana" (habilitacja z filozofii 2010); „Moje życie. Z ks. Dariuszem Oko rozmawia Piotr Litka" (wywiad-rzeka 2014), „Lawendowa mafia. Z papieżami i biskupami przeciwko homoklikom w Kościele" (2020).

Artykuły tłumaczone na wiele języków: „Dziesięć argumentów przeciw" (2005) oraz „Z papieżem przeciw homoherezji" (2012), „O konieczności ograniczania klik homoseksualnych w Kościele" (2020).

Artykuły w książkach: „Dyktatura gender" (2014), „Wygaszanie Polski" (2015), „Repolonizacja Polski" (2016), „Polskość jest przywilejem" (2016).

eprasa.pl 14a99e893b

Piotr Lisiewicz

Maciej przy Jaruzelskim, a Roman przy Tusku, czyli prawica według Giertychów

eprasa.pl 14a99e893b

Jakkolwiek paskudna byłaby tradycja polityczna rodu Giertychów, czyli dziadka Jędrzeja, ojca Macieja i syna Romana, to dwie rzeczy wydawały się w niej przez kilka dziesięcioleci niezmienne: głoszenie teorii prorosyjskich i niechęć do środowiska Adama Michnika. Ale Roman Giertych dowiódł, że wszystko jest na sprzedaż, przynajmniej w sytuacji wyższej konieczności. Ta wyższa konieczność to przeciwdziałanie odbudowie niepodległej Polski. Wtedy wolno rzucić się w objęcia KOR, a nawet Żydów! I głosić, że PiS jest zły, bo służy... Moskwie, od zawsze przez Giertychów chwalonej.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLINSKI NA PODSTAWIE FOT. MARCIN GADOMSKI/PAP, ADOBE STOCK

eprasa.pl 14a99e893b

Odciął on Kościół katolicki od całej tej propagandy antymoskiewskiej" – tak w sierpniu 2012 roku Roman Giertych komplementował abp. Józefa Michalika. Chwalił go za porozumienie z patriarchą Cyrylem, agentem KGB, w którym padły kuriozalne słowa o „bratnich narodach" – polskim i rosyjskim. Giertych tryumfował: „Jarosław Kaczyński z chwilą, gdy zakwestionował nową linię Kościoła wobec Cerkwi, stracił legitymację do tego, aby mieć głosy katolickie. Dzień przyjazdu Cyryla zmienił fundamentalnie rzeczywistość na prawicy". Cieszył się, że przegrała pisowska rusofobia: „piesek pisowski, który szarpał za nogawkę Polski Kościół i trzymał, żeby noga nie poszła za bardzo na wschód, został z kawałkiem szmaty w zębach". Dziś , gdy znamy ciąg dalszy, te głoszone z powagą tezy budzą śmiech. Podobnie jak ewolucja „poglądów" Giertycha.

Minęło zaledwie pięć lat i w 2017 roku ten sam Giertych dowodził, że PiS nadal jest zły, ale z przeciwnych o 180 stopni powodów, czyli właśnie „pójścia na wschód": „PiS działa na rzecz Kremla". I potem regularnie pojawiały się podobne jego wpisy i wypowiedzi: „Żadni agenci Putina nie działaliby inaczej niż PiS", „Uważam, że sojusz Lewicy z PiS mógł być zainspirowany przez służby. Rosyjskie", „Za chwilę PiS to ogłosi. Będą starali się podgrzać nacjonalizm jak sanacja w 1938. Po to, abyśmy wyszli z sojuszy z Zachodem. I zostali wspólnikami Putina...".

Walka Giertychów o trwałość sojuszu ze Związkiem Sowieckim

Kto zna poglądy głoszone przez ród Giertychów, złapie się za głowę, słysząc te ostatnie oskarżenia. Bycie „wspólnikami Rosji" było fundamentem ideologii owego rodu. Gdy Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny, emigrant Jędrzej Giertych, w przeciwieństwie do Romana poważany do dziś przez niektóre środowiska narodowe, głosił: „Nie mogę się zgodzić z poglądem, że przewrót 13 grudnia był posunięciem politycznym sowieckim. Wszystko wskazuje na to, że było to posunięcie polskie. Grupa wojskowa polska uznała za potrzebne położyć tamę rozwijającej się anarchii i szykującej się rewolucji i dokonała przewrotu siłami polskimi i w interesie polskim. Nawet gdyby się interes sowiecki tutaj z interesem polskim zbiegał, nie oznaczałoby to jeszcze zależności przewrotu polskiego od interesów sowieckich" („Opoka", grudzień 1982 roku).

O Jaruzelskim dziadek Romana pisał: „Więcej zaufania budzą we mnie rządy komunistów-generałów niż wszystkich Gierków, Gomułków i Bierutów, już nie mówiąc o Bermanach, a także o Michnikach i Kuroniach". Co pomyślałby Jędrzej Giertych, czytając wywiad wnuka w gazecie Michnika i jej pochwały na jego temat? Tego już dziś się nie dowiemy.

Ale wiemy, że współdziałający później politycznie z Romanem Giertychem jego ojciec głosił podobne koncepcje. W stenogramie z posiedzenia Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa z 17 lipca 1989 roku czytamy: „Po 13 grudnia narodowi demokraci rozpoznawali się przez stosunek do stanu wojennego. Kto go popierał, dawał dowód myślenia geopolitycznego. Ta postawa nas łączyła. Było to jeszcze, zanim »Żołnierz Wolności« zaczął drukować fragmenty broszury mojego ojca Jędrzeja Giertycha zawierającej poparcie dla stanu wojennego".

Wtedy też Maciej Giertych zwrócił się do Jaruzelskiego, przyszłego przyjaciela Michnika: „Związek Radziecki nas militarnie ochrania, jest też wypróbowanym partnerem gospodarczym. Potrzebny nam u steru ktoś, kto zapewni trwałość sojuszu ze wschodnim sąsiadem. [...] Tylko Pan, Panie Przewodniczący, może nam to zagwarantować".

Michnik za współpracą z „endecją"

Romans Michnika z Giertychami przestał być tajemnicą 17 listopada 2012 roku. Adam Michnik napisał wówczas tekst, w którym pochwalił formację, której powrotem rytualnie straszył przez dziesięciolecia. Pewną życzliwością wykazał się nawet wobec – tak, tak! – uczestników Marszu Niepodległości: „Trzeba szukać z nimi dialogu i zgody. Przecież zorientują się w końcu, że wciągani są w działania na rzecz destrukcji państwa. Na tym bowiem polega sens polityki Jarosława Kaczyńskiego". Mamy oto złego Jarosława Kaczyńskiego i uczciwych, lecz nabranych radykalnych narodowców. Michnik poucza ich: „Endecja była ruchem na rzecz bezpieczeństwa i trwałości państwa".

Michnik apelował, by nie potępiać endecji w czambuł: „nie wolno zapominać, że narodowa demokracja – Grabskiego, Głąbińskiego, Rybarskiego, Trąmpczyńskiego czy Zamoyskiego – była formacją odpowiedzialności za państwo. Dlatego spadkobiercami tej tradycji nie są ci, którzy dziś chcą polską demokrację zdestruować, lecz ci, którzy byli wśród demonstrantów skupionych wokół prezydenta Komorowskiego. Tym ludziom o tożsamości endeckiej ich długoletni przeciwnik i krytyk składa dziś pokłon". Kto był wówczas i w kolejne rocznice 11 listopada z Komorowskim pod pomnikiem Romana Dmowskiego? Maciej i Roman Giertychowie oraz Michał Kamiński i Aleksander Hall.

eprasa.pl 14a99e893b

No i ta historia miała swój dalszy ciąg: 11 września 2019 roku w „Gazecie Wyborczej" ukazał się apel Macieja Giertycha, któremu redakcja nadała tytuł: „Zaskakujący apel nestora narodowej prawicy: Nie głosujcie na PiS!".

▶ Giertych – jedyny polityk, który przyznał, że jest oszustem

Inaczej niż ojciec, Roman Giertych jest już tylko kłamcą. I chyba jedynym polskim politykiem, który pochwalił się tym Polakom, że jest... oszustem. W 2014 roku w „Newsweeku" tak mówił o swoim wicepremierowaniu w prawicowym rządzie, na czele z PiS: „My się przyjaźniliśmy z Donaldem Tuskiem, Rokitą, Schetyną, grywaliśmy z nimi po cichu w piłkę, koszykówkę. Gdyby wówczas dowiedział się o tym nasz elektorat, toby nas rozszarpał". Powiedział też wtedy: „Rozwaliłem rząd PiS. [...] Skoro pan chciał Konrada Wallenroda, to proszę bardzo". Oszust? Bezspornie. W normalnym kraju eliminuje to ze świata polityki, bo wiadomo, że ktoś taki za chwilę może oszukać kogoś innego. Tak jak oszukani poczuli się wszechpolacy, gdy został wielbicielem Tuska.

Polityczna historia Romana Giertycha to w gruncie rzeczy opowieść o tym, że czasy, w jakich żyjemy, są na tyle parszywe, iż nawet ktoś taki może uczestniczyć w życiu politycznym, ba, nawet odgrywać w nim zauważalną rolę. Chyba nie ma też postaci, która byłaby lepszym dowodem na to, że większość sceny politycznej III RP to faktycznie scena teatralna, na której głoszone poglądy nie mają żadnego znaczenia, a rządzą zupełnie inne mechanizmy i siły. No bo jak miałby to zrozumieć ktoś nietutejszy: oto „wódz Młodzieży Wszechpolskiej", oskarżanej potem o „zamawianie pięciu piw", czyli hitlerowskie sympatie, z którym współpraca miała być największą kompromitacją inteligenta z Żoliborza Jarosława Kaczyńskiego, nagle zmienia się w swoje przeciwieństwo? Ten sam człowiek, o którym śp. prof. Barbara Świda-Ziemba mówiła w „GW": „Roman Giertych, faszysta i sadysta"?

▶ Faszysta zostaje sobą. I nagle go kochają

Gdyby jeszcze Giertych ogłosił, że jest nawróconym faszystą, który nienawidzi swoich dotychczasowych poglądów i chce odrobić swoje winy, można by się w tym dopatrywać jakiejś logiki. Ale nie: Giertych opowiada, że poglądów zasadniczo nie zmienił, stępił tylko swój radykalizm. I nagle zostaje adwokatem syna byłego premiera Donalda Tuska, niegdyś pracującego w „Gazecie Wyborczej", najbardziej proeuropejskiego ministra Radosława Sikorskiego oraz mało znanej organizacji żydowskiej, a także ulubionym gościem najbardziej postępowej telewizji TVN. I bodaj chyba tylko jeden Adrian Zandberg z całej opozycji protestuje, że coś tu nie gra.

Nie ma bardziej namacalnego dowodu, że postkomunistyczną III RP, nazywaną niekiedy ubekistanem, rządzą mechanizmy ukrywane przed opinią publiczną. Istnienie owych niedemokratycznych mechanizmów ma wady typowe dla wielu dyktatur: ich wybraniec może mieć cechy osobowości, które w demokracji nie pozwoliłyby mu nigdy uzyskać akceptacji ludzi. I tym samym szkodzić dyktaturze. A przypadku dyktatury obejmującej swą władzą tylko część sceny zwiększać szansę na zwycięstwo przeciwnych jej sił niepodległościowych.

▶ Giertych, gdzie jest pół litra za 50 złotych?!

Jak jest w tym przypadku? Na polityczne funkcjonowanie Giertycha składają się zasadniczo trzy typy powtarzających się ekscesów. Pierwszy to maniakalne, powtarzane dziesiątki razy, ogłaszanie „Romek pisze pozew", jak nazwał to niegdyś Radosław Sikorski. Nadaje się to na w miarę chwytliwy tytuł w mediach, ale jednocześnie, jeśli pojawia się on po raz pięćdziesiąty, buduje wizerunek ponurego maniaka w stylu trepa z LWP, który brak polotu zastępuje wygłaszanymi przy każdej okazji wyuczonymi formułkami.

Drugi to eksces insynuacyjno-prowokacyjny. Najpierw Giertych ogłasza, że jutro wybuchnie bomba, po czym bomba okazuje się zbudowanym na insynuacjach kapiszonem, wzmacniającym PiS, w stylu afery z dwiema wieżami. W najlepszym wypadku zaś jest pozbawionym treści opozycyjnym bon motem, który mimo to opozycja powtarza miesiącami, jak na przykład respiratory od handlarza bronią. Samo wygłaszanie podobnych insynuacji nie szkodziłoby opozycji, gdyby Giertych ograniczył się do wpisów twitterowych. Szkodzi jej właśnie ów rozmach marketingowy Giertycha. Owszem, on skutecznie służy nagłaśnianiu jego osoby, natomiast ewidentnie szkodzi antypisowi jako całości.

Trzeci sposób Giertycha to ogłaszanie cyklicznie, że PiS przegra najbliższe wybory, już się kończy itp. Tego akurat cytować nie trzeba, bo każdy zna. A żeby puenta była zabawna, przytoczmy wpis Romana Giertycha na Twitterze z 22 listopada 2021 roku: „Pół litra w styczniu ma być po 50 złotych". No i wznosząc toast zimną wódką za 25 zł, napijmy się za to, by to Roman Giertych był nadal głównym strategiem opozycji. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Magdalena Nowak

Polityk, milioner, prawnik i zapomniane skandale

Prokuratura podejrzewa Romana Giertycha o wyprowadzenie milionów złotych z notowanej na giełdzie spółki deweloperskiej Polnord, którą przez lata kontrolował znany biznesmen Ryszard Krauze. To najpoważniejsza afera z udziałem byłego wicepremiera w jego karierze.

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ / GAZETA POLSKA

23 września 2001 roku. Ursus. W sztabie Ligi Polskich Rodzin, kierowanej przez Marka Kotlinowskiego, świętowano historyczny sukces. Ta powstała kilka miesięcy wcześniej partia wraz z mniejszymi prawicowymi ugrupowaniami, które zaprosiła na swoje listy wyborcze, wywalczyła 38 mandatów w Sejmie. „Na naszych oczach powstał ruch społeczny, który rozbije układ Okrągłego Stołu. Dzisiaj urwaliśmy jedną nogę Okrągłego Stołu" – nie krył radości z wyniku Kotlinowski. Oprócz niego mandaty poselskie otrzymali też m.in. Zygmunt Wrzodak i Roman Giertych, dla którego był to początek politycznej kariery. Od tego momentu minęło ponad 20 lat. W tym czasie ten z wykształcenia prawnik – nazywany z racji wzrostu „Długim" – stał się bohaterem kilku poważnych afer, które mogły przetrącić jego karierę zarówno polityczną, jak i prawniczą. Tak się jednak nie stało. Ponad rok temu wybuchł kolejny, najpoważniejszy skandal z jego udziałem. Prokuratura podejrzewa go o wyprowadzenie milionów złotych z notowanej na giełdzie spółki deweloperskiej Polnord, którą przez lata kontrolował biznesmen Ryszard Krauze. Giertych, broniąc się, próbuje grać rolę ofiary rządu Zjednoczonej Prawicy, atakując w mediach społecznościowych i poprzez zaprzyjaźnionych dziennikarzy polityków koalicji rządzącej i organy ścigania. Sam jednak od ponad roku przebywa za granicą, lekceważąc wezwania wysyłane przez śledczych.

O partnerskim sojuszu z Rosją

Roman Jacek Giertych urodził się 27 lutego 1971 roku. Od początku był skazany na karierę polityczną. Jego dziadek Jędrzej należał do liderów Stronnictwa Narodowego i zaufanych współpracowników Romana Dmowskiego. Słynął z radykalnych poglądów. Oskarżano go m.in. o antysemityzm. W politykę wszedł także jego syn Maciej, ojciec Romana. W okresie PRL nie był działaczem żadnej partii politycznej. Poparł jednak stan wojenny, a potem dzięki rekomendacji opozycji i Kościoła wszedł do Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa gen. Wojciechu Jaruzelskim. Maciej Giertych nie krył sympatii do twórcy stanu wojennego. Wiele lat później, gdy w czerwcu 2005 roku rozpoczynał w Radomiu kampanię na prezydenta RP (kandydował z ramienia LPR), stwierdził, że pomysł degradacji Jaruzelskiego jest „niepoważny". Jednocześnie pielęgnował rodzinne tradycje endeckie, reaktywując w czasie przemian polityczno-ustrojowych Stronnictwo Narodowe. Był przełom lat 80. i 90. W tym czasie jego syn Roman tworzył już Młodzież Wszechpolską, która stała się potem jego kadrowym zapleczem. Podobnie jak dziadek i ojciec posiadał mocno kontrowersyjne poglądy, o których pisał w 1993 roku w książce

eprasa.pl 1ea99e893b

„Lot Orła". Wskazywał w niej, że Polską „rządzą agenci KGB sprzedani wywiadom zachodnim oraz dysydenci z 1968 r., którzy za pieniądze rządów zachodnich uprawiają od 20 lat politykę w Polsce". Przekonywał również, że „łatwiej będzie odzyskać suwerenność ruchowi politycznemu, który będzie reprezentował opcje polityki zagranicznej prowadzonej w oparciu o partnerski sojusz z Rosją". Lata później w wywiadzie w „Gazecie Wyborczej" zarzekał się, że odszedł od tej tezy. Faktycznie, przez lata Giertych zrobił ogromny zwrot w przedstawianych poglądach.

W Radzie banku z Kalisza

Pod koniec lat 90. Roman i Maciej Giertychowie weszli do zaufanego grona wpływowego toruńskiego duchownego o. Tadeusza Rydzyka, twórcy Radia Maryja, który stał się patronem nowej formacji politycznej – Ligi Polskich Rodzin (LPR). Ta powstała na zgliszczach AWS formacja o narodowo-katolickich poglądach bardzo szybko osiągnęło sukces, a Giertych od jesieni 2001 roku był już w Sejmie. Dwa lata później w wywiadzie, jakiego udzielił Jarosławowi Kurskiemu, wicenaczelnemu „Gazety Wyborczej", opowiadał o ambitnych planach partii. „LPR powstała na fali sprzeciwu wobec rządów AWS. Ukazanie mechanizmów zawłaszczania mienia państwowego obnaży mizerię elit ostatnich 15 lat. Już tylko samo to świadczy, że rządzić w Polsce powinna Liga Polskich Rodzin" – podkreślał.

Jednak realizacji tych mocarstwowych planów, i całej karierze Giertycha, mogła zagrozić afera Wielkopolskiego Banku Rolniczego (WBR), która wybuchła tuż po wyborczym sukcesie LPR. Prokuratura w Kaliszu i Urząd Ochrony Państwa zaczęły przyglądać się nie tylko okolicznościom prywatyzacji banku, lecz także kulisom jego działalności. Ten założony w 1992 roku najmniejszy komercyjny bank w Polsce (przejęty przez Bank Śląski) zajmował się głównie obsługą rolników z Wielkopolski i Kujaw. Na liście udziałowców WBR można było znaleźć m.in. spółkę Bakoma Bis związaną z prominentnym politykiem PSL Zbigniewem Komorowskim i polonijnym biznesmenem Edwardem Mazurem, swego czasu podejrzewanym o zlecenie zabójstwa gen. Marka Papały, byłego szefa policji (od początku twierdził, że jest niewinny, ostatecznie śledczy skompromitowani wynikami postępowania wycofali się z zarzutów). Udział w zakładaniu banku brał także Witold Hatka, późniejszy poseł LPR z Bydgoszczy. Do 1999 roku był wiceprezesem WBR. Rok po odwołaniu – 30 maja 2000 roku – wrócił jednak do banku. Podczas bardzo burzliwego Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy (doszło na nim nawet do bijatyki) wraz z 30-letnim wówczas Giertychem wszedł do Rady Nadzorczej WBR (obejmując fotel przewodniczącego). Ważną rolę w banku zaczął też odgrywać inny polityk LPR – Marek Kotlinowski, mianowany tam radcą prawnym. Trzy miesiące później Hatka powołał spółkę Hatrol. Nowy podmiot miał skupować długi banku. Powiązania personalne były niemal kopią tych z WBR. Do Rady Nadzorczej Hatrolu weszli Hatka i Giertych, a radcą prawnym spółki został Kotlinowski. Już na pierwszy rzut oka związki te budziły wątpliwości. Jednak był to dopiero początek całej afery, której wyjaśnienie trwało potem przez lata.

Historia przelewu na 2,3 mln zł

Pod lupą śledczych znalazły się okoliczności przekazania przez WBR na konto Hatrolu 2,3 mln zł. Okazało się, że tę sumę kazał przelać Hatka, będąc szefem rady nadzorczej obydwu podmiotów. W zamian za przelane środki bank przejął większość udziałów w Hatrolu. Śledczy ustalili, że sprawa przelewu budziła poważne wątpliwości w WBR. Autoryzacji odmówił prezes banku. Wykonała go dopiero Sława T., dyrektor WBR (co ciekawe, znalazła się potem na liście LRP w wyborach do Sejmu, nie uzyskała jednak mandatu). W efekcie bank objął 99,2 proc. udziałów w Hatrolu. Pozostałe 0,8 proc. kontrolowali Hatka wraz ze swoimi zaufanymi ludźmi. Szybko okazało się, że to właśnie ta grupa faktycznie cały czas rządzi spółką. Do podjęcia kluczowych decyzji finansowych potrzebne było bowiem 100 proc. głosów. Mało tego. Kadencja Rady Nadzorczej Hatrolu, w której zasiadali Hatka z Giertychem, trwała 10 lat, a o wynagrodzeniu jej członków decydowała... sama Rada. W sumie jej członkowie zarobili po kilkadziesiąt tysięcy złotych.

W styczniu 2003 roku Giertych w rozmowie z Polską Agencją Prasową tłumaczył, że zapisy zawarte w statucie Hatrolu były „niekonwencjonalne" i miały... „zapobiec wyprowadzeniu pieniędzy". Nie wiadomo jednak do dziś, co faktycznie stało się z 2,3 mln zł przelanymi z WBR do Hatrolu. Według śledczych były one potem dzielone i transferowane do szeregu prywatnych podmiotów. Podejrzewano, że faktycznie poszły na sfinansowanie kampanii wyborczej LPR w 2001 roku. Hatka stanowczo zaprzeczał. Śledztwo w tej sprawie trwało 8 lat. Postępowanie wszczęto za czasów SLD, prowadzono je w okresie, gdy LRP wraz z Samoobroną tworzyło koalicję z PiS, a Giertych zajmował fotel wicepremiera i ministra edukacji. W tym czasie aktywnie interesował się śledztwem. „Gazeta Wyborcza" ujawniła, że w 2006 roku interweniował nawet w tej sprawie u ówczesnego Prokuratora Krajowego Janusza Kaczmarka. Twierdził, że za rządów SLD w ramach tego śledztwa szukano na niego haków. W efekcie postępowanie z prokuratury w Kaliszu przeniesiono do Łodzi. „Musiała zapaść decyzja o zabraniu śledztwa. Chodzi

eprasa.pl 14a99e893b

o wykluczenie podejrzeń o stronniczość prokuratorów" – tłumaczył tę decyzję Kaczmarek.

Ostatecznie akt oskarżenia przeciwko Hatce i byłym członkom zarządu Hatrolu trafił do sądu dopiero w 2009 roku. W tym czasie rządziła już zaprzyjaźniona z Giertychem koalicja PO-PSL, a on sam – będąc byłym członkiem Rady Nadzorczej WBR i Hatrolu – miał w sprawie status świadka. Od początku bronił jednak Hatki. Nawet wtedy, gdy wydał on broszurę, w której brutalnie atakował KOR, Józefa Piłsudskiego i Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Tego ostatniego nazywając „aroganckim agentem CIA". Giertych stwierdził w radiowej Trójce, że sam by takiego sformułowania nie użył. Przekonywał jednak, że „każdy ma prawo do prezentowania swoich poglądów". Ostatecznie Hatka – według śledczych „mózg" wyprowadzenia pieniędzy z WBR – nigdy nie został osądzony. W listopadzie 2010 roku zginął w wypadku samochodowym pod Żninem.

Skandal na poznańskim uniwerku

Gdy toczyło się śledztwo w sprawie WBR, Giertych stał się bohaterem kolejnego skandalu. Prawnik jest absolwentem Wydziały Prawa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Tę samą uczelnię skończyła sześć lat od niego młodsza żona Barbara, która obroniła tam również doktorat. Pod koniec 2004 roku na uczelni wybuchła jednak afera, w której małżeństwo odgrywało główne role. Barbara Giertych zdawała wówczas egzamin u dr. Ryszarda Sowińskiego. Jednak tuż przed nim do wykładowcy wszedł najpierw jej... mąż. Obydwaj znali się z Sowińskim jeszcze z czasów studiów. Giertych miał poinformować kolegę, że egzaminuje właśnie jego żonę, jednocześnie sugerując, że LPR niedługo będzie potrzebowało ekspertów do przyszłego rządu. Doktor potraktował to jako próbę wpłynięcia na wynik egzaminu. O sprawie powiadomił przełożonych, wskazując również na dwóch adiunktów jako świadków całej rozmowy. Sprawę badała prokuratura. Śledztwo zostało jednak umorzone na początku lipca 2005 roku. „Nie ma dowodów na to, że Roman Giertych składał adiunktowi Wydziału Prawa UAM korupcyjną propozycję. Rozmowa miała charakter luźny, towarzyski i niezobowiązujący" – mówił wówczas cytowany przez „Gazetę Wyborczą" Mirosław Adamski, ówczesny rzecznik Prokuratury Okręgowej w Poznaniu.

WBR, Rywin i porażka w głosowaniu

Mimo śledztwa w sprawie WBR, Giertych starał się pokazywać swoją bezkompromisowość, pozując na jedynego sprawiedliwego. Gdy wybuchła afera Rywina, zaczął ostro atakować „Gazetę Wyborczą" i cały układ Roberta Kwiatkowskiego, ówczesnego prezesa TVP. W styczniu 2003 roku Giertych grzmiał: „Rozmowa, która została upubliczniona, między Adamem Michnikiem a Lwem Rywinem wskazuje na istnienie bardzo poważnej grupy przestępczej, która funkcjonuje na najwyższych szczytach władzy państwowej". Potem ta retoryka była przez Giertycha wykorzystywana bardzo często, m.in. w kontekście dziennikarzy „Wprost", którzy w czerwcu 2014 roku ujawnili aferę podsłuchową. Adwokat reprezentował wówczas nagranych polityków PO, m.in. Jacka Rostowskiego i Radosława Sikorskiego. Wskazywał, że dziennikarze „Wprost" dopuścili się rzekomego przestępstwa, publikując nielegalnie zarejestrowane rozmowy (śledztwo w tym wątku umorzyła prokuratura), a cała sprawa ma charakter polityczny. Podobne słowa padały z jego ust 10 lat wcześniej, gdy komentował aferę WBR. Giertych od początku przekonywał, że śledztwo w sprawie kaliskiego banku i jego roli w całym skandalu to zemsta za działania zmierzające do rozwikłania afery Rywina. Wprawdzie z ramienia LPR członkiem komisji śledczej do wyjaśnienia tej sprawy był poseł Bohdan Kopczyński, to on sam próbował go zastąpić. Przepadł jednak w głosowaniu. Jego kandydaturę poparło tylko 39 posłów, przeciw było 117, a 91 – głównie posłowie PiS – wstrzymało się od głosu. Na kolejną szansę bycia sejmowym śledczym nie musiał jednak długo czekać. W 2004 roku wybuchła afera Orlenu. Okazało się, że Leszek Miller mógł wykorzystać UOP, aby zatrzymać prezesa naftowego koncernu Andrzeja Modrzejewskiego, blokując tym samym zawarcie przez niego kilkumiliardowego kontraktu na dostawy ropy naftowej. Sejm powołał więc kolejną komisję śledczą, a w jej skład wszedł właśnie Giertych.

Nawoływał do reformy sądów

Polityk LPR ostrzył sobie zęby na stanowisko szefa komisji. Musiał jednak obejść się smakiem. Na czele komisji stanął poseł PSL Józef Gruszka. O kulisach tej nominacji Giertych opowiadał na początku lipca 2014 roku w wywiadzie na łamach „Gazety Wyborczej": „W zamian za poparcie LPR dla [Kazimierza] Ujazdowskiego (PiS) na wicemarszałka Sejmu mieli zagłosować na mnie. Wystawili [Zbigniewa] Wassermanna. Jawne wiarołomstwo". Jednak Giertych dzięki pracom komisji śledczej ds. PKN Orlen zdobył sporą popularność. Krytykował Leszka Millera i Aleksandra Kwaśniewskiego, atakował jego żonę Jolantę oraz jej Fundację Porozumienie bez Barier. Wskazywał, że Polską przez ostatnie piętnaście lat rządzi postkomunistyczny układ. Przekonywał o konieczności reformy sądownictwa. „Wymiar sprawiedliwości jest kluczem, a układ, o którym mówię, trzyma w rękach wymiar sprawiedliwości. Sądy i prokuratury nie są niezawisłe. To nie oznacza, że nie ma uczci-

eprasa.pl 14a99e893b

wych sędziów i prokuratorów. Są, ale oni sami najlepiej wiedzą, w jakim układzie się znajdują. Mówię to z doświadczenia – jako adwokat. A afera Rywina? Z jakiej racji prokuratura przyjęła, że Rywin działał sam? Czy naprawdę pani prokurator tak myślała? W tej sprawie powinno się odbyć pięć postępowań wyjaśniających działanie prokuratury. Ktoś pisze prokuratorom pytania, prokuratura formułuje nie ten zarzut, nie stosuje środka zapobiegawczego przed mataczeniem itd. Przecież tak się nie prowadzi postępowań! Dopóki się tego nie uzdrowi, to w Polsce dobrze nie będzie" – mówił w 2004 roku w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej". Ponad 10 lat później stał się jednym z głównych przeciwników reformy sądownictwa Zbigniewa Ziobry, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

Spotkanie na Jasnej Górze

Jednak w październiku 2004 roku, w czasie prac komisji śledczej, polityczna kariera Giertycha zawisła na włosku. Wtedy przed komisją śledczą miał zeznawać Jan Kulczyk. Nie pojawił się jednak w Sejmie. Oświadczenie miliardera, które wywołało potem burzę, odczytał jego pełnomocnik, prof. Jan Widacki. Kulczyk ustami swojego prawnika ujawnił, że kilka tygodni wcześniej – 6 września – spotkał się z Giertychem na Jasnej Górze. Oskarżył ówczesnego polityka LPR, że ten miał domagać się od niego materiałów kompromitujących prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, w zamian obiecując nietykalność. „Informacji takich nie dostarczyłem i to kolejna przyczyna poczucia zagrożenia" – napisał w oświadczeniu Kulczyk, tłumacząc w ten sposób swoje niestawiennictwo przed komisją. Co na to Giertych? Początkowo twierdził, że było to przypadkowe spotkanie, w czasie którego poinformował tylko miliardera, aby podczas przesłuchania mówił prawdę. Potem przyznał, że spotkanie faktycznie się odbyło, a zaproponować je miał Kulczyk. Wreszcie jeszcze nieco zmienił wersję. Potwierdził, że spotkanie się odbyło, ale on sam nie wiedział wcześniej, kto ma być jego rozmówcą. Całą historię uznał za atak na komisję śledczą i próbę odwrócenia uwagi od afery Orlenu. Kulczyk o działaniach Giertycha zawiadomił prokuraturę. Z kolei polityk doniósł na miliardera, twierdząc, że złożył fałszywe zawiadomienie. Sprawy – w dwóch oddzielnych śledztwach – badała Prokuratura Okręgowa w Częstochowie. Ostatecznie postępowania zostały umorzone. Wcześniej w jednym z nich doszło do kilkugodzinnej konfrontacji miliardera z politykiem.

Skok na TVP i... wnioski w sprawie śledztwa

Giertych był jednak na wschodzącej. Jego pozycję umocnił wynik wyborczy jego partii w wyborach parlamentarnych w 2005 roku. LPR uzyskała wówczas 34 mandaty i wraz z Samoobroną Andrzeja Leppera stworzyła z PiS wspólny rząd. Giertych objął w nim fotel wicepremiera i ministra edukacji. Swoje wpływy w rządzie zaczął wykorzystywać do obsadzania ważnych stanowisk w państwie zaufanymi ludźmi, z których spora grupa związana była wcześniej z Młodzieżą Wszechpolską. Jego oczkiem w głowie stała się TVP. Do zarządu rekomendował tam narodowca i Wszechpolaka – Piotra Farfała. W 2007 roku wcześniejsze wybory parlamentarne wygrała PO. Mimo to jeszcze przez rok TVP rządziła koalicja PiS–Samoobrona–LPR. Dopiero sojusz Giertycha z PO zmienił ten układ. W grudniu 2008 roku zawieszono ówczesnego prezesa TVP Andrzeja Urbańskiego, a w jego miejsce pełniącym obowiązku został Farfał. Wówczas kluczowe stanowiska w telewizji zaczęli zajmować zaufani ludzie Giertycha. Wśród nich Jan Piński, były dziennikarz „Wprost". Najpierw został szefem „Wiadomości" (jego zastępcą mianowano wówczas Krzysztofa Trębskiego), a potem TAI. Od lat uchodzi on za szefa medialnego ramienia Giertycha. Obecnie Piński wraz z Tomaszem Sz., biznesmenem z branży ochroniarskiej, stoi na czele dwóch portali internetowych – wiesci24.pl i sluzbyspecjalne.com. Za ich pośrednictwem bezpardonowo atakuje przeciwników Giertycha, jednocześnie wspierając jego działania. Głównymi bohaterami publikowanych tam materiałów są przedstawiciele rządu Zjednoczonej Prawicy, w tym Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości i prokurator generalny, oraz dwaj ministrowie nadzorujący służby specjalne – Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik. To właśnie podległe im instytucje – prokuratura i CBA – rozpracowują od kilku lat Giertycha, Tomasza Sz., a także inne osoby i podmioty związane z Pińskim oraz jego grupą (m.in. zamieszaną w oszustwa VAT-owskie spółkę Wataha Trans, wydawcę papierowego periodyku „Służby Specjalne", którym kierował). Sz. ma dwie sprawy w sądzie. W jednej jest oskarżony o powoływanie się na wpływy m.in. w służbach specjalnych. W drugiej o składanie fałszywych zeznań. Z kolei w śledztwie Prokuratury Regionalnej w Lublinie (tej samej, która chce aresztowania Giertycha) ma postawione zarzuty udziału w milionowych wyłudzeniach podatku VAT.

Kancelaria z zaufaną ekipą

Giertych po przegranych przez PiS wyborach odszedł formalnie z polityki. 1 grudnia 2007 roku zarejestrował działalność gospodarczą „Kancelaria Adwokacka Romana Giertycha". Jednym z pierwszych jego klientów była Maria Nowińska, była żona Janusza Palikota. Do rozwodu między nimi doszło w 2005 roku (to wtedy Palikot rozpoczął swoją polityczną karierę, zdo-

eprasa.pl 14a99e893b

bywając mandat posła). Wówczas kobieta po podziale majątku otrzymała 30 mln zł. Domagała się jednak kolejnych 40 mln zł, twierdząc, że Palikot ukrył przed nią część majątku za granicą. Giertych w imieniu swojej klientki powiadomił więc prokuraturę o zatajeniu niektórych składników majątku w oświadczeniach majątkowych posła, późniejszego twórcy Twojego Ruchu, o sprawie często wypowiadał się też w mediach, jednocześnie ostro atakując Palikota. Ten sposób działania wielokrotnie wykorzystywał potem w innych sprawach. Początkowo biznes prawniczy Giertych prowadził z dwójką swoich zaufanych ludzi – Pawłem Sulowskim, byłym szefem jego gabinetu politycznego w ministerstwie edukacji – i Tomaszem Połetkiem, prawnikiem LPR. W sierpniu 2008 roku zarejestrował z nimi spółkę „Giertych i partnerzy". Nie przeszkadzały mu wątpliwe historie ciągnące się za Połetkiem. Swego czasu „Fakt" opublikowały zdjęcia, na których wraz z kilkoma innymi Wszechpolakami „hajluje" – wykonuje hitlerowskie pozdrowienie. Nazwisko Połetka pojawiło się też w aferze z wyprowadzeniem pieniędzy z kaliskiego banku. Wspólnik Giertycha był nie tylko związany z Hatrolem, lecz także reprezentował m.in. Witolda Hatkę. Zresztą usłyszał nawet zarzuty w tym śledztwie. Ostatecznie w grudniu 2011 roku spółka „Giertych i partnerzy" została zlikwidowana, ale były wicepremier dalej współpracował z Połetkiem.

Foka, Piński i miliony z Polnordu

Od początku najważniejszym klientem Giertycha był trójmiejski biznesmen Ryszard Krauze. To właśnie dzięki temu wpływowemu niegdyś jednemu z najbogatszych Polaków ekswicepremier zaczął zarabiać miliony, przenosząc siedzibę swojej kancelarii do okazałej kamienicy przy Nowym Świecie w Warszawie. Przez kilka lat Giertych obsługiwał interesy prowadzone przez Krauzego za pośrednictwem różnych spółek. Część transakcji znalazła się pod lupą prokuratury i CBA. Jednym z wątków badanych przez śledczych okazała się współpraca byłego wicepremiera z notowaną na giełdzie deweloperską spółką Polnord, kontrolowaną przez Krauzego. 28 lutego 2017 roku śledztwo w sprawie nieprawidłowości w tej spółce – zawiadomienia zarządu – wszczęła Prokuratura Okręgowa w Warszawie (potem prowadziły je kolejno Prokuratura Regionalna we Wrocławiu, Prokuratura Regionalna w Poznaniu, a obecnie Prokuratura Regionalna w Lublinie). Badając transakcje Polnordu, śledczy trafili na wątek adwokata. Okazało się, że jego kancelaria od września 2011 do czerwca 2019 roku na współpracy z Polnordem zarobiła miliony złotych. Wątpliwości śledczych wzbudziła część rozliczeń. Wśród nich okoliczności zakupu przez Polnord wierzytelności Prokom Investments za 73 mln zł. Były to roszczenia spółki wobec warszawskiego Ratusza za oddanie stworzonej na terenie „Miasteczka Wilanów" infrastruktury kanalizacyjnej. Nie wynikały jednak z żadnych umów zawartych z miastem (Ratusz od początku stał na stanowisko, że jej przekazanie miało nastąpić bezpłatnie). Śledczy uznali więc, że wierzytelności faktycznie były bezwartościowe. „Transakcja ta nie mogła się odbyć bezpośrednio między spółkami, bo musiałaby zostać ujawniona w raportach bieżących tych podmiotów i byłaby bezsprzecznie uznana za działanie na szkodę Polnordu. Aby tego uniknąć, Ryszard K. wszedł w porozumienie z adwokatem Romanem G., które doprowadziło do założenia dwóch fasadowych spółek" – wskazywała w październiku 2020 roku w jednym z komunikatów prokuratura. Podmioty te były kierowane przez zaufanych współpracowników byłego wicepremiera – Sebastiana J. (popularnego „Fokę", uchodzącego często za ochroniarza ekspolityka, pełnomocnika jego kancelarii) i Piotra Ś. (byłego posła LPR, byłego pracownika TVP). Podmioty te na papierze odkupiły wierzytelności od Prokom Investments, a następnie odsprzedały je Polnordowi. Uzyskane pieniądze – jak ustalili śledczy – trafiły do podmiotów zarejestrowanych na Cyprze. Jedna ze spółek-krzaków uczestnicząca w procederze została założona w lutym 2011 roku przez Ś. oraz jego żonę Annę. Przy okazji śledztwa okazało się, że podmiot ten od początku istnienia swoją siedzibę miał w mieszkaniu należącym do Urszuli P., konkubiny Jana Pińskiego. Kobieta została przesłuchana w śledztwie w charakterze świadka.

Wielkie omdlenie, wielka ucieczka

Według śledczych 2,4 mln zł z kwoty zapłaconej przez Polnord za wirtualne wierzytelności zgarnęła kancelaria Giertycha. Formalnie jako wynagrodzenie za świadczone usługi. Poznańscy śledczy odkryli również, że z Polnordu wyprowadzono kolejne 20 mln zł. Tym razem poprzez wielokrotne zawyżenie ceny nabywanego gruntu. Mechanizm był bardzo prosty. 22 września 2010 roku spółka P., kierowana przez Sebastiana J., kupiła nieruchomość za około 7,5 mln zł. Już osiem dni później odsprzedała ją Polnordowi za 27 mln zł. Według śledczych członkowie zarządu Polnordu mieli wiedzę, że pierwotny właściciel działki chcę ją sprzedać. Mogli więc nabyć ją bezpośrednio, a nie przez spółkę człowieka Giertycha.

15 października 2020 roku agenci CBA działając na polecenie Prokuratury Regionalnej w Poznaniu (obecnie śledztwo w tej sprawi prowadzi Prokuratura Regionalna w Lublinie) zatrzymali m.in. Krauzego, Giertycha i Sebastiana J. Adwokat zemdlał jednak w czasie przeszukania domu. Został odwieziony do szpitala. Od po-

eprasa.pl 14a99e893b

czątku przekonywał, że sprawa ma charakter polityczny, a zarzuty zostały mu przedstawione nieskuteczne, gdy leżał na łóżku w szpitalu (twierdzi, że był wówczas nieprzytomny). Wniosek prokuratury o areszt tymczasowy odrzucił sąd w Poznaniu, a Giertych krótko potem wyjechał za granicę, przebywa obecnie we Włoszech. Od początku podkreślał, że do zatrzymania doszło przed posiedzeniem sądu mającego rozpatrzyć wniosek o tymczasowe aresztowanie biznesmena Leszka Czarneckiego, klienta Giertycha. Podobnie jak prawnik, on również przebywa za granicą, a śledczy nie mogą przedstawić mu zarzutów związanych z aferą GetBack.

Sam Giertych od roku nie stawia się na wezwania prokuratury. Jednocześnie za pośrednictwem mediów społecznościowych i zaprzyjaźnionych dziennikarzy atakuje rząd i organa ścigania, przedstawiając się jako polityczna ofiara rządu Zjednoczonej Prawicy. Twierdzi, że był rzekomo nielegalnie inwigilowany przez system Pegasus. Dowodem ma być raport kanadyjskiego laboratorium Citizen Lab, działającego w ramach państwowego Uniwersytetu w Toronto. Z dokumentu wynika, że telefon prawnika w ostatnich czterech miesiącach 2019 roku został 18 razy zhakowany przez system Pegasus. Pierwszy raz trzy miesiące po zakończeniu przez niego współpracy z Polnordem. „Gazeta Polska" ujawniła, że działania te były zgodne z prawem. Kontrolę operacyjną Giertycha w 2019 roku zaakceptował Sąd Okręgowy w Warszawie w związku ze ściśle tajną operacją CBA. Prawnik straszy jednak pozwami każdego, kto będzie wskazywał, że był legalnie inwigilowany. Zapowiada też udzielenie pomocy „przyjaciołom" z opozycji w celu ustalenia, czy również padli rzekomo ofiarą Pegasusa. „[w CitizenLab] oczekują na dalsze dane i jest pełna otwartość. Jest jeden warunek – trzeba mieć iPhone'a, bo na androidzie nie badają. To pewien minus, bo wiele osób ma inne systemy" – tłumaczył w wywiadzie udzielonym Dorocie Wysockiej-Schnepf z „Gazety Wyborczej". Prywatnie to żona Ryszarda Schnepfa, który w okresie rządów PO-PSL został najpierw ambasadorem RP w Hiszpanii, a potem w Stanach Zjednoczonych (został odwołany kilka miesięcy po objęciu władzy przez Zjednoczą Prawicę). W tym czasie szefem MSZ był Radosław Sikorski, przyjaciel i klient Giertycha.

Książki, kasa i „way of life"

Prawnik reprezentował też innych wpływowych polityków PO, na czele z liderem tej partii i byłym premierem Donaldem Tuskiem. Jednak to właśnie w okresie rządów jego przyjaciół – jak sam ich nazwał – był moment, w którym jego kariera ponownie zawisła na włosku, także ze względu na... Kulczyka. W połowie 2014 roku tygodnik „Wprost" ujawnił nagranie spotkania, do jakiego doszło trzy lata wcześniej w kancelarii przy Nowym Świecie. Uczestniczyli w nim – oprócz Giertycha – jego zaufany człowiek Jan Piński i Piotr Nisztor, wówczas dziennikarz śledczy „Rzeczpospolitej" (obecnie „Gazety Polskiej"), który przygotowywał biografię Kulczyka. Rozmowa dotyczyła zakupu praw autorskich do tej publikacji. „Piotrek, moja ostateczna propozycja: cztery stówy [400 tys. zł – red.] i dziesięć pro [10 proc. kwoty otrzymanej od Kulczyka – red.]" – mówił Giertych podczas rozmowy, którą nagrał Nisztor. Adwokat nie chciał publikować książki, ale odsprzedać ją bohaterowi. Miał zaproponować także wspólny „interes". „Masz materiał na następną książkę, to możemy zrobić firmę, tak? Ja daję opiekę prawną. Wszystko załatwię tak, żeby było koszerne. Ty zbierasz materiały, ty piszesz, zadajesz pytania" – mówił i tak opisywał proponowany „biznes": „Bo możemy taki »way of life« zrobić. Ty będziesz pisał, a ja będę, słuchaj, sprzedawał to. Dawał ci support prawny [...]. Bierzemy sobie następnego. Bezpieczeństwo całej operacji. Bierzemy to jak przez śluzę. Czy nie możemy napisać książki o Sołowowie? O Czarneckim można napisać trzecią książkę". Nisztor odrzucił propozycję, a książka (jej współautorem jest Cezary Bielakowski) ukazała się nakładem wydawnictwa Fronda. Giertych po ujawnieniu nagrania starał się tłumaczyć, że propozycja złożona Nisztorowi była blefem, a on działał w imieniu swojego klienta, którym – jak się potem okazało – miał być Krauze. Śledztwo w sprawie treści nagrania prowadziła Prokuratura Okręgowa w Warszawie. Postępowanie umorzono, a stołeczna Okręgowa Rada Adwokacka nie dopatrzyła się złamania przez Giertycha zasad etyki.

Kulczyk: „Dla mnie to są agenci rosyjscy"

Kulczyk, który zmarł w lipcu 2015 roku, nigdy nie wypowiadał się publicznie o Giertychu. Nie miał o nim jednak dobrego zdania. Wątek prawnika pojawił się podczas rozmowy, jaką miliarder w maju 2013 roku w restauracji Amber Room odbył z Radosławem Sikorskim, ówczesnym szefem MSZ, prywatnie przyjacielem Giertycha. Spotkanie zostało zarejestrowane. Nagranie pod koniec 2018 roku ujawnił portal tvp.info. „Giertych teraz żałuje błędów, które popełnił w relacjach [z tobą]" – przyznał Sikorski. „Niepotrzebnie" – odpowiedział Kulczyk. „On mówi: byłem młody, głupi, nie zdawałem sobie sprawy, skłamałem, błąd" – kontynuował Sikorski. W pewnym momencie Kulczyk tak powiedział o Giertychu: „Rosjanie o tym doskonale wiedzieli, że jak mnie ustrzelą, to nie będzie tego spiritus movens, który to wszystko [...]. I Giertycha wykorzystali. Giertycha, tych wszystkich innych, wiesz... no co, faktycznie. Kaczmarek oczywiście był [...]. dla mnie to są agenci rosyjscy. Kaczmarek [drugie nazwisko niezrozumiałe], ci wszyscy...". Giertych na TT starał się bagatelizować sprawę: „Stare kotlety PiS". ■

eprasa.pl 14a99e893b

Ryszard Czarnecki

Giertych. Co się z nim stało?

Co skłoniło ekswicepremiera już nie do flirtu, nie romansu, lecz politycznego małżeństwa z ludźmi, których przez lata pozycjonował jako wrogów Polski?

Problemem polskiej polityki był od dawna brak ciągłości. Syn szedł do partyzantki, jak ojciec i dziadek, walczył w powstaniu, a nie był posłem jak antenaci. Z zazdrością obserwowałem, jak inaczej jest w Anglii czy Francji, a nawet w Niemczech (skądinąd von der Leyen – niemiecka przewodnicząca Komisji Europejskiej, to córka premiera landu Dolna Saksonia – Ernesta Albrechta). Jednym z wyjątków od tej nieszczęsnej polskiej reguły jest rodzina Giertychów. Dziadka Jędrzeja poznałem w „polskim Londynie". Przedwojenny działacz Obozu Narodowego, bardzo płodny pisarz polityczny, człowiek olbrzymiej pracowitości, pasjonat polityki, z którym czasem nie sposób się było zgadzać, ale trudno było go nie szanować za jego osobistą uczciwość. Na obczyźnie potrafił pogodzić utrzymanie wielodzietnej rodziny z aktywną działalnością polityczną. Jedna z córek została przewodniczącą Polskiej Macierzy Szkolnej w Anglii, syn – księdzem (z czasem bardzo wpływowym w Watykanie), inny syn – biolog, profesor dendrologii – postanowił przyszłość związać z Polską.

Maciej Giertych pracował naukowo w Wielkopolsce, zaczął się też udzielać politycznie, nie tylko kolportując książki i czasopisma „Opoka", wydawane przez ojca w Londynie, lecz także doradzając prymasowi Polski Józefowi Glempowi, by potem niespodziewanie zostać członkiem Rady Konsultacyjnej przy generale Jaruzelskim, co dla szeregu narodowców było niedopuszczalnym przekroczeniem Rubikonu – choć z drugiej strony była w tej decyzji pewna logika: Giertych senior głosił koncepcję, w myśl której trzeba działać pozytywistycznie i „przejmować" państwo, jednocześnie zwalczając silny kosmopolityczny nurt w opozycji („lewica laicka"). Po latach profesor Giertych został europosłem z listy Ligi Polskich Rodzin i szefem 10-osobowej delegacji LPR, wtedy drugiej polskiej siły w PE (PO miało 15 europosłów, PiS – 7, Samoobrona – 6). Maciej Giertych miał bardzo zdecydowane poglądy, a jednocześnie był człowiekiem grzecznym, dobrze wychowanym i dalekim od brutalnego atakowania kogokolwiek.

W tym czasie, gdy ojciec kierował europarlamentarnym LPR (który zresztą dość szybko podzielił się i w dużej mierze zasilił PiS), syn Roman już od paru lat był w Sejmie. Ten były szef Młodzieży Wszechpolskiej miał niewątpliwie polityczną smykałkę: współtworzył LPR, na fali zapaści AWS wprowadził ją do Sejmu, a potem umiejętnie wykorzystał referendum akcesyjne w 2003 roku. Wezwał do wzięcia w nim udziału (inaczej niż Antoni Macierewicz, który sugerował bojkot) i głosowania na „nie". Spowodował w ten sposób, że wielu z 23 proc. głosujących przeciw akcesji utożsamiło się z LPR. Stąd jego wielki sukces w wyborach europejskich (15,92 proc.), gdzie wyraźnie zdystansował PiS (12,67 proc.). Rok później Liga ponownie zameldowała się w Sejmie, a po kilku miesiącach funkcjonowania mniejszościowego rządu PiS Giertych objął już w rządzie koalicyjnym stanowisko wicepremiera i szefa MEN. Od razu stał się tarczą strzelniczą dla „Gazety Wyborczej" i medialnego establishmentu. „GW" z lubością cytowała hasła z demonstracji przed gmachem MEN: „Giertych do wora, wór do jeziora". Wydawało się, że wspólna nienawiść TVN i Agory do LPR i PiS będzie Giertycha zbliżać do Jarosława Kaczyńskiego. Tymczasem nagle Giertych się zakiwał, chciał obalić rząd, w którym był, zaczął paktować z „Salonem". Po wyborach wypadł z polityki , stając się jedynie (aż?) dyżurnym komentatorem TVN 24. Nie wiem, czy powodowała nim obsesyjna niechęć do Kaczyńskiego i PiS? Był politykiem raczej chłodnym, a nie zakładnikiem własnych emocji. Czy raczej robił to z wyrachowania, uznając, że opłaca się zagrać w jednej drużynie z wrogami ideowymi i politycznymi? I tego właśnie nie rozumiem. Dziadek zwalczał zaciekle kosmopolitów i internacjonalistów, ojciec był ich przeciwnikiem, syn z nimi paktuje. Co skłoniło ekswicepremiera już nie do flirtu, nie romansu, lecz politycznego małżeństwa z ludźmi, których przez lata pozycjonował jako wrogów Polski? Co się z nim stało ? ■

eprasa.pl 14a99e893b

Jakub Augustyn Maciejewski

CZAS TO POJĘCIE WZGLĘDNE, KALENDARZ – IDEOWE

Epoka lotów kosmicznych i odkryć Alberta Einsteina przyzwyczaiły traktować czas jako zjawisko fizyczne, niezależne od nas. Tymczasem przez 6 tysięcy lat ludzie zapisywali swoje przekonania i zostawiali ślady w metodach liczenia czasu. Kalendarz jako księga idei – oto wszechobecne przekonanie wszystkich cywilizacji.

eprasa.pl 14a99e893b

FOT. ADOBE STOCK

Liczenie czasu jest – wbrew pozorom – nauką bardziej humanistyczną niż matematyczną, a to z tego powodu, że rok astronomiczny jest bardzo niestandardowy. Jak wiemy, okrążenie Ziemi wokół Słońca trwa 365 dni 5 godzin 48 minut, zaś miesiąc – w starożytnym sensie od pełni księżyca do pełni księżyca – 29 dni, 12 godzin, 44 minuty i 3 sekundy. Dla ludów żyjących w terenach, gdzie zmieniają się pory roku, bardziej przydatny był rok słoneczny, zaś dla pustynnych plemion ważniejsza była krótsza i bardziej widoczna miara czasu – miesiąc księżycowy (to dlatego w języku staropolskim na Księżyc mówiło się „miesiąc"). Tymczasem tych dwóch kalendarzy nie da się zespolić w jedno, bo jeśli podzielimy rok astronomiczny na miesiące księżycowe, to zostanie nam nadmiarowo 17 dni – bez sensu! I tak oto ludzkość od tysięcy lat zmaga się z tym, że jej liczby nie przystają do astronomiczno-księżycowej rzeczywistości. Dlatego w tych nazwach i kalendarzach zadomowili się bogowie, obyczaje, a nawet symbole władzy.

Dzisiejsze komplikacje

Nawet w tym rozwiniętym XXI wieku mamy problemy kalendarzowe, bo przecież rok przestępny jest nieproszonym gościem, niestandardową kartą w naszych kalendarzach. Zdarza się on co cztery lata, a do 1582 roku go nie było, przez co rachuba czasu co 128 lat traciła jeden dzień! Po 1500 latach pory roku przesunęły się o prawie dwa tygodnie, co zaczęli odczuwać nawet zwykli, niewykształceni ludzie. Ciekawe, że liczenie czasu uratował wtedy Kościół katolicki, który rozpisał – całkiem nowocześnie to brzmi – konkurs na rozwiązanie problemu, że kalendarz juliański (od czasów Juliusza Cezara) opóźnia się względem kosmosu. Z całej Europy napływały różne koncepcje, przede wszystkim takie, by przeskoczyć 10 brakujących dni i w ten sposób dogonić rzeczywistość. Problem polegał na tym, że dalej raz na 128 lat gubił się jeden dzień – a Kościół nie lubi tymczasowych i pobieżnych rozwiązań. Papież Grzegorz XIII wprowadził specjalną bullę Inter gravissimas, po tym, jak przyjął propozycję włoskiego lekarza Luigiego Giglia o wprowadzenie roku przestępnego – to od 1582 roku co cztery lata miesiąc luty miał mieć nie 28 a 29 dni.

Choć sprawa była ewidentnym sukcesem naukowym, to część świata go zbojkotowała. Europa XVI wieku była już podzielona i rozbita herezją protestancką – Anglia, Skandynawia czy połowa Rzeszy Niemieckiej wybrały nauki Lutra czy Kal-

eprasa.pl 1ca99e893b

wina i odrzuciły zwierzchnictwo papieża. Protestanci zgodnie uznali, że przyjęcie nowego kalendarza byłoby uznaniem wyższości katolików, więc odrzucili precyzyjne obliczenia matematyczne.

Polska była wśród pierwszych, którzy przyjęli bullę. Rzekomo postępowe społeczeństwa protestanckie okazały się więc jednoznacznie zacofane. Takie Czechy dały się przekonać po dwóch latach, Prusy dopiero w 1610 roku, Dania w 1700 roku, Szwecja w 1612 roku, a Wielka Brytania dopiero w 1752 roku, czyli gdy ich kalendarz „zgubił" kolejny dzień. To pokazuje, jak bardzo ludzkie wyobrażenia i idee, a także władza zawarta w kalendarzu, potrafiły wpłynąć na naukę, którą na przekór papieżowi ostentacyjnie odrzucano.

Ludzie i bogowie

Nawet w nazwach naszych kalendarzy pozostają zapisy walki bogów i ludzi. Marzec, nazywany na Zachodzie od łacińskiego słowa „martiis", był czasem boga Marsa, bowiem właśnie na wiosnę rzymskie legiony wychodziły toczyć kampanie wojenne. Zimą walki zamierały, a marzec – jako pierwszy wówczas miesiąc roku – otwierał nowy sezon bitewny.

Gdy kapłani rzymscy na polecenie Juliusza Cezara dodali dwa miesiące (styczeń i luty), nie zmieniono nazw ostatnich czterech miesięcy. I tak oto grudzień jest dwunastym miesiącem w roku, ale po łacinie (ale także po francusku czy angielsku) nazywa się „miesiącem dziesiątym" (decembris), listopad, październik i wrzesień także są ponumerowane z przesunięciem o dwa miejsca. W roku 2022 mamy więc nadal ślady walki ideowej elit rzymskich sprzed 2000 lat. Ale dlaczego walki?

Przed Juliuszem Cezarem to kapłani ogłaszali, kiedy kończy się rok i zaczyna „miesiąc Marsa". Kalendarz był nierówny, więc mieli oni prawo dodawać lub wydłużać miesiące – i tu do gry wchodziła polityka. Jako że w Rzymie rządzili wówczas wybierani na rok konsulowie, to kapłani mogli im poprzez manipulacje kalendarzem wydłużać lub skracać kadencję. Ukrócił to właśnie Juliusz Cezar, wprowadzając kalendarz juliański, poprawiony dopiero przez wyżej opisanego papieża Grzegorza XIII.

Ale to nie koniec rzymskich wpływów. Lipiec, czyli Julius, July, został tak nazwany na cześć Juliusza Cezara, a sierpień na cześć jego następcy – cesarza Augusta. Jeśli te nazwy przetrwały na Zachodzie dwa tysiące lat, to po raz kolejny obrazuje wpływ idei na precyzyjną rzeczywistość. Letnie nazwy miesięcy świadczą zatem o tym, że 2000 lat temu Rzym był tak potężny i rozwinięty, tak wpływowy i długowieczny, że wprowadził idee nazwania czasu, które przetrwały samo imperium. Żaden cesarz ani kapłan nie zdołał tych nazw zmienić, choć podjęto jedną wielką próbę w tym zakresie. Miało to miejsce podczas rewolucji francuskiej.

Dziesięciodniowy tydzień

Gdy przywódcy rewolucji francuskiej obalili monarchię, wydawało im się, że obalili porządek świata. Monarchie istniały od półtora tysiąca lat, królestwo francuskie było najstarszym z nich i oto republikanie w Paryżu zmienili na zawsze historię – czemu więc, myśleli, nie zmienić kalendarza, nazw, bogów? Francuskim myślicielom oświecenia wydawało się, że stworzą coś lepszego niż kalendarz gregoriański, który był skomplikowany i zawierał potężny ładunek tradycji i śladów historii. Czterdziestoletni matematyk Gilbert Romme chciał rok astronomiczny podzielić po równo, przejrzyście i w sposób łatwy do zapamiętania. Rok był więc podzielony na cztery pory roku, każda pora roku na trzy miesiące, a każdy miesiąc na 30 dni. Zostawało jednak pięć dni nadwyżki! Romme postanowił wyłuskać te dni i przeznaczyć jako rodzaj skróconego tygodnia, który będzie przeznaczony na świętowanie i celebrowanie wielkości francuskiej republiki – bo przecież nie Boga, którego rewolucja chciała znieść.

Zmieniono także wszystkie nazwy, a wymyślił je francuski poeta i rewolucjonista Philippe Fabre d'Églantine, nazywając miesiące i dni przyrodniczo: kiełek, mgła, mróz, winobranie, węgiel, dynia – i tak dalej.

Zmiana kalendarza była nie tylko moralną pychą i megalomańską ideą, była też naznaczona błędami logicznymi. Stworzenie specjalnego „pięciodniowego" tygodnia dawałoby decydentom podobną władzę do rzymskich kapłanów, a przecież Juliusz Cezar chciał, by kalendarz był niezależny od kaprysów ludzi. A nazwy? „Mróz" czy „winobranie" pasowałyby tylko do francuskich realiów, a republika chciała przecież stworzyć idee, które obejmą cały świat. Jak więc Argentyna miałaby w środku swojego lata odliczać dni „mrozu", a pustynna Arabia obchodzić miesiąc „winobrania"?

Ale największy błąd twórców kalendarza był inny – ich tydzień trwał nie siedem, lecz dziesięć dni. To oznaczało, że ludzie musieli pracować nie sześć dni, by doczekać dnia wolnego, ale aż dziewięć. Kalendarz ostatecznie zniesiono w 1802 roku – zrobił to Napoleon Bonaparte. A więc efeme-

eprasa.pl 14a99e893b

ryczna, krótko żyjąca republika nie miała nawet cienia tej mocy co starożytny Rzym czy papież Grzegorz XIII. Dwóch pyszałków, którzy ten kuriozalny kalendarz wymyślili, skończyli na rewolucyjnej gilotynie.

Era – wielki znak ideowy

Z kalendarzem jest nieco jak z monetą czy banknotem – tak jak wizerunek na pieniądzu deklaruje wartości państwowe, tak liczenie lat w ramach konkretnej ery jest deklaracją całej cywilizacji. I tak starożytni Grecy liczyli lata od pierwszej olimpiady, bo w ich świecie był to symbol ponadpaństwowego porozumienia i kulturowo-sportowej rywalizacji, starożytni Rzymianie liczyli lata „Ab urbe condita" (od założenia miasta, swojej stolicy), Arabowie liczą lata od Hidżry, czyli ucieczki Mahometa z Mekki do Medyny, która zapoczątkowała religię islamską – dziś ich cywilizacja ma 1441 rok. Świat zachodni liczy swoją erę od narodzin Chrystusa, ale nie zawsze tak było. Przez pierwsze stulecia, jako że chrześcijanie żyli na ziemiach objętych dziedzictwem Rzymu, w którym urzędował papież, posługiwano się starożytną metodą liczenia lat od założenia Rzymu – 753 rok przed naszą erą. W początkach VIII wieku nowy system stworzył wybitny intelektualista – benedyktyński mnich Beda Venerabilis (łac. Czcigodny). Duchowny wyliczył, że Jezus urodził się w roku, który dziś nazywamy pierwszym rokiem naszej ery. Kościół stopniowo przyjął to za najważniejszy wyznacznik nowej ery, choć dziś ta data jest kwestionowana, być może Beda się pomylił. I tak oto przez ponad tysiąc lat większość świata przy dacie pisała literki „A.D.", czyli Anno Domini (roku pańskiego). Oprócz więc matematycznej i kalendarzowej praktyki dochodziła tu deklaracja ideowa – że chrześcijaństwo jest najważniejszym zbiorem wartości.

Także tego nie mogli znieść twórcy rewolucji francuskiej – próbowali liczyć nową erę od 1792 roku, gdy ustanowiono republikę w miejsce monarchii. Gdy jednak kalendarz chrześcijański powrócił, środowiska ateistyczne wymyśliły, w jaki sposób zachować praktyczny i precyzyjnie wyliczony kalendarz chrześcijański i jednocześnie usunąć owe rażące ich „A.D.". W ten sposób powstało określenie – „naszej ery", które dopisywane jest do konkretnych dat.

Dawna Europa znała jeszcze coś na kształt minier, epok. Monarchowie w dokumentach państwowych liczyli lata od początku swojego panowania, co w Polsce przetrwało stosunkowo długo – do XVIII wieku. Bardziej niż cele praktyczne było to właśnie podkreślenie powagi i dostojności władcy.

Kłopoty świata rosyjskiego

Z wielkimi oporami przed normalnym kalendarzem broniła się Rosja. Świat prawosławny przejął rachubę lat w spadku po Cesarstwie Bizantyjskim, które zaabsorbowało stare greckie wyobrażenie, że czas powinno się mierzyć od stworzenia świata. Oczywiście nie było wtedy badaczy, którzy by stwierdzili, że sama Ziemia ma 4,5 miliarda lat, ale wschodnioeuropejski świat poradził z tym sobie inaczej. Teologowie policzyli stworzenie świata według Starego Testamentu, który przecież dochodzi do czasów historycznych, które średniowiecznym mędrcom były już znane. Sumując pokolenia kolejnych pokoleń żydowskich i szacując, kiedy się oni narodzili, a kiedy zmarli, duchowni Bizancjum stwierdzili, że Bóg stworzył świat w 5509/5508 roku p.n.e. Cesarstwo wschodniobizantyjskie upadło pod ciosami Turków Osmańskich w 1453 roku, ale sam kalendarz przetrwał w Moskwie, która ściśle przestrzegała odrębności Cerkwi prawosławnej, także w zakresie liczenia dat.

Rosjanie byli tak niechętni nowinkom z Zachodu czy w ogóle reformom obyczajowym, że w kraju potrafiły wybuchać o to wojny domowe. Gdy patriarcha moskiewski Nikon oczyścił teologię prawosławną z miejscowych i niezgodnych z pismami pierwszych biskupów treści oraz próbował dostosować liturgię do klasycznych greckich wymagań, w państwie carów wybuchł bunt, którego skutki widać do dzisiaj. Nastąpił Raskoł – podział Cerkwi na zreformowaną (jak chciał Nikon) i staroobrzędową, która odrzuciła wszelkie zmiany, takie jak przeżegnanie się trzema, a nie dwoma palcami albo ilość pokłonów w modlitwie św. Efrema. Na czele przeciwników reformy stanął Awwakum i w kraju wybuchła wojna domowa!

Dlaczego o tym wspominać przy okazji kalendarza? Otóż Cerkiew po Nikonie była choć odrobinę skłonna do zmian, zaś staroobrzędowcy liczą dziś lata tak jak w średniowiecznym Bizancjum i mają dziś 7529 rok od stworzenia świata! Także w Polsce, nielicznie na Podlasiu, można natknąć się na skromne i żyjące na uboczy parafie Cerkwi staroobrzędowców.

Tymczasem Moskwa potrzebowała modernizacji. Zmianę nie tylko technologii, lecz także mentalności podjął car Piotr I – od wojska przez budowę floty czy szkół wojskowych, przeniesienie stolicy do

eprasa.pl 14a99e893b

Sankt Petersrburga po golenie bród i zmianę kalendarza. W 1700 roku w Rosji wprowadzono kalendarz zachodni – ale była to jego juliańska odsłona, czyli ta opóźniona – wówczas – już o 11 dni. Dlatego w dokumentach rosyjskich pojawia się notowanie „starego" i „nowego" stylu, bo od czasów Piotra I liczono lata według wytycznych Juliusza Cezara, a Zachód według papieża Grzegorza XIII.

Co ciekawe, drugi skok modernizacyjny zafundował Rosjanom Lenin. To w 1917 roku komunistyczny dyktator nakazał przyjąć kalendarz gregoriański, co w pewnym stopniu było paradoksem – oto komunistyczny ateista musi skorzystać z wynalazku katolickiego papieża. Tak oto osiągnięcie kościelnego duchowieństwa zapanowało nad większością świata.

Kalendarz polski

Nie tylko całe cywilizacje nadają znaczenie poszczególnym częściom kalendarza. To wspólnoty nadają swoimi wyobrażeniami odbiór świata, nawet w liczeniu czasu pokazują, co jest albo było dla nich ważne, umieszczają w nazwach swoich bogów albo opisy swojej rzeczywistości. W polskim „sierpniu" sierpem ścinało się zboże, w grudniu ziemia była skuta w mroźne grudy, a w listopadzie opadały liście.

Kalendarz astronomiczny wzbogacają jeszcze bogatsze wątki kulturowe, narodowe, swoje osobne zyskują miesiące, a nawet dni. Zofia Kossak każdy z miesięcy na ziemiach polskich opisała w książeczce „Rok Polski", a jako kobieta, która gospodarowała niejednym dworkiem szlacheckim, poumieszczała w poszczególnych rozdziałach rytm życia przyrody i zajęć codziennych. Ale przy jednym z miesięcy, po barwnym przedstawieniu, jak późnym latem zmieniają się roślinność, pogoda i wiejskie obowiązki, rzuca mocny i druzgoczący akcent: „Od dnia 1 września 1939 roku tamte wrażenia zapadły w niepamięć. Odtąd dla każdego Polaka, gdziekolwiek by się znajdował, wrzesień jest miesiącem klęski" – pisała w 1955 roku. Sceny z września pamiętała doskonale, sama była zagorzałą działaczką Państwa Podziemnego, pisarką, która utrwaliła dziesiątki wydarzeń z czasów wojny. „Przez wyzłocony słońcem krajobraz tysiące zbiegów wędruje na wschód dziwacznymi taborami, gdzie chłopskie konie ciągną auta bez paliwa, wozy zaprzężone w krowy pośród morza pieszych" – relacjonowała pisarka. Te obrazy pokazują miesiąc letnio-jesienny jako koniec jakiejś epoki. „Wędrują, mijając po drodze żałosne szczątki zdruzgotanej państwowości polskiej w postaci uciekającej policji lub straży ogniowych. Wędrują ludzie obłąkani z rozpaczy, ludzie skowyczący z bólu jak zwierzęta, ludzie padający na szosie zamienionej w krwawe pobojowisko przez nurkujące nisko samoloty nieprzyjaciela. Wędrują dzieci płaczące, gdyż zgubiły w zamieszaniu rodziców, rodzice odchodzący od zmysłów, gdyż zgubili dzieci, żołnierze bez broni, bez oddziałów. Pożary na prawo, pożary na lewo, łuny na wprost, zatarasowane drogi, a ponad wszystko, silniejsze niż ból i trwoga, poczucie, że Polska zginęła..." – przytaczała Kossak i dodawała: „Wrześniu, kto ciebie widział w owym kraju...".

Do dziś czujemy tamten jeden Wrzesień – co roku 1 września odliczamy kolejny rok od wybuchu II wojny światowej która na lata zmiotła wolną Polskę z map świata. Czyż nie ma więcej takich wyjątkowych dat, które nas ukształtowały? 1 sierpnia o godzinie 17.00 cała Warszawa zamiera, przypominając Powstanie, 11 listopada demonstrujemy polskość, która znów jest zagrożona. Słowacki w „Kordianie" twierdził, że „Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora", co przez dekady przypominało o powstaniu 1830 roku, a co kilka dekad obchodzimy okrągłą rocznicę naszej małej, polskiej ery – od chrztu Mieszka I w 966 roku.

Wszystko jest polityką

Burzliwe dzieje kalendarza ludzkiego pokazują, jak same nauki ścisłe nie są w stanie narzucić jednego modelu wyobrażenia o świecie, udowadniają, jak bardzo człowiek jest uzależniony od kultury i historii. Nie dałoby się przecież liczyć nowej ery od stworzenia świata – nawet gdyby precyzyjnie to policzono – bo któż by pisał na dokumentach, że mamy oto rok cztery miliardy pięćset dwadzieścia trzy miliony sześćset piętnaście tysięcy dwieście osiemdziesiąty dziewiąty?

Człowiek patrzy na świat swoimi oczami, rejestruje go w swojej pamięci i przekazuje w swojej interpretacji potomstwu, uczniom i bliskim – podlega temu nawet upływający czas. Można by tutaj parafrazować fizyka Alberta Einsteina, który przecież przyznał, że czas jest pojęciem względnym nawet na płaszczyźnie naukowej, fizycznej, matematycznej. Warto też odnotować, że nawet liczenie lat i dni, mówienie o epokach i wskazywanie na ważne daty jest częścią polityki i walki świadomości człowieka. To ważne, czy obchodzimy 100. rocznicę odzyskania niepodległości czy czterdziestolecie PRL; czy uznajemy narodziny Chrystusa, czy ważniejsza jest hidżra Mahometa. Pytania o kalendarz mogą powrócić w nadchodzącej, nowej epoce... ■

eprasa.pl 14a99e893b

Małgorzata Matuszak

Kim są... aniołowie

„Aniele Boży, Stróżu mój, / Ty zawsze przy mnie stój, / Rano, wieczór, we dnie, w nocy, / bądź mi zawsze do pomocy. / Strzeż duszy i ciała mego / i zaprowadź do życia wiecznego. Amen". Ta modlitwa do Anioła Stróża, w jednej z trzech jej wersji, towarzyszy nam od dzieciństwa. Często jest naszym pierwszym „paciorkiem". Każdy z nas ma bowiem swego Anioła Stróża, który towarzyszy nam przez całe nasze życie, wspiera nas i strzeże przed złem, torując nam drogę do nieba. Troszczy się o nas nawet w najdrobniejszych kwestiach dotyczących naszej codzienności, od narodzin do śmierci.

Wyraz „anioł" pochodzi od greckiego słowa „angelos", oznaczającego „posłańca", „wysłannika". W Starym Testamencie analogiczne byty duchowe nazywane są „malach", słowem również oznaczającym „posłańca". Zarówno „angelos", jak i „malach" wyrażają posłańca „w ogóle", nie rozróżniając jego boskiej bądź ludzkiej natury. Odróżnienie to pojawiło się dopiero wraz z łacińskim przekładem Biblii – słowa „angelus", będącego zlatynizowaną formą greckiego „angelos", zaczęto używać tylko w odniesieniu do posłańca boskiego. Święty Augustyn rozstrzygając kwestię natury aniołów, pisze: „Anioł oznacza funkcję, nie naturę. Pytasz, jak się nazywa ta natura? – Duch. Pytasz o funkcję? – Anioł. Przez to czym jest, jest duchem, a przez to co wypełnia, jest aniołem".

Katechizm Kościoła katolickiego mówi nam o tym, że istnienie aniołów jest prawdą wiary. Są one stworzeniami czysto duchowymi, posiadającymi rozum i wolę, osobowymi i nieśmiertelnymi, przewyższającymi doskonałością wszystkie stworzenia widzialne, o czym świadczy blask ich chwały. Pełnią funkcję oświecającą – przekazują Bożą prawdę innym bytom rozumnym, czyli nam, ludziom. Anioły nie funkcjonują w czasie, nie podlegają zatem zmianom, ale jako istoty, które się nami opiekują, znajdują się w sytuacjach, w których działania czasu, przestrzeni i zmian obowiązują. I najlepiej wiedzą, jak w danej sytuacji zareagować, jak nam pomóc.

Z Pisma Świętego, które około 300 razy wspomina anioły, nie wynika dokładnie, jaka jest ich natura i jak wygląda struktura Nieba. Więcej dowiedzieć się o nich możemy z pism kabalistycznych i apokryfów, a także z pism teologów i filozofów. Już Arystoteles pisał o istnieniu substancji niematerialnych, które Awicenna nazwał właśnie aniołami. Z Objawienia znamy nazwy i hierarchię chórów anielskich. Filozoficznie uporządkował ją Pseudo-Dionizy Areopagita, który scharakteryzował duchy niebieskie poprzez ich funkcje. Podzielił anioły na trzy hierarchie, te zaś jeszcze na trzy chóry, z których każdy ma własny porządek: najwyższy, średni i najniższy. Anioły pierwszej hierarchii – Serafini, Cherubini i Trony – kontemplują Stwórcę; anioły drugiej hierarchii – Panowania, Moce i Trony (według innego nazewnictwa: Państwa, Księstwa i Zwierzchności) – administrują Wszechświatem; anioły trzeciej hierarchii – Zwierzchności (Mocarstwa), Archaniołowie i Aniołowie – wypełniają polecenia Boga.

Anioły najlepiej wiedzą, jak w danej sytuacji zareagować, jak nam pomóc.

W tradycji Kościoła katolickiego ważną rolę odgrywają archaniołowie, czyli najwyżsi posłańcy, którymi Bóg posługuje się do przekazywania ważniejszych przesłań. Powszechnie wymieniani i czczeni są trzej, występujący w Piśmie Świętym imiennie. Ich imiona są „mówiące" – mówią o Bogu i o nich samych, co spolszczenie ich imion zatraca. Wszystkie te trzy imiona kończą się bowiem na „el", końcówką oznaczającą samego Boga. Imię Gabriel mówi „potężny jak Bóg", Michael – „któż jak Bóg", Rafael – „Bóg leczy". Kiedy mówimy Michał czy Rafał, wymowa ich imion przestaje być już tak oczywista.

W dzisiejszych czasach banalizujemy anioły. Stały się dla nas sympatycznymi gadżetami. Warto jednak pamiętać o tym, że są one wysłannikami Boga i że – nawet te najniższej rangi, jakimi są najczęściej nasi Stróżowie – wypełniają Jego Wolę. Pamiętajmy o słowach Boga z Księgi Wyjścia: „Oto ja posyłam Anioła przed tobą [...] Szanuj go i bądź uważny na jego słowa, bo imię moje jest w nim".

eprasa.pl 14a99e893b

Józef Wieczorek

Ku jakiej cywilizacji zmierza świat akademicki

Żyjemy w okresie nasilenia wojny cywilizacji i widocznego schyłku cywilizacji łacińskiej, której dalsze istnienie jest zagrożone. Widać to wyraźnie w domenie akademickiej, bo uniwersytety stanowiły jedną z najważniejszych ostoi tej cywilizacji, a obserwujemy ich kryzys, i to nie tylko na Zachodzie, lecz także w Polsce, uważanej za ostoję cywilizacji łacińskiej w dobie współczesnej.

eprasa.pl 14a99e893b

FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP

Jedną z cech cywilizacji łacińskiej jest dążenie do poznania prawdy i to zakładane w średniowieczu uniwersytety były przez wieki jej nośnikiem. Dziś ten okres jest traktowany jako czas ciemnoty, do którego postępowcy nie chcą powracać. Tak argumentowali w 2021 roku panowie profesorowie, stojąc przed murami najstarszego polskiego uniwersytetu, mając w tle pomnik średniowiecznego jej studenta Mikołaja Kopernika, czyli w ich postępowej opinii chyba uważanego za „ciemniaka". Niestety w czasach postępu brakuje nam takich „ciemniaków", a profesorów, i to postępowych, mamy moc, gdy uniwersytety w niemocy.

Uniwersytety abdykują z prawdy

Nie jest tajemnicą, że obecne postępowe uniwersytety odżegnują się od swoich korzeni, nawet stosunkowo bliskiej historii, a przede wszystkim abdykowały z poszukiwania prawdy na rzecz promowania ideologii gender i poszukiwania odmiennych orientacji seksualnych. Czy można je nadal nazywać uniwersytetami?

Budzi zdumienie, że nawet obrońcy cywilizacji łacińskiej jakoś nie protestowali wobec wycofywania się przez uniwersytety z wypełniania swej podstawowej powinności, a od lat prawda znika ze statutów uczelni i z praktyki zatrudnionych na nich akademików. Na Uniwersytecie Jagiellońskim zatrudnia się na przykład teoretyków prawdy, ale prawdy niepraktykujących, a zamiłowanych wręcz w kłamstwie.

W tym najstarszym polskim uniwersytecie jeszcze w PRL w statucie był zapis, że uniwersytet to wspólnota nauczających i nauczanych, poszukujących razem prawdy. W praktyce wyglądało to różnie, ale można było powoływać się na naruszanie statutu, co jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku czyniłem. Ten niewygodny dla postępowych akademików zapis usunięto na jubileusz UJ w 2000 roku i nie ma już niezgodności między statutem i niepraktykowaniem prawdy.

Powtarzam pytanie: czy uniwersytety, które nie są zorientowane na prawdę, można nazywać uniwersytetami i nadal utrzymywać z kieszeni podatnika? Ja tak nie uważam, ale poparcia nie widzę. W reformach akademickich ten problem nie jest podnoszony. Także nie ma go przy konstruowaniu budżetu na naukę ani w protestach związków zawodowych zorientowanych tylko na jak najwyższe finansowanie obecnych kadr akademickich.

Zniewolenie elit

W mediach polscy intelektualiści podnoszą zniewolenie naszych elit, szczególnie akademickich, i branie przykładu z Zachodu, gdzie walka z cywilizacją ła-

eprasa.pl 1ca99e893b

cińską, i to na uniwersytetach, ma już niezłą historię i odnosi spore sukcesy. Pomijają natomiast fakt, że nasze elity akademickie są nadal niewolniczo wręcz przywiązane do wypracowanego w PRL systemu akademickiego, kompatybilnego mimo reform, przez wiele lat III RP, z systemem obowiązującym w państwach byłego bloku komunistycznego (nie tylko Rosji, Ukrainy, Białorusi, lecz także Mongolii, Mołdawii, Korei Północnej, Kuby...). Bronią się wręcz heroicznie przed wprowadzaniem do systemu polskiego lepiej funkcjonujących w domenie nauki rozwiązań anglosaskich. Stąd obecne kadry – beneficjenci czystek akademickich lat komunistycznych i przez nie formatowani – zabezpieczają się przed powrotami naukowców polskich, którzy przed laty wyemigrowali i realizowali się – czasem z dużymi sukcesami – w systemie anglosaskim albo funkcjonują w kraju w sektorach pozaakademickich.

Dostęp do informacji o ustawianych konkursach, o tym, na co tak naprawdę wydawane są w domenie akademickiej pieniądze podatnika, jest niemal żaden. Nie płacąc ani grosza na badawcze projekty amerykańskie, mogę się o nich dowiedzieć więcej niż o projektach polskich, finansowanych także z mojej kieszeni. Nie ma woli, aby „małpować" rozwiązania amerykańskie, które by nam się bardzo przydały, ale jest małpowanie na przykład w zakresie tworzenia na uczelniach działów bezpieczeństwa dla zapewnienia bezpieczeństwa (rzekomo zagrożonego) odmiennie zorientowanych seksualnie, bez jakiegokolwiek zainteresowania bezpieczeństwem odmiennie zorientowanych intelektualnie i moralnie.

Wykluczanie – i to przez długie lata – sporej liczby intelektualnie sprawnych Polaków musiało skutkować degradacją nauki w Polsce, która mimo produkcji wielkiej liczby dyplomów, stopni i tytułów, niewiele znaczy w świecie i w gospodarce. I to nas różni od tego złego Zachodu, który nam obrzydzano i w PRL.

▶ Cancel culture

Od kilku lat nagłaśniana jest w mediach destrukcyjna dla cywilizacji łacińskiej antykultura unieważniania/wymazywania/kasowania, zwana „cancel culture", która podobno na nas spadła z Zachodu, niczym kiedyś stonka.

O tej „kulturze" tak można przeczytać (na przykład na: www.bezprawnik.pl/cancel-culture/): „Cancel culture to zjawisko polegające na tym, że na podstawie czyichś poglądów czy nawet pojedynczej wypowiedzi uznanej za nieodpowiednią, próbuje się zdyskredytować całą tę postać i jej dorobek. Połączone jest to często z dążeniem do blokowania wystąpień takiej osoby i naciskami na instytucje czy platformy medialne, by te zrywały z nią współpracę. Wszystko w celu ograniczenia danemu człowiekowi swobody występowania w przestrzeni publicznej lub odcięcia mu możliwości zawodowych".

To zjawisko zatem nienowe i jakby zapomina się, że cancel culture u nas zagościła na dobre (a właściwie na złe) dziesiątki lat temu, i to przy zamknięciu na Zachód, i miała się cały czas dobrze podczas zniewolenia komunistycznego, które przyszło jednak ze Wschodu, choć było wymyślone na Zachodzie.

Obecne tzw. czystki na polskich uniwersytetach z powodów ideologicznych, odwoływanie pojedynczych, niewygodnych wykładów, zastraszanie dyscyplinarne, szykanowanie konserwatywnych wykładowców – to jednak ani nowość w polskiej domenie akademickiej, ani przejaw szczególnego natężenia tej antykultury.

Skierowanie niewygodnego, konserwatywnego wykładowcy na ścieżkę dyscyplinarną spotyka się z wielkim nagłośnieniem medialnym (to bardzo dobrze), ale całkiem pomija się problem wykładowców, którzy na ścieżkach dyscyplinarnych pozostają dziesiątki już lat i nikt palcem w bucie nie kiwnął w ich sprawach. Całkowite unieważnienie/skasowanie, i to również przez tych, którzy przeciwko cancel culture protestują (sic!).

To samo, jeśli chodzi o odwoływanie wykładów – jeden odwołany niewygodny wykład to wielki protest (słusznie), ale „wykasowanie" setek czy nawet tysięcy wykładów (w wyniku dożywotniego wykluczenia/skasowania niewygodnego, bo antykomunistycznego wykładowcy) to cicho-sza. I to nie jest słuszne.

Przeciwko deprawacji młodzieży protestowano również w stanie wojennym – notabene stan podlegający cancel culture w historiach uczelnianych (sic!). Ostrzegano o nadchodzącej śmierci uniwersytetu, jeśli dalej będzie tak funkcjonował w zniewoleniu komunistycznym. Ostrzeżenia unieważniano poprzez dożywotnie usuwanie osób przestrzegających z uniwersytetów (bez protestów profesorii!).

Podnosi się (słusznie) działania hunwejbinów studenckich na uniwersytetach zachodnich, co ma miejsce dziś i u nas przy wsparciu władz uczelni, ale całkiem pomija się działania hunwejbinów profesorskich na naszych uniwersytetach, praktykujących od dziesiątków lat cancel culture wobec niewygodnych (na przykład: nie dopuszczać takiego do wykładów, obciąć mu brodę, odbieram panu głos...). Pomija się ponadto fakt, że jeszcze w czasach jaruzelskich to studenci/młodzi akademicy czasem przeciwstawiali się/protestowali przeciwko ekscesom hunwejbinów profesorskich, argumentując, że takie metody nie wprowadzą nauki polskiej godnie w wiek XXI. I mieli rację. Wiek XXI nadszedł, a god-

eprasa.pl 14a99e893b

ność nauki i etatowych naukowców tego progu nie przekroczyła.

Przez polskich intelektualistów zarówno cancel culture, jak i język odwróconych znaczeń zostały zauważone dopiero przed kilku laty, gdy tymczasem, jak sięgnę pamięcią, to takim językiem i taką antykulturą byłem otoczony przez całe moje życie, nie nadając się do świata ich twórców i wyznawców, skupionych w niemałym stopniu na uniwersytetach. Barbarzyńskie ekscesy na naszych uczelniach nagłaśniane w ostatnich latach nie są dla mnie zaskoczeniem, lecz jedynie konsekwencją obojętności wobec „antykultury" i „etyki" akademickiej ostatnich dziesiątków lat.

Wpływy cywilizacji turańskiej

W polskiej domenie akademickiej nie respektuje się własności prywatnej, w szczególności intelektualnej (plaga plagiatów, i to nawet na najwyższych szczeblach akademickich) – co jest cechą cywilizacji turańskiej (Feliks Koneczny) i zaprzeczeniem cywilizacji łacińskiej, opartej nie tylko na prawdzie, lecz także na etyce wywodzącej się z Dekalogu. U nas etyka przez lata była (i w niemałym stopniu jest) utożsamiana z principiami systemu komunistycznego i niespełniających zasad etyki socjalistycznej usuwano z uczelni i do dziś wiele komisji etycznych, wykładowców etyki, autorów książek i podręczników to akademicy mentalnie i moralnie związani z nie do końca upadłym systemem komunistycznym. Nie bez przyczyny etyka jest słabą stroną naszej domeny akademickiej. Kwitną pozoranctwo naukowe i edukacyjne, pasożytnictwo – nam się należy, bo mamy tytuły! A przy tym kradzieże intelektualne (plagiaty, oszustwa naukowe), wręcz rozbójnicze praktykowanie dostaw obowiązkowych płodów intelektualnych. Niestety z naszej domeny akademickiej nie wyklucza się patologicznych akademików, lecz tych ujawniających patologie. Uczciwość jest źle widziana, bo stanowi zagrożenie dla „rozdających karty".

Ustawianie konkursów na etaty akademickie jest u nas traktowane jako norma, gdy na Zachodzie ściga się je prawem (na przykład projekt „Universita bandita" realizowany we Włoszech, nawet w czasach pandemii).

Współpracując z zachodnimi naukowcami, mam niemal pewność, że nawet po ich wyjeździe do swoich krajów we wspólnej publikacji będę obecny, podczas gdy po współpracy z moimi rodakami moje nazwisko w publikacji może się nie pojawić. Poziom nieuczciwości, nierzetelności naukowej w Polsce jest znacznie wyższy niż na Zachodzie, a to nas się ostrzega przed zgubnym wpływem Zachodu. Nieco jednak moglibyśmy od Zachodu przejąć na drodze do ocalenia cywilizacji łacińskiej przenikanej latami przez wpływy cywilizacji turańskiej. Straszenie Zachodem wywołuje nieraz paraliż umysłów i schizofreniczne odruchy solidaryzowania się akademików ze wschodnim sąsiadem (na przykład List otwarty do Narodu Rosyjskiego i władz Federacji Rosyjskiej sprzed kilku lat).

Niewątpliwie lewacki marsz przez instytucje postulowany przez Gramsciego ma odpowiednie przygotowanie.

Lewacki marsz przez uniwersytety

W gruncie rzeczy to okres tzw. transformacji otworzył szeroko swe bramy na ten marsz poprzez brak weryfikacji i lustracji oraz dekomunizacji kadr akademickich, z których skasowano „zacofańców" podczas weryfikacji w czasach jaruzelskich, co taką transformację i neomarksistowski marsz lewactwa ułatwiło.

W ramach cancel culture uniwersytety unieważniają swą niewygodną historię, istnienie komunizmu, stanu wojennego, polityczne weryfikacje kadr akademickich, przewodnią siłę narodu, dlatego najnowsza historia domeny akademickiej jest zakłamana i nie ma chętnych, aby ją poznać. Na pytanie: skąd się wzięły obecne kadry akademickie? – nikt nie potrafi/nie ma woli, aby odpowiedzieć. Z prawdy zrezygnowano, więc nie ma takiego obowiązku (?).

Z przestrzeni publicznej eliminuje się poglądy (i ich wyznawców), które nie są zgodne z coraz bardziej dominującym lewicowym punktem postrzegania świata. Rozpowszechnia się antykultura niedebatowania z osobami o odmiennych poglądach. Mogą je sobie głosić, ale co najwyżej w cyberprzestrzeni, i to tylko do czasu ich zablokowania/skasowania, bo lewacka cenzura w sieci jest coraz bardziej skuteczna. Wolność nauki staje się fikcją. Na uczelniach akademicy boją się mówić, a nawet myśleć. Przechodzą przez życie akademickie z głowami w „podręcznych strusiówkach". Dopiero po przejściu na emeryturę niektórzy nabierają odwagi. Eliminacja nonkonformistów podczas politycznych czystek na uczelniach w dobie komunistycznej zrobiła swoje. Na uczelniach pozostali konformiści, reprodukujący sobie podobnych. Upadek uniwersytetów nie powinien zatem dziwić. Praktykowany w domenie akademickiej system wartości (właściwie antywartości) niewiele ma wspólnego z cywilizacją łacińską.

Otwarte jest zatem pytanie: ku jakiej cywilizacji zmierza świat akademicki? Dobrze, aby nad tym pochylili się nasi intelektualiści, chociaż w naszej domenie akademickiej nie widać następcy Feliksa Konecznego. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Małgorzata Matuszak

Śmierć o całe życie za wcześnie

„Żona, która traci męża, nazywana jest wdową. Mąż, który traci żonę, nazywany jest wdowcem. Dziecko, które traci rodziców, nazywane jest sierotą. Nie ma słowa dla rodzica, który traci dziecko. Taka jest straszna strata" – pisał Jay Neugeboren w „An Orphan's Tale".

eprasa.pl 14a99e893b

Nie istnieje słowo – i to nie tylko w języku angielskim, w polszczyźnie i innych językach również – którym nazwać można rodzica, któremu umiera dziecko. Nie ma słowa, bo mogłoby ono nas zawieść? Ponieważ poziomu bólu towarzyszącego utracie dziecka nie da się zmierzyć słowem? Dotyczy to także rodziców, którzy utracili dzieci, które były jeszcze w łonie matki czy też zmarły krótko po porodzie. Mało się o tym mówi. Niesłusznie, bo to przecież temat ważny.

Społeczna świadomość a naukowa prawda

Nie wszystkie ciąże kończą się urodzeniem zdrowego dziecka. Nastąpić może poronienie, urodzenie dziecka martwego bądź chorego i niezdolnego do życia. Każda z tych sytuacji jest traumatyczna, szczególnie dla kobiety, która jej doświadczyła. Najczęściej zdarza się poronienie. Częściej niż nam się wydaje.

W 2016 roku w „Obstetrics & Gynecology" opublikowano obszerne badania dotyczące świadomości społecznej poronień, z których wynika, że aż 55 proc. uczestników badania jest przekonanych, że poronienia zdarzają się ekstremalnie rzadko, że dotyczą mniej niż 5 proc. ciąż. 76 proc. uczestników tego badania uważa, że główną przyczyną poronienia może być pojedyncza stresowa sytuacja, a 74 proc. przyczyny tej upatruje w długotrwałym stresie. 64 proc. badanych za ewentualny powód podaje podniesienie ciężkiego przedmiotu. 41 proc. ankietowanych stwierdza, że za poronieniem mogą stać przebyte choroby przenoszone drogą płciową, 28 proc. zaś uważa wcześniejsze stosowanie wkładki wewnątrzmacicznej lub doustnej antykoncepcji (22 proc.). Dla 21 proc. uczestników badania przyczyną poronienia może być wdanie się w kłótnię, a dla 23 proc. fakt, że ciąża nie była pożądana wystarczająco mocno.

Tymczasem rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Uściślając terminologię, w medycynie poronienie definiowane jest jako zakończenie ciąży przed 22. tygodniem jej trwania lub gdy płód waży poniżej 500 g, jeśli bierze się pod uwagę kryterium masy ciała. W przypadku porodu, który nastąpił po 23. tygodniu ciąży, mówi się o przedwczesnym porodzie albo urodzeniu martwym. Zgodnie z definicją Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) o śmierci płodu mówi się, gdy dochodzi do niej przed porodem, bez względu na wiek ciążowy. Ponad 90 proc. takich przypadków ma miejsce przed 20. tygodniem ciąży, 5 proc. pomiędzy 20. a 27. tygodniem, natomiast 2 proc. po 28 tygodniu ciąży.

Według danych statystycznych, w Polsce około 10–15 proc. wszystkich ciąż kończy się poronieniem. Z danych zgromadzonych na podstawie sprawozdań o działalności ogólnej szpitali wynika, że w Polsce w 2017 roku u ponad 40 tys. kobiet ciąża zakończyła się poronieniem, w 2018 roku – u niemal 39 tys., a w 2019 roku – u ponad 39 tysięcy. Wiele statystyk mówi jednak o jeszcze większym odsetku poronień – o około 15–20 proc., a nawet 25 proc., z czego 80 proc. występuje w pierwszych tygodniach ciąży. Istnieje wyraźna współzależność poronień i wieku ciąży – przed implantacją zarodka w macicy traconych jest około 50 proc. ciąż, a w okresie poimplantacyjnym 12–24 procent.

Co jest tego powodem? Przyczyn może być wiele, a wśród czynników wpływających na poronienia wymienia się genetyczne, anatomiczne, hormonalne i infekcyjne, chociaż aż w 30 proc. przypadków przyczyny wskazać nie sposób.

Świadomość społeczna problemu poronień odbiega zatem od naukowego jego obrazu. W zależności od tego, na jakich statystykach się oprzemy, poronieniem kończy się jedna na kilka ciąż. To bardzo duża liczba. Wielu rodziców potrzebuje w tej sytuacji pomocy.

Rodzice dzieci utraconych

Strata dziecka nie jest czymś naturalnym. To przecież dzieci raczej winny żegnać swoich rodziców, nie rodzice swoje maleńkie dziecko, które miało całe życie przed sobą. Każdy człowiek inaczej przeżywa śmierć własnego potomka. Inaczej cierpi mama, inaczej tata. Matka bardziej emocjonalnie, ojciec bardziej skrycie. Panuje przekonanie, że ojcowie nie odczuwają tak mocno straty dziecka w wyniku poronienia czy martwego urodzenia jak matki, ale często nie jest to prawda. Oni po prostu nie zawsze dają to po sobie poznać. Często nie znajdują w najbliższym otoczeniu zrozumienia dla swego bólu. Niektóre słowa, takie jak: „Nic się nie stało", „Jeszcze będziecie mieć dzieci", „To nie było dziecko. Nawet się nie urodziło", „Czas leczy rany". Będziesz miała następne", „Zajdź szybko w kolejną ciążę, to zapomnisz" – ten ból jeszcze pogłębiają.

Rodzice bardzo potrzebują wsparcia psychologicznego nie tylko w pierwszych dniach po stracie, lecz także w kolejnych etapach żałoby oraz podczas decyzji o ponownej próbie powiększenia rodziny. Szacuje się, że około 20 proc. par, które doświadczyły straty dziecka w czasie ciąży, korzysta z opieki psychologicznej, jednak do rozpadu związków dochodzi aż w 60 proc. takich sytuacji, szczególnie wtedy, gdy do poronień dochodzi wielokrotnie.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 14a99e893b

Utrata dziecka w ciąży silnie wpływa na psychikę kobiety, doprowadza do zaburzeń afektywnych, problemów z więzią emocjonalną z kolejnym dzieckiem, poczucia winy, chorób psychosomatycznych, a nawet nałogów. Bardzo często dotyka je depresja (22–55 proc.) oraz ataki lęków i paniki (22–41 proc.).

Z ankiety przeprowadzonej wśród kobiet i mężczyzn, którzy utracili dziecko w pierwszych 20 tygodniach ciąży, wynika, że prawie połowa z nich czuła się winna, 41 proc. zaś było przekonanych, że popełnili jakiś błąd, że zrobili coś, co mogło przyczynić się do poronienia. 41 proc. przyznało, że czuli się w swym bolesnym doświadczeniu osamotnieni, a 28 proc. czuło wstyd. A przecież najczęściej nie zrobili nic, co mogło przyczynić się do tej sytuacji, za co mogliby się wstydzić.

Oddajmy jednak głos kobietom, które doświadczyły poronienia. Ich słowa najlepiej oddają stan, w których się znalazły. Jedna z nich pisze: „Czułam się opuszczona, zrozpaczona, rozbita i winna. Miałam wrażenie, ze popełniłam gdzieś jakiś niewybaczalny błąd, że coś nie takiego zjadłam, że za mało odpoczywałam. Czułam się gorsza od innych kobiet. Nie utrzymałam ciąży, nie dałam życia". Inna tak opisuje swoją sytuację: „W zeszłym tygodniu poroniłam swoją pierwszą ciążę. Mając 27 lat. Nie potrafię opisać swojej rozpaczy. Nie potrafię z nikim o tym rozmawiać. Milion pytań, co zrobiłam źle. Po 10 latach bycia razem udało się spełnić moje największe marzenie. Najbardziej się obawiam, że jeśli jeszcze kiedykolwiek zajdę w ciążę, to czy sytuacja się nie powtórzy. Niestety ja po spędzonym całym dniu w szpitalu i USG usłyszałam tylko: »Bardzo mi przykro, ale nic tam nie ma«. Cały czas mam ten obraz przed oczami, jak pani doktor mówi mi, że nic nie ma w moim brzuchu. Czułam się, jakbym sobie to wymyśliła, a co gorsza jakbym była w jakimś cholernym koszmarze. Czy kiedyś będę potrafiła o tym mówić? Nie jestem w stanie powiedzieć bliskim o tym, którzy wiedzieli o ciąży. Byliśmy tak szczęśliwi".

▶ Narodziny i śmierć blisko siebie

Według raportu WHO i UNICEF z 2020 roku, na świecie co 16 sekund rodzi się martwe dziecko, a w ciągu ostatnich dwudziestu lat miało miejsce aż 48 mln martwych urodzeń. Te statystyki są zatrważające. Z raportu tego wynika też, że problem ten nie jest wyzwaniem tylko dla krajów ubogich, choć tam wskaźniki martwych urodzeń są z oczywistych przyczyn dużo wyższe niż w krajach bogatszych. W 2019 roku w 39 krajach o wysokich dochodach odnotowano większą liczbę martwych urodzeń niż zgonów noworodków, a 15 krajów miało wyższą liczbę martwych urodzeń niż zgonów. W Polsce wynosi nieco ponad 3 urodzenia martwe na 1000 porodów, podobnie jak w Belgii, Francji czy na Węgrzech. Niższe wskaźniki notuje się w Czechach, Niemczech, Szwecji, Norwegii oraz Finlandii.

Ważne jest to, by rodzice, którzy utracili dziecko, czy to w wyniku martwego urodzenia, czy z powodu poronienia, otrzymali odpowiednią pomoc i wsparcie. I to nie w postaci okrutnego „spróbujcie jeszcze raz". Wiele kobiet po poronieniu czy martwym porodzie doświadcza braku wsparcia czy też niewłaściwego jego rodzaju ze strony lekarzy i pielęgniarek, czyli tych, którzy znajdują się najbliżej kobiety i jej rodziny. Obowiązujące w tych sytuacjach procedury są ważne, o wiele ważniejsza jest jednak atmosfera, którą personel medyczny wytwarza w tego typu sytuacjach. Tymczasem często brakuje w niej empatii i zaangażowania. Zdarza się to w przypadku wywoływanych poronień, które są traktowane jak zabieg medyczny, nie zaś martwy poród. Chociaż mamy tu do czynienia z rozróżnieniem terminologicznym, medycznym, to dla kobiety, która poroniła, ta różnica nie jest obowiązująca. Ona nie poroniła „zarodka", „płodu", „komórek", ale straciła dziecko, jej dziecko.

Poważnym błędem popełnianym przez lekarzy jest również to, że nie informują rodziców o ich prawie do wydania im przez szpital szczątków dziecka, i o tym, że łatwo mogą otrzymać dokumenty potrzebne do pochówku. Obecny stan prawny nie daje żadnych podstaw zakładowi opieki zdrowotnej do odmowy wydania ciała martwo urodzonego dziecka w celu jego pochowania, i to bez względu na czas trwania ciąży. Niestety, pogrzeb dziecka utraconego, tym bardziej, gdy rodzice chcą skorzystać z przysługujących im świadczeń i przeprowadzić pogrzeb wraz z rejestracją w urzędzie stanu cywilnego, wciąż postrzegany jest jako „kaprys". Stąd też trudno go zrealizować. Pogrzeb dziecka przyczynia się zaś do właściwego przeżywania żałoby. Trzeba także dodać, że – jak wynika z raportu NIK – w 50 proc. poddanych kontroli szpitali dochodzi do nieprawidłowości dotyczących postępowania ze zwłokami dzieci martwo narodzonych i poronionych. Zdarzało się, że były one kwalifikowane jako odpady medyczne i przekazywane do utylizacji.

Poronienie jest doświadczeniem bardzo trudnym, bardzo bolesnym. Zdarzają się i zdarzać się będą pomimo specjalistycznej opieki medycznej i dynamicznego rozwoju medycyny prenatalnej. Ważne, by dotknięte nim rodziny nie zostały ze swoim problemem same. Potrzebują czasu i pomocy, by przeżyć swą żałobę, a także wsparcia – nie tylko medycznego, choć ono jest tu zasadnicze – jeśli zdecydują się na ponowną próbę powiększenia rodziny. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Ryszard Czarnecki

Witkacy, Ruscy i Jankesi oraz duch cesarzowej „Sisi"

18 września 1939 roku w miejscowości Jeziory pod Równem, na Kresach Wschodnich RP, w proteście przeciwko agresji „czerwonej Rosji" na Polskę, samobójstwo popełnił Stanisław Witkiewicz – Witkacy. Śmierć słynnego pisarza, dramaturga, malarza oraz fotografika była najbardziej radykalną formą niezgody na inwazję Związku Sowieckiego i komunizmu.

Siedemdziesiąt lat później, mniej więcej 9 tys. kilometrów od miejsca śmierci Witkacego, prezydent USA Barack Obama, w ramach „resetu" relacji z Rosją, odwołał instalację tarczy antyrakietowej w ojczyźnie Witkacego.

Minęło kolejnych trzynaście lat i między Stanami Zjednoczonymi Ameryki a Federacją Rosyjską jest kolejny „reset", znowu kosztem Polski i naszego regionu Europy. Jakoś tak od razu nasuwa się postać wybitnego pisarza Młodej Polski. Czyżby duch Witkacego unosił się nad Genewą, gdzie w ubiegłym i w tym roku Biden z Putinem wyznaczali na nowo strefy wpływów na Starym Kontynencie? Cóż, takich mamy politycznych krawców obecnej materii polityki międzynarodowej. A może „Szewców", by użyć tytułu sztuki Witkacego właśnie, którzy Rzeczypospolitej – by użyć z kolei starego polskiego porzekadła – „szyją buty"? A może Joseph Robinette Biden i pułkownik Władimir Władimirowicz Putin czują jakieś „Nienasycenie" resetu (znowu kłania się Witkacy...)? Można oczywiście, pocieszając się, uprawiać dalej żonglerkę literacko-intelektualną, lecz raczej mizerna to pociecha. Próbujmy jednak: skoro Witkacy to „Pożegnanie jesieni". Rzeczywiście, mieliśmy „złotą polską jesień" na arenie międzynarodowej za prezydenta Donalda Johna Trumpa oskarżanego przez Demokratów o... prorosyjskość (hipokryci!), a teraz mamy mroźną zimę, gdy chodzi o koniunkturę dla Rzplitej. Oczywiście różni międzynarodowi eksperci określą z radością stosunki Waszyngton–Moskwa jako „odwilż". Rzecz w tym, że – z naszego polskiego i środkowo-wschodnioeuropejskiego punktu widzenia – jest to raczej, by użyć tytułu książki Zenka Mlynara, „Mróz od wschodu" („Mraz prichazi z Kremlu"). Choć oczywiście to, co dla Polaków czy Bałtów jest niczym skuta lodem Syberia, to dla Rosji i jej sojuszników na Zachodzie jest niczym „Siedemnaście mgnień wiosny", cytując tytuł znanego sowieckiego serialu szpiegowskiego o agencie Stirlitzu. Pastisze tego serialu, typu: „Stirlitz wiedział, że Borman wie, że Stirlitz wie...", można by wykorzystać na użytek tej parszywej sytuacji, która jest bardziej parszywa niż sytuacja bohaterów amerykańskiego filmu o czasach II wojny światowej „Parszywa dwunastka".

Zatem „Polacy wiedzieli, że Amerykanie wiedzą, że Polacy już wiedzą, jak bardzo nasi sojusznicy zakochali się ostatnio w Moskwie". Albo „Amerykanie wiedzieli, że Polacy już wiedzą, że Amerykanie kiziają się naraz i z Rosjanami, i Niemcami".

Regularnie bywam w Genewie, gdzie mieści się przecież europejska siedziba ONZ, a także gdzie została w 1898 roku zamordowana przez włoskiego anarchistę Luigi Lucheni austriacka cesarzowa „Sisi". Jakieś fatum wisiało nad dworem w Wiedniu, bo po 16 latach w Sarajewie zginęli następca tronu arcyksiążę Franciszek Ferdynand z małżonką. Wracając jednak do zamachu w Genewie i tego, co było po nim, to jest tam jedno „polonicum": wagon pogrzebowy dla śp. cesarzowej Elżbiety Bawarskiej dostarczyło w ciągu zaledwie czterech dni nasze, rodzime Pierwsze Galicyjskie Towarzystwo Akcyjne Budowy Wagonów i Maszyn w Sanoku. Pogoda w Genewie niemal zawsze jest piękna, ale pogoda polityczna tworzona przez coroczne spotkania Putina z Bidenem zupełnie mi się nie podoba. Wolałem Rejkiawik z Reaganem i Gorbaczowem: tam przynajmniej było korzystnie dla Polski.

Rozpacz Witkacego doskonale rozumiem. Wtedy Rosja sowiecka najechała na nas przy głośnym milczeniu sojuszników – teraz Rosja Putina z naszymi sojusznikami, ponad naszymi głowami się dogaduje. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Piotr Lisiewicz

Józef Mackiewicz

– bardziej aktualny dziś niż za życia

„Jest to pomysł utworzenia pomiędzy dwoma wrogimi dla nas blokami, niemieckim i rosyjskim, takich organizacji państwowych albo takiego organizmu państwowego, który by mógł prowadzić wojnę na dwa fronty. To znaczy: obronić narody zamieszkałe pomiędzy Rosją i Niemcami, nie tylko przed każdym z tych wrogów pojedynczo, ale nawet w wypadku zaatakowania nas (»nas« tzn. narody zamieszkałe jak wyżej) jednocześnie z zachodu i wschodu. – Oto cała mądrość" – pisał Józef Mackiewicz w 1942 roku. Dziś, przy wszystkich historycznych różnicach, można by to uznać za manifest współczesnego Międzymorza.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 14a99e893b

eprasa.pl 14a99e893b

Gdy polski Sejm ustanowił rok 2022 rokiem Józefa Mackiewicza, zacząłem zaraz szukać, jak głosowali byli komuniści. Ze zdziwieniem odnotowałem, że podnieśli ręce hurtowo „za", co wzbudziło we mnie podejrzenie, że oni Józefa Mackiewicza nie czytali. Mogę sobie z tego żartować, bo klamka zapadła, a pani marszałek Gosiewska potwierdzi, że nawet jakby poczytali, reasumpcji głosowania nie będzie. Głosów wstrzymujących się nie było, przeciw głosował jeden poseł tyleż radykalnie prawicowej, co promoskiewskiej partii, co wzbudziło z kolei podejrzenia, że on akurat Józefa Mackiewicza czytał.

Skąd fascynacja Mackiewiczem?

Skąd u mnie wzięło się zainteresowanie tym akurat pisarzem? W redakcji „Gazety Polskiej" byłem w 1993 roku pierwszym w jej historii 21-letnim praktykantem, gdy jej czołowym publicystą był śp. Jacek Kwieciński, niektórym z państwa znany osobiście, innym z czytania, notabene za tydzień minie 10. rocznica jego śmierci, który to Jacek, duchowo konserwatysta w stylu angielskim, wyglądał jak stary hipis, siedział na podłodze na balkonie i odpalał jednego papierosa od drugiego, bazgrząc coś odręcznie na małych karteczkach.

Jacek był entuzjastą Józefa Mackiewicza. Na mnie patrzył surowo, jako na osobnika nierokującego większych nadziei. Pewnego razu zapytał mnie, czy czytam książki, z wyraźną sugestią, że zapewne nie. „Od tego ponoć oczy się psują" – postanowiłem podenerwować mojego opiekuna. Ale gdy powiedziałem w końcu, że przeczytałem w ostatnim roku wszystkie książki Józefa Mackiewicza, które wówczas były w Polsce wydane, spojrzał na mnie łagodniej i powiedział dwa słowa: „Nie wiedziałem". Brak krytyki i milczenie to były w przypadku Jacka wyrazy najwyższej pochwały.

Był jeszcze drugi powód zainteresowania Mackiewiczem, buntowniczy. W kręgu młodych krakowskich zadymiarzy, antykomunistów, powstał Klub Polityczny im. Józefa Mackiewicza, na czele którego stał Paweł Chojnacki, dziś historyk w Instytucie Pamięci Narodowej, a wojownicze hasło klubu brzmiało: „Bij komunistów, ratuj wolną myśl".

Gdy więc sięgałem po pierwszą powieść Mackiewicza „Lewa wolna" o wojnie polsko-bolszewickiej, spodziewałem się bojowych opisów polskich tryumfów, a przeczytałem, jak państwo wiecie, coś zupełnie innego... Przyznaję, że byłem lekko zawiedziony, ale mimo to zacząłem pochłaniać kolejne powieści: „Drogę donikąd", „Nie trzeba głośno mówić", „Kontrę", publicystykę w „Zwycięstwie prowokacji". Że mogę po Mackiewiczu spodziewać się wojowniczości inaczej ukierunkowanej, niż się spodziewałem, przekonałem się już w przypadku „Kontry", gdzie Mackiewicz patrzy na świat oczami nie Polaka, a dońskich Kozaków i mieszkańców Kaukazu, mając więcej zrozumienia dla ich racji, no a szczególnie czytając „W cieniu krzyża" i „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy".

Gdy w 1999 roku Rosja napadła na Czeczenię, wraz m.in. z kolegami z krakowskiego klubu Mackiewicza miałem zaszczyt współtworzyć Komitet Wolny Kaukaz, w ramach czego wtargnęliśmy do konsulatu Federacji Rosyjskiej w Poznaniu, zdejmując z masztu flagę rosyjską i wciągając uroczyście na maszt flagę czeczeńską. Tak działał na naszą wyobraźnię Józef Mackiewicz i to on, gdyby żył, powinien otrzymać do zapłaty przynajmniej połowę grzywny oraz dostać połowę wyroku w zawieszeniu, który otrzymaliśmy za tę akcję solidarności z potomkami bohaterów „Kontry". Stare dzieje, byliśmy młodzi, ja jako najstarszy z terrorystów miałem lat 27.

Obronić narody zamieszkałe pomiędzy Rosją i Niemcami

Dla mnie osobiście niezwykle ważnym tekstem programowym Józefa Mackiewicza, który trzeba wręcz zacytować w Wilnie, jest ten otwierający książkę „Prawda w oczy nie kole" z 1942 roku, a więc jeszcze sprzed ukazania się znanych powieści Józefa Mackiewicza, zatytułowany „Idea dwóch frontów", który, przy wszystkich historycznych różnicach, można by uznać za manifest współczesnego Międzymorza.

W książce nie ma takiej adnotacji, ale znalazłem tę informację gdzie indziej, iż jest to treść listu pisarza do redaktora londyńskich „Wiadomości" Mieczysława Grydzewskiego. Jak wiedzą badacze, z listów możemy czasem dowiedzieć się więcej, z racji na prywatny charakter korespondencji, chociaż Barbara Toporska pisała, że listy do Grydzewskiego pisze specjalnie złośliwie, żeby potomnym się lepiej czytało.

Sam Mackiewicz potwierdza tę niecodzienną szczerość, na początku stwierdzając, że pisze o tzw. idei krajowej nie tylko przez niego reprezentowanej, lecz także tej, która jest w nim, a więc dotąd niewypowiadanej, dlatego tym bardziej warto nadstawić ucha.

Wspominając twórców idei krajowej, Józef Mackiewicz, „syn potomstwiennych dworian wilenskoj guberni", jak mu wpisano w metryce, pisze: „Zarówno w ich dążeniach, jak moich, znaczną rolę odgrywa sentyment, polityczny romantyzm, płynący po prostu z przywiązania do specyficznych cech terenu. Ale moje osobiste, głębokie przekonanie do tzw. (tylko tak zwanej) idei krajowej [wyjaśnijmy, że Mackiewicz nie lubił tej nazwy – przyp. P.L.] wypływa z najzimniejszego rozsądku politycznego". To zastrzeżenie, co ważne, pojawi się w tekście kilkakrotnie.

Dalej pisarz wyjaśnia: „Gdyby mnie ktoś prosił, abym sformułował mój pogląd w »trzech słowach«, ująłbym go tak:

Jest to pomysł utworzenia pomiędzy dwoma wrogimi dla nas blokami, niemieckim i rosyjskim, takich organizacji państwowych albo takiego organizmu państwowego,

eprasa.pl 14a99e893b

który by mógł prowadzić wojnę na dwa fronty. To znaczy: obronić narody zamieszkałe pomiędzy Rosją i Niemcami, nie tylko przed każdym z tych wrogów pojedynczo, ale nawet w wypadku zaatakowania nas (»nas« tzn. narody zamieszkałe jak wyżej) jednocześnie z zachodu i wschodu. – Oto cała mądrość".

▶ Wyjść z impasu wiecznego lawirowania pomiędzy dwoma potęgami

Mackiewicz, kreśląc tło historyczne idei krajowej, wskazuje, dlaczego możliwy był proces, który doprowadził do powstania Rzeczpospolitej Obojga Narodów: „Dopóki narodami nie dysponowały ich nacjonalizmy, a ich książęta, mógł Witold z Jagiełłą zapoczątkować mocarstwo tak silne, że odpierające zakusy agresywne jednocześnie ze wschodu i zachodu. Z chwilą, gdy organizm Rzeczypospolitej rozdrobnił się z pojęcia »obojga narodów« na pojęcia Polaków, Białorusinów, Ukraińców i Litwinów, zamieszkałych wszystkich pomiędzy Niemcami i Rosją, wspólny, niezmieniony los tych narodów zmusza nas do utworzenia takiego porozumienia, takiego układu, do takiej decyzji, która by zastąpiła łatwą kiedyś decyzję książąt – trudną dziś decyzją narodów, obarczonych skomplikowaną machiną narodowościowo-wyznaniowo-gospodarczych aspiracji".

Wierny politycznemu realizmowi Mackiewicz porównuje tę sytuację do przykładów budowy siły innych państw, pisząc także o historii Niemiec: „Skąd się bierze sława tego oficera niemieckiego sztabu generalnego sprzed pierwszej wojny światowej, która nadała mu tytuł »genialnego stratega«? [notabene bardzo niepopularnego u mnie w Poznaniu – P.L.]. Stąd, że słabe, poszatkowane Niemcy dochodzą za Bismarcka do potęgi przez zjednoczenie swych sił. Niemcy, podobnie jak ongiś Rzeczpospolita, znalazły się pomiędzy dwoma blokami kontynentalnymi: Francją i Rosją".

Idea krajowa według Mackiewicza jest próbą przełamania historycznego fatalizmu, który dotyczy wszystkich naszych narodów: „A o cóż nam chodzi? O to, żeby przestać być igraszką niemiecko-rosyjską, żeby wyjść z impasu wiecznego lawirowania pomiędzy tymi dwoma potęgami, żeby nie dochodzić do niepodległości tylko z łaski wojny pomiędzy nimi i nie ginąć na poczekaniu z chwilą ich zgody i wspólnego działania. O nic więcej".

Dalej tłumaczy tym, którzy oskarżali go o zdradę polskich interesów: „Jakże to zrobić? Musimy stworzyć wielkie, ogromne państwo polskie – powiadali tzw. »mocarstwowcy«. [skreślono: z moim bratem Stanisławem Mackiewiczem na czele] Bardzo słusznie. Ale, jak się rzekło, pomiędzy dwoma zaciskającymi nas kleszczami, los wspólny jest zarówno dla Polaków, jak Białorusinów, Ukraińców i Litwinów. Otóż ci nasi wspólnicy nie godzą się na koncepcję, ażeby to było tylko wielkie państwo – »polskie«. Skoro się nie godzą, a będąc naszymi dziejowymi wspólnikami, narodowościowo tak się wzmocnili, że nie liczyć się z ich głosem niepodobna – musimy iść z nimi na kompromis i układać wspólnie ten organizm państwowy, aby był mocny, trwały i od wewnątrz nie rozsadzany przez [dopisano: nacjonalistycznych] malkontentów".

▶ Czy ten projekt jest naiwny?

Mackiewicz mówi o państwie lub związku współpracujących ze sobą państw i wylicza: „Wielkie Księstwo Litewskie (nazwijmy je jak chcemy) obejmuje wszystkie ziemie białoruskie i litewskie w ogólnym kierunku od Dniepru i Prypeci na północny zachód, ze stolicą w Wilnie. Polska – od etnograficznej granicy białorusko-ukraińskiej, na zachód i południe, łącznie z Pomorzem, Śląskiem itd. Na południowym wschodzie Ukraina. Mniej więcej w centrum tego trójpaństwa, gdzieś u początku Prypeci, schodziłyby się trzy granice. Trzy stolice stanowiłyby: Warszawa, Wilno, Kijów".

Tu nie ma jeszcze mowy o Białorusi, ale spokojnie, za chwilę będzie. Mackiewicz proponuje dalej:

„Do sfery interesów członu państwa, które nazwałem tradycyjnie Wielkim Księstwem Litewskim, włączona byłaby Łotwa i kierunek północno-wschodni na Psków – Nowogród – Smoleńsk – Briańsk. Prusy Wschodnie objęte wspólną sferą wpływów Wilna i Warszawy.

Do sfery interesów Polski należałyby odrodzone Czechy, Słowacja i Węgry aż po Bałkany. Rumunia wchodziłaby we wspólną sferę wpływów polsko-ukraińskich. Do sfery interesów Ukrainy należałby Krym, Kozacy Dońscy, Kubań po Kaukaz.

Tego rodzaju organizm państwowy musiałby dążyć do wytworzenia wokół korzystnej dla siebie konstelacji, zabezpieczającej go od oskrzydlenia z północy i południa. Na północy więc utworzenie wielkiego bloku skandynawskiego z hegemonią, powiedzmy, Szwecji nad Finlandią i Estonią w antywschodnim sojuszu z Wilnem, oraz nad Norwegią i Danią w antyzachodnim sojuszu z Warszawą. Na południu blok państw bałkańskich w sojuszu z Warszawą. Na południowym wschodzie hegemonia Ukrainy nad Donem i, możliwe, Kaukazem w sojuszu z Turcją. To byłby schemat".

Co nie było wtedy łatwe do przewidzenia, Mackiewicz pisze w 1942 roku o perspektywie powstania niepodległej Białorusi i stwierdza: „Gdyby nawet Białoruś uzyskać kiedyś miała niezależność z rąk Niemiec czy Rosji, bez oparcia o Polskę, to ta niezależność pozostałaby zawsze nominalna, bez dostępu do morza, albo pod postacią protektoratu niemieckiego, albo folwarku rosyjskiego, że już pominę strukturę sowiecką".

Pisarz bierze pod uwagę całą mozaikę interesów naszych narodów. Pisze: „Litwini, otrzymując dostęp do Wil-

eprasa.pl 14a99e893b

na-stolicy i całej historycznej Litwy, nie tracą nic ze swego narodowościowokulturalnego dorobku, pozostając równorzędnym elementem w państwie, siedzą na jego dostępach do morza. Białorusini stanowią element przeważający, nie potrzebują się zatem obawiać wynarodowienia, zwłaszcza groźnego im na rzecz Rosji.

Polacy wileńscy, zachowując swój język ojczysty i kulturę, tudzież swą tradycyjną odrębność od Korony, dochodzą wreszcie do głosu we własnej, ścisłej ojczyźnie (Heimatland), nie tracą, a nabierają powagi, jako element stanowiący zbitą masę w samym centrum i stolicy. Poza tym stanowią nie kość niezgody, ale pomost łączący Wilno z Warszawą".

Czy ten projekt jest naiwny? Józef Mackiewicz na to pytanie odpowiada akurat bardzo ostro: „Jest to tylko krótki szkic. Jeżeliby jednak miał się komuś wydać naiwnym ze względu na różnice aspiracji i animozje dzielące Litwinów, Polaków i Białorusinów – to odpowiem, że, moim zdaniem, nie tylko naiwnym, ale przestępczym wydaje mi się przekładanie drobnych ambicji językowych, hegemonistycznych aspiracji poszczególnych nacjonalizmów, ponad dobro niezależności państwowej, zrzucenie jarzma niewoli, wyemancypowanie spod wiekowej zależności politycznej Berlina bądź Moskwy".

▶ „Pieśń ujdzie cało"

Rzecz jasna czytając ten manifest w roku 2022, czyli równo 80 lat po jego napisaniu, trzeba by dodać do niego parę przypisów. Między innymi ten, że dziś mówimy wyłącznie o ścisłym sojuszu niepodległych, równych sobie państw, a nie państwie wspólnym. I takim, że Niemcy współczesne, choć nam w Polsce nie podobają się różne ich zakusy, oczywiście nie są Niemcami hitlerowskimi. No i nie zamierzamy oddawać naszych estońskich przyjaciół pod kuratelę któregokolwiek z państw skandynawskich. Niemniej przy tych wszystkich zastrzeżeniach cała koncepcja Mackiewicza jest wręcz szokująco aktualna.

Wracając na chwilę do współczesności, a w zasadzie nieodległej historii, to gdy prezydenci Litwy, Łotwy i Estonii, a także premier Ukrainy pojawili się wraz z prezydentem mojego kraju Lechem Kaczyńskim w stolicy Gruzji w 2008 roku, to wiedzą Państwo, obrazy z jakiej książki stanęły mi przed oczami? Znowu z „Kontry" Józefa Mackiewicza, o tej samej historii pisał on w artykule „Zbrodnia nad rzeką Drawą". Przypomnijmy, że Józef Mackiewicz pokazał, jak brytyjska armia wydała w 1945 roku w sowieckie ręce tysiące żołnierzy – Kozaków i mieszkańców Kaukazu. Przeszli oni pieszo tysiące kilometrów, wierząc w cywilizowany, kulturalny Zachód. Ten, na podstawie tajnych porozumień z Jałty, potraktował ich jak podludzi i wydał na śmierć Moskwie. Kto przeczytał opisy Mackiewicza, czynione z rzetelnością przedwojennego reportażysty, ten ich nie zapomni do końca życia: „Mała dziewczynka podeszła do innego [żołnierza – P.L.] i podała mu kartkę: napisaną po angielsku: »Zabijcie nas ale nie oddawajcie bolszewikom«. Żołnierz przeczytał, schował do kieszeni i nagle zapłakał". I dalej: „Wielotysięczna ciżba na kolanach zasłaniająca się krzyżem; po łąkach i polach rozbiegane tabuny koni i wielbłądów; kobiety z dziećmi drapiące się na skaliste zbocza, uchodzące w śmiertelnym przerażeniu przed kulami i pałkami chrześcijańskich żołnierzy, zapędzających wszystko w ręce kata... Co to było? Ano, gdybym chciał być złośliwy, powiedziałbym ironicznie: wydawanie »Azjatów« w ręce europejskiego marksizmu".

Otóż w 2008 roku przełamany został fatalizm, opisany w „Kontrze", a dotyczący naszych krajów. Oto ta gorsza Europa, przedstawiciele pogardzanych narodów, po raz pierwszy zachowała się jak lepsza Europa. Jak państwa naprawdę niepodległe i wolne, które występują w obronie gruzińskich braci.

W 2010 roku Lech Kaczyński zginął zapewne właśnie po to, by tę naszą część Europy znów zdegradowano. Żeby unaocznić nam, że nic w tej sprawie nie zrobi Zachód i co jest dla mnie szczególnie bolesne, nic nie zrobi ówczesne polskie państwo. Moglibyśmy rozmawiać tu pewnie godzinami o tym, co się wtedy stało, jednak nie mam wątpliwości, że celem tej zbrodni było zdegradowanie całego naszego regionu poprzez uderzenie w męża stanu, który po wystąpieniu w Tbilisi wyrastał na lidera odbudowy jego znaczenia. Pokazano nam: żadnych mrzonek, jesteście nadal państwami tylko z nazwy niepodległymi, z którymi możemy zrobić, co chcemy, równie bezradnymi jak tonący w Drawie.

Ale jak pisał bardzo mocno związany z Wilnem Adam Mickiewicz, „Pieśń ujdzie cało". Za odwagę w głoszeniu pięknych idei płaci się czasem cenę najwyższą, o czym przekonało się wielu prometeistów z naszych krajów przed II wojną światową. Ale jednocześnie te idee, szczególnie głoszone nie tylko słowem, lecz także czynem, pozostawiają po sobie niezatarte, realne skutki. Budowa wspólnoty państw Trójmorza pokazuje, że romantyzm przekłada się na, jakby powiedział Mackiewicz, „najzimniejszy rozsądek polityczny", jakim są choćby infrastrukturalne inwestycje w naszych państwach. Oczywiście przyjdzie przetrwać nam niejeden gwałtowny wiatr, liczne gorsze i lepsze międzynarodowe koniunktury, ale jeśli samym naszym narodom nie zabraknie determinacji, szansa na realizację idei Józefa Mackiewicza wydaje się dziś bliższa niż kiedykolwiek w ciągu tych 80 lat. Gdy słyszymy w Polsce ze strony rosyjskich agentów wpływu, w tym znanych youtuberów, że choćby koncepcje Jerzego Giedroycia są dziś już nieaktualne, wiemy, że idziemy w dobrym kierunku.

Chcę z tego miejsca powiedzieć: Józef Mackiewicz jest dziś bardziej aktualny niż za tej części jego życia, gdy pisał powieści i zajmował się polityczną publicystyką. Gdy nasze narody były w niewoli, wielu wydawać się mogły tylko nierealnymi marzeniami. Dziś są może nie na wyciągnięcie ręki, ale ów „najzimniejszy rozsądek polityczny"

eprasa.pl 14a99e893b

podpowiada, że łatwo nie będzie, ale ich realizacja nie przekracza naszych możliwości.

▶ Gdzie ci rozczochrańcy ideowi wzywający do czynów niemożliwych?

Spotkaliśmy się dziś w Wilnie w szczególnym czasie, gdy losy naszych narodów decydować się mogą na Ukrainie, w Kazachstanie, wreszcie na zbuntowanej Białorusi. Przechodząc przed studenckimi akademikami w Poznaniu, w których w czasie pandemii zostali głównie studenci z innych państw, w oknach widziałem białoruskie flagi, w jednym z nich flagę z herbem Pogoni. Cóż, „Obok Orła znak Pogoni", jak głosi znana polska pieśń.

Co doradziłby nam w tej sytuacji Józef Mackiewicz? Na pewno odradzałby nam wzajemne waśnie, rozbuchane nacjonalizmy, skierowane przeciwko sobie wzajemnie. Sterowane przez Moskwę i wzajemnie się nakręcające. Powodujące, że w decydujących momentach choćby trochę słabiej się wzajemnie wspieramy. W liście do redakcji paryskiej „Kultury" w 1970 roku wymieniał niebezpiecznych sporów wiele: „polsko-litewski o Wilno, białorusko-ukraiński o Polesie, polsko-ukraiński o Lwów, ukraińsko-tatarski o Krym czy kozacki o Donieck, spory: besarabski, karpato-ruski, kaukaski, sudecki itd. itd. łącznie z wielkorosyjskim". Zapewne dziś lista ta wymagałaby aktualizacji, w tym o spory nie terytorialne, lecz mocno oddziałujące poprzez media na naszą świadomość. W każdym razie: nie wierzmy przebierańcom i prowokatorom.

Poza tym z pewnością doradziłby nam odwagę i wolę walki. „Odznaczamy się kompletnym brakiem szaleńców" – pisał Mackiewicz 3 grudnia 1956 roku w liście do Jerzego Giedroycia. Zwracał uwagę na to, jak często w polskich dyskusjach pada fraza „to by było szaleństwem!". Zarzucał, że jesteśmy wbrew stereotypowi „zdyscyplinowanym narodem, który podaje siebie za najbardziej niezdyscyplinowany". Polecam wszystkim lekturę, nad wyraz słusznego, na wielu poziomach, opowiadania „Pochwała alkoholu", pokazującego, jak paraliż słowa i czynu działa na naszą psychikę. Jednocześnie Mackiewicz z przerażeniem konstatował upadek szaleństwa, nonkonformizmu na świecie. Jak zauważał, to, co dziś ogłasza się buntem, w rzeczywistości jest najbardziej przychylnie przyjmowane przez tyranów. W „Zwycięstwie prowokacji" Mackiewicz pytał: „Gdzie się podzieli ci indywidualiści starych czasów, ci rozczochrańcy ideowi wzywający do czynów niemożliwych? Wprawdzie po wszystkich bulwarach wielkomiejskich spotykamy dziś nie mniej, a więcej rozczochranych egzystencjonalistów, ale nie stanowią już typu indywidualnego, a raczej kolektywny; nie reprezentują zwolenników obalania tyranii, a przeważnie zwolenników zgodnego współżycia z tą tyranią".

Z pewnością doradziłby nam dokończenie rozliczenia komunizmu i twarde eliminowanie z życia naszych narodów posowieckiej agentury. Mackiewicz był zwolennikiem tezy, że komunizm należy obalić nie dlatego, że jest niereformowalny, lecz odwrotnie – dlatego, że jest skończenie reformowalny. Był zwolennikiem zbrojnego obalenia komunizmu. Nie wierzył w pokonanie go poprzez pokojową ewolucję. Za najgroźniejszą broń przeciwko komunizmowi uważał prawdę. W Polsce i wielu innych krajach, które wyzwoliły się spod komunizmu, życie nie poszło w kierunku, którego Mackiewicz był zwolennikiem. Po 1989 roku komunizm nie został obalony zbrojnie. Przeszedł ewolucję, transformację, w wyniku której powszechnie stwierdzono jego upadek. Największym problemem nowego ustroju okazał się brak przywrócenia prawdy.

Na pewno doradzałby nam też stanięcie w prawdzie, we wszystkich naszych sporach, zarówno krajowych, jak i pomiędzy naszymi narodami, zgodnie z maksymą, że „Tylko prawda jest ciekawa". Wielki polski poeta Zbigniew Herbert pisał o tym samym: „Wielu z nas sądziło, że po 1989 roku, choć nie zbudujemy od razu raju na ziemi, to przynajmniej otrząśniemy się z dawnego kłamstwa. Nie było to możliwe, ponieważ ludzie nie stworzyli języka prawdy. A przecież podstawowym obowiązkiem intelektualisty jest myśleć i mówić prawdę".

▶ Przełamać niemoc i paraliż

Pisał Józef Mackiewicz, za zbyt małą znajomość przyrody strofujący nawet Adama Mickiewicza i Henryka Sienkiewicza w „Drodze donikąd": „Gawrony są przecież ptakami też przelotnymi, które pod swoimi skrzydłami pozwalają przesuwać się ziemi z północy na południe i z południa na północ: lasy, pola, rzeki, wieże kościelne, ubogie podwórka, twarze ku niebu obróconych drzew, wstęgi szos, pod słońce migające szyny i znów lasy, znów łąki... Jednym słowem, kraje całe, różnorodne, okupowane i nie okupowane, łachy piaszczyste przy jeziorach, obce zachody i wschody słońca... jakżeby to wyrazić po ichniemu: wielką przestrzeń i wielką wolność: „kraaa... kraaa?".

Zlecieliśmy się dziś do Wilna jak te ptaki przelotne, by walczyć o wielką przestrzeń i wielką wolność. Naszą przestrzeń i naszą wolność. Może nie wszystko, ale bardzo wiele jest w naszych rękach. Wyjdźmy z tej konferencji z przekonaniem, że bardziej od słów liczą się czyny. Że każdy z naszych talentów warto poświęcić tej sprawie. Że z tego rozliczy nasze pokolenia historia. Że przecież jest nam łatwiej niż „Ptasznikowi z Wilna". I trzeba przełamać niemoc i paraliż, a powieści i publicystyka Józefa Mackiewicza są na tym froncie naszą ważną bronią. ■

Tekst jest zapisem przemówienia wygłoszonego w Wilnie, podczas inauguracji Roku Józefa Mackiewicza na Litwie, z udziałem parlamentarzystów z Polski i Litwy, 20 stycznia 2022 roku.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 14a99e893b

Ewa Polak-Pałkiewicz

Podajcie mi tylko rękę, Francuzi, będę ocalony!

Przedziwnie splatają się losy Polski i Francji. Pomijając poparcie Napoleona i bohaterski czyn zbrojny Polaków dla cesarza Francuzów, poprzez różne epoki przebija rodzaj subtelnej więzi dwóch narodów, która nie zawsze daje się ująć w kategorie polityczne.

eprasa.pl 14a99e893b

Przykładem tej polsko-francuskiej więzi są wykłady Adama Mickiewicza w Collège de France. Ten hymn na cześć historii Polski był także – w pierwszych dwóch latach prelekcji – swoistym manifestem wiary katolickiej w Europie. Po rewolucji francuskiej Stary Kontynent z coraz większym trudem opierał się laicyzmowi oraz liberalizmowi i wdychał już trujące opary filozofii Kanta i Hegla.

Co takiego porywało Francuzów w wykładach polskiego poety? Mickiewicz ukazując literaturę słowiańską – jak życzyli sobie jego pracodawcy – wygłosił *de facto* cykl błyskotliwych prelekcji o historii i kulturze Polski wrośniętej w kulturę Zachodu. Udowodnił nie tyle jej „słowiańskość", ile głębokie osadzenie w chrześcijaństwie i filozofii tomistycznej, brzemienne dla jej największych dokonań.

„Grudzień 1840 roku to jest właśnie chwila, w której emigrant, zrośnięty krwią, bólem, walką i nadzieją ze swoim światem, zaczyna mówić publicznie do Francji. »Litwin« z zabitego partykularza dobywa głosu Europejczyka [...] nie kompilator, ale apostoł płonie na katedrze profesorskiej ogniem świętego uniesienia" – podsumowywał w patetycznym tonie Tymon Terlecki. „Sam Mickiewicz mówił o lekcjach w Collège, że »każda była jak bitwa«. I nie można opanować wzruszenia, gdy czyta się świadectwo naocznego świadka o nastroju sali wykładowej, o okrzykach »Niech żyje Francja!« wznoszonych przez Polaków, »Niech żyje Polska!«» wznoszonych przez Francuzów".

Stanisław, król na wygnaniu

Wieszcz nie był pierwszym Polakiem, który odcisnął silne piętno na kulturze francuskiej. Wcześniej był król Stanisław Leszczyński (1677–1766); władca Polski w latach 1705–1709 oraz 1733–1736. Postać przedziwnie w naszej pamięci zatarta. Kto dziś pamięta o monarsze pozbawionym korony przez stronnictwo Sasów, zmuszonym dwukrotnie do opuszczenia ojczyzny, którego losy obfitowały w tragiczne, dramatyczne i zupełnie fantastyczne, niczym z awanturniczego filmu, epizody?

A przecież wpisał się mocno także w dzieje swojej drugiej ojczyzny. We Francji jego pamięć jest żywa, o czym mogłam przekonać się osobiście, odwiedzając Alzację i Lotaryngię, gdzie spędził ostatnie kilkadziesiąt lat życia. Imię króla Leszczyńskiego wywołuje tu jeszcze dziś żywą reakcję. Słysząc je, ludzie się uśmiechają. Mówi się o tu o nim jako o „królu – dobrodzieju" i „dobrym i mądrym królu Stanisławie".

Król Francji, jego zięć, hojną ręką ofiarował mu rozległą i bogatą połać francuskiej ziemi, księstwo Baru i Lotaryngii. Bo to właśnie jego córkę Marię poślubił 15-letni wówczas Ludwik XV, młodszy od swej wybranki o sześć lat, w 1725 roku. Była królową Francji w latach 1725–1768 i babką Ludwika XVI.

Jako dziecko i młodzieniec Ludwik XV był wątły i chorowity. Obawiano się, że może w każdej chwili umrzeć. Postanowiono ożenić go jak najrychlej z damą, której kondycja fizyczna i wiek mogły gwarantować przyjście na świat następcy tronu. Lista odpowiednich kandydatek musiała uwzględniać wiek, pochodzenie, usposobienie, przymioty. Większość dobrze urodzonych panien, do jakich drogami dyplomatycznymi udało się dotrzeć, nie była jednak w stanie spełnić wszystkich, dość wyśrubowanych kryteriów. Maria Leszczyńska, 22-letnia córka polskiego króla na wygnaniu, kandydatka bez królestwa i bez posagu, ale tryskająca zdrowiem, ciesząca się nienaganną reputacją, wykształcona ponad ówczesne standardy, władająca kilkoma językami, szlachetna, prostolinijna i pobożna, zdystansowała wszystkie kandydatki.

„Projekt ślubu króla Francji z kandydatką biedną i nieznaną wzbudził wiele domysłów, plotek, komentarzy, często w formie złośliwych pamfletów" – czytamy w jednym z opracowań. „Ślub odbył się najpierw *per procura* 15 sierpnia 1725 roku w katedrze w Strasburgu. Następnie młoda królowa ruszyła w długą podróż przez Francję, aby po raz pierwszy spotkać swego męża 4 września 1725. Uroczyste zaślubiny odbyły się następnego dnia w Fontainebleau".

Pod koniec lat trzydziestych XVIII wieku Ludwik XV zaczął oddalać się psychicznie od żony, spędzając czas z licznymi kochankami. Królowa mimo tej upokarzającej sytuacji prowadziła nienaganne życie, trzymając się z daleka od dworskich intryg. Wypełniała swoje obowiązki stanu, ciesząc się zarazem niezależnością nieznaną królewskim żonom we Francji. Otoczona gronem przyjaciół, literatów, duchownych, mogła dużo czasu poświęcać temu, co kochała: muzyce, lekturze i konwersacji – która była kanonem kultury, czymś więcej niż obyczajem i rozrywką. Przyjmując rolę mecenasa artystów, sama uczyła się malować. Przez całe życie absorbowała ją też dobroczynność; znana było z hojnych darowizn i jałmużny, patronowała dziełom miłosierdzia.

Choć Stanisław Leszczyński nie miał specjalnie dobrych relacji z Ludwikiem XV, zachował jednak bliskie stosunki z córką i jej dziećmi; odwiedzał ich często w Wersalu.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 14a99e893b

Mędrzec Europy

Znakomicie wykształcony i oczytany poliglota, zwany przez Francuzów „Le sage de l`Europe" – mędrzec Europy, król Leszczyński zostawił po sobie dzieła świadczące nie tylko o wybitnej umysłowości, lecz także o zmyśle gospodarczym i o żywej wyobraźni mecenasa sztuki i nauki w wielkim stylu. Zwany mędrcem z racji swoich prac filozoficznych, zyskał także przydomek Enchanteur – Czarodziej. Obdarzyli go nim przyjaciele i goście składający mu wizytę w rokokowym pałacu w Lunéville pod Nancy, który wybudował i gdzie zamieszkał z żoną, Katarzyną z Opalińskich. Z powodu niezwykłej atmosfery tu panującej zwano go Wersalem Lotaryngii. Zachwyt budził ogromny park, gdzie rwały oczy egzotyczne pawilony, wspaniała kaskada, zdumienie budziły pierwsze parkowe automaty. Tu w otoczeniu dworu polski król przyjmował przyjaciół, filozofów, artystów i pisarzy.

Wsławił się jako pisarz i filozof, który dbał o intelektualny i duchowy rozwój mieszkańców swojego francuskiego księstwa. W Nancy, stolicy Lotaryngii, założył Królewskie Towarzystwo Nauk i Literatury, Królewskie Kolegium Medyczne, Bibliotekę Publiczną. Znawca sztuki i architektury, pasjonat urbanistyki (pierwsze pomysły urbanistyczne realizował w rodzinnym Lesznie oraz w Rydzynie, rezydencji ojca). Powołał „Akademię Stanisława" w Nancy (stowarzyszenie naukowe, które istnieje do dziś). Jednym z jej bywalców był Monteskiusz, prekursor francuskiego oświecenia. Mało kto dziś potrafi przypomnieć, że główne dzieło tego autora „O duchu praw" z 1745 roku jest wyraźnie inspirowane książką Stanisława Leszczyńskiego „Głos wolny wolność ubezpieczający" z 1733 roku.

Założona przez króla Stanisława w Lunéville Szkoła Rycerska istniała w latach 1737–1766. Rocznie kształciło się w niej pięćdziesięciu młodych ludzi. Król Stanisław połowę miejsc rezerwował dla synów polskiej i litewskiej szlachty, którzy wprost tę uczelnię oblegali. Stała się ona wzorem dla słynnej warszawskiej Szkoły Rycerskiej oraz dla Collegium Nobilium.

Dbając o wysoki poziom pedagogów, o właściwe zachowanie i kulturę uczniów, król Stanisław przykładał wagę do prawości i cnoty, w myśl filozoficznej zasady, że „życie jest praktykowaniem cnoty". Szkoła, wspierana przez doświadczenie i wiedzę jednego z najlepiej wykształconych ludzi epoki, o. Stanisława Konarskiego, pijara, zyskała we Francji znakomitą renomę i popularność. Ojciec Konarski, stronnik i przyjaciel króla, był tu częstym gościem.

Szkoła Rycerska w Lunéville miała za zadanie kształtować charakter młodego człowieka, ze szczególnym uwzględnieniem cnot obywatelskich, mniej uwagi poświęcając zdobyciu przez kadetów erudycyjnego wykształcenia. Choć poziom nauczania był wysoki w porównaniu z większością ówczesnych szkół, w czym niemała zasługa słynnego pijara, człowieka o wyjątkowej wiedzy, talentach i wyobraźni, jakim był o. Konarski.

Był on szczerze przekonany o konieczności wspierania Stanisława Leszczyńskiego i zabiegania o jego powrót na polski tron; posłował do Paryża, zabiegając o poparcie dla niego. (W 1771 roku król Stanisław August Poniatowski w uznaniu osiągnięć Stanisława Konarskiego – pijara, poety, pedagoga, publicysty i reformatora – na zawsze uwiecznił jego imię w dziejach nauki i oświaty w Polsce, nakazując wybić medal z napisem: „Sapere auso", czyli: „Temu, który odważył się być mądrym").

„Inszy, gruntowny i piękny budynek"

Aktywność Stanisława Leszczyńskiego na polu umysłowym może zadziwiać. Przetłumaczył na język polski dzieła religijne Francuzów, m.in. M. Clémenta „Rozmowy duszy z Panem Bogiem wybrane ze słów Św. Augustyna", „Historię Nowego i Starego Testamentu" Nicolasa Fontaine'a. W 1760 roku ogłosił w Nancy swoją rozprawę „L'incrédulité combatue par le simple bon sens", która była wielką polemiką z deizmem, szerzącym się wówczas w salonach znudzonych arystokratów jako atrakcyjna środowiskowa moda. Wydał znaną do dziś (choć głównie z tytułu) książkę „Głos wolny wolność ubezpieczający". (Tytuł ten znalazł się na winiecie wydawanego w podziemiu przez wiele lat przez Antoniego Macierewicza i jego współpracowników pisma „Głos"). Jej główne tezy to postulat prawnej opieki nad chłopami w Polsce, konieczność zniesienia pańszczyzny, żądanie praw dla mieszczan (reprezentacji w Sejmie, prawa do posiadania ziemi, likwidacji ich upośledzenia jako obywateli w stosunku do szlachty), opodatkowanie stanu szlacheckiego, zniesienie przez Sejm *liberum veto*, utworzenie silnej armii, zniesienie wolnej elekcji i zaprowadzenie monarchii dziedzicznej, konstytucyjnej, konieczność wzmocnienia władzy administracyjnej i wykonawczej.

„[...] książę Lotaryngii z żarliwością argumentuje na rzecz uznania niemałej roli pospólstwa w ówczesnym społeczeństwie, wzywając w ślad za tym do zerwania z powszechnym w jego opinii, niegodnym sumienia chrześcijanina, a nade wszystko destabilizującym i zubożającym Rzeczpospolitą, traktowa-

eprasa.pl 14a99e893b

niem »ludu pospolitego« jak niewolników" – czytamy w jednym z opracowań. Do tego dzieła Stanisława Leszczyńskiego wyraźnie nawiązuje późniejsza historycznie praca o. Stanisława Konarskiego „O skutecznym rad sposobie", zawierająca fundamentalne postulaty reformy państwa. „Nie masz tedy inszego sposobu, tylko odważyć się trzeba na inszy, gruntowny, piękny, doskonały budynek" – apeluje Konarski. Zarówno on, jak i Leszczyński wykazali się niemałą odwagą w stanowczych żądaniach reformowaniu kraju, z intelektualną rzetelnością, wyobraźnią, znajomością rzeczy i moralną odpowiedzialnością za los ojczyzny.

Głośne stały się też „Rady dla córki" Stanisława Leszczyńskiego. Książka zapoczątkowała specyficzny poufały styl poradników rodzinnych (skrzyżowanych, w niektórych wydaniach, z osobistym pamiętnikiem), ten typ literatury w sferach wyższych stał się bardzo popularnym gatunkiem; przetrwał blisko sto lat.

Autor wskazuje, czym jest prawdziwa wielkość człowieka. Zaleca, by córka afirmując swoją godność jako królowa, nigdy nie zapominała, że prawdziwa wielkość polega na chwale Bożej, na szlachetności serca, subtelności i wzniosłości uczuć, walce z namiętnościami i zwyciężaniu samego siebie. Wzywa też ją do badania sumienia, moralnej czujności, rozliczania się z miłości własnej, nierezygnowania z codziennej walki o własną duszę.

Król na kolanach

Król Leszczyński był człowiekiem wielkiej wiary, jego codzienne uczestnictwo we Mszy św. było czymś wyjątkowym pośród arystokratów tamtego czasu we Francji. Nie ulegał snobizmowi i modom, nie zależało mu na popularności w sferach towarzyskich Francji. Zdawał sobie natomiast aż nadto dobrze sprawę z niebezpieczeństwa demagogicznej publicystyki Woltera, zwanego zupełnie opacznie, także w kręgach bliskich dworowi w Wersalu, „filozofem". Élie Fréron, publicysta, krytyk, konserwatywny filozof francuski, obrońca monarchii i Kościoła, w swojej gazecie „L`année litéraire" bezkompromisowo polemizował z Wolterem. Stanisław Leszczyński cenił ten periodyk, czytywał go regularnie i hojnymi datkami podtrzymywał jego egzystencję. Élie Fréron nazwał swego syna na cześć króla Stanisława jego imieniem.

Stanisław Leszczyński zmarł tragicznie 23 lutego 1766 roku w wieku 88 lat. Od iskry z kominka zapalił się jego płaszcz, gdy zasiadł przed kominkiem, by zapalić ulubioną poranną fajkę; rozległe rany od oparzeń okazały się śmiertelne. Został pochowany w kościele Notre-Dame de Bon Secours w Nancy, który ufundował. Świątynia została zdewastowana w niszczycielskim szale podczas rewolucji francuskiej; szczątki królewskie dwukrotnie sprofanowano. W 1814 roku zdołał je odszukać Michał Sokolnicki, który przewiózł je do Poznania, starając się następnie o pochówek króla w katedrze wawelskiej. Ciało króla jednak w tajemniczych okolicznościach zaginęło; dopiero w 1924 roku odnaleziono je w podziemiach kościoła św. Katarzyny w Leningradzie. Stamtąd udało się je przemycić do Warszawy i w 1938 roku trafiło do katedry wawelskiej.

Francuz, który nie wahał się umierać za Gdańsk

„Dlaczego musimy umierać za Gdańsk? („Pourquoi mourir pour Dantzig?"), ten slogan zamieścił francuski polityczny aktywista Marcel Déat, w artykule opublikowanym 4 maja 1939 roku w „L'Œuvre", dość wpływowym liberalno-lewicowym czasopiśmie o pacyfistycznym zabarwieniu. Déat przekonywał, że Francja powinna za wszelką cenę uniknąć wojny z Niemcami z powodu Polski. Jednak hasło to nigdy nie zyskało wśród Francuzów popularności (76 proc. Francuzów opowiedziało się wówczas za wojną z powodu Gdańska, 17 proc. przeciw). Wykorzystywali je jednak zręcznie przeciwnicy sojuszu polsko-francuskiego. Nagłaśniano je w Polsce jako symbol „zdrady sojusznika", a wręcz francuskiego tchórzostwa, wygodnictwa i braku wyobraźni politycznej. Déat zakończył swój artykuł efektowną frazą: „Walczyć u boku naszych przyjaciół Polaków, we wspólnej obronie naszych ziem, naszych dóbr, naszej wolności, to perspektywa, przed jaką możemy z odwagą stanąć, jeśli ma przyczynić się do utrzymania pokoju. Ale umierać za Gdańsk, nie!".

Autor, wywodzący się z ruchu socjalistycznego, stał się podczas okupacji jednym z największych kolaborantów w swoim kraju. Założył ugrupowanie, które w swoich pomysłach podporządkowania się Hitlerowi szło nawet dalej niż rząd Vichy, jak podkreśla Michał Wenklar z IPN. Po wojnie uciekł do Włoch, gdzie ukrywał się do śmierci w 1955 roku. W swojej ojczyźnie został skazany zaocznie na śmierć.

W historii Francji pojawia się jednak – znacznie wcześniej – ktoś, kto właśnie odważył się „umrzeć za Gdańsk" – i to na Westerplatte. Ludwik XV podjął bowiem próbę doprowadzenia do powrotu swego teścia, Stanisława Leszczyńskiego, na tron Polski. Stało się to realne po śmierci Augusta II w 1733 roku. Stanisław Leszczyński wsparty finansowo przez zięcia wyruszył z zamku Cham-

eprasa.pl 14a99e893b

bord, w przebraniu, w niebezpieczną podróż na elekcję do Warszawy. Ponowny jego wybór stał się przyczyną wojny o polski tron. Rosja, Austria i Saksonia popierały Augusta III i postanowiły zbrojnie rozgromić stronnictwo Leszczyńskiego. Pomoc militarna nadeszła ze strony francuskiej.

Przebieg kilkumiesięcznych krwawych zmagań o Gdańsk – Stanisław Leszczyński ukrywał się w silnie ufortyfikowanym, oblężonym mieście – układa się w dramatyczną opowieść, pełną nagłych zwrotów akcji. Zderzają się tu ze sobą dwa skrajnie różne nastawienia francuskich wojskowych wobec możliwości zwycięstwa nad armią rosyjską. „Pomimo niezakłóconego lądowania, możliwość rozwinięcia działań została przez francuskiego dowódcę – brygadiera Lamotte de la Peirouze – oceniona negatywnie. Ku ogromnemu zaskoczeniu i rozczarowaniu oblężonych, Francuzi bez uprzedzenia podjęli decyzję o wycofaniu się, i powrocie do kraju, rezygnując z walki na okręty. Odwrót nastąpił w nocy z 14 na 15 maja 1734 roku. Powracająca wyprawa, pozbawiona bojowego ducha, trafiła do kopenhaskiego portu. Tutaj jej uczestnicy z poczuciem porażki stanęli przed obliczem rycerskiego pułkownika Ludwika Roberta Hipolita de Brehant hrabiego Plélo, ambasadora Francji w Danii, pełnego energii i wiary w słuszność sprawy francusko-polskiej" – pisze gdański historyk, Adam Koperkiewicz („Hrabia de Plélo francuski obrońca króla Stanisława Leszczyńskiego", „Morze, statki i okręty" maj–czerwiec 2018 roku).

Kim był ten bohaterski szlachcic? Urodzony w Renes w 1699 roku, wywodził się ze znakomitej rodziny bretońskiej. Jako młody chłopak wybrał karierę wojskową. W wieku osiemnastu lat został podporucznikiem żandarmerii, mając dwadzieścia cztery lata osiągnął stopień pułkownika. „Pomimo absorbującej służby wojskowej, poświęcał się studiom literackim, naukom ścisłym, filozofii, historii i astronomii. Władał łaciną, włoskim i angielskim. Znajomość tego ostatniego wyróżniała go w ówczesnych elitach francuskich. Nic dziwnego, że Ludwik XV wybrał go do służby dyplomatycznej i skierował na trudny wówczas dla Francji odcinek do Kopenhagi, do której przybył z żoną w 1729 roku. Stąd uważnie śledził zmagania Stanisława Leszczyńskiego o tron. Współorganizował pierwszą wyprawę i wspierał ją własnymi funduszami. Odwrót spod Gdańska potraktował jako klęskę prestiżu Francji, swojego władcy i własnej osoby. W interweniujących listach do Paryża grzmiał: »W grę wchodzi honor króla [...] oraz całego narodu«, a do Ludwika XV pisał rozżalony: »Okoliczności tego, do czego doszło, wzbudzają przerażenie rozmiarem hańby, jaka pokryła naród«; „»Nigdy, Panie, armia Waszej Wysokości nie doświadczyła podobnie haniebnego afrontu«". Nie wahał się osobiście wyruszyć do Gdańska.

Z pamiętnika świadka jego śmierci, markiza d`Argenson: „Hrabia de Plélo dowodził trzema batalionami (ok. tysiąc pięćset żołnierzy), usiłując bronić miasta, ale ze względu na ogromną przewagę Moskali, blisko trzydzieści tysięcy nieprzyjaciół, nie miał szans na powodzenie. Pomimo tego walczył dzielnie do końca. Mimo ran, ociekając krwią, trzykrotnie prowadził atak, próbując podnieść na duchu naszych żołnierzy, którzy widzieli bezsens dalszej walki. Zginął po odniesieniu piętnastu ran".

10 listopada 1734 roku żona hrabiego de Plélo, Ludwika-Franciszka, przypłynęła do Dunkierki i stąd udała się do Paryża, pisze Adam Koperkiewicz. „Wdową i dziećmi zaopiekowała się królowa Maria. Jedna z córek hrabiego, Luiza-Felicyta de Plélo, została jej damą dworu. Ciało ambasadora przywieziono do Francji i pochowano w rodzinnych stronach w Saint Brieuc. A król wygnaniec? Po półtorarocznym pobycie w Królewcu, przedostał się do Paryża, gdzie zrzekł się korony, zachowując tytuł królewski, a z rąk zięcia króla Ludwika XV otrzymał księstwo Baru i Lotaryngii, by tutaj na obczyźnie wykazać się pełnym talentem władcy, humanisty, organizatora, inwestora, budowniczego i społecznika".

„Ucieczka króla przerwała cierpienia obrońców i mieszkańców Gdańska, spowodowane wielomiesięcznym ostrzałem – na oblężonych spadło ponad 5400 pocisków armatnich różnych kalibrów, około 1800 domów zostało zrujnowanych lub uszkodzonych. Poddali się 7 lipca za cenę znacznej kontrybucji i uznania króla Augusta III. Los wziętych do niewoli Francuzów okazał się okrutniejszy niż mogli sobie wyobrazić. Dla nich konsekwencje desantu nie zakończyły się pod Gdańskiem. 27 sierpnia zaokrętowani na rosyjskie jednostki zostali przewiezieni do Petersburga i Narwy, wbrew kapitulacyjnym ustaleniom, gwarantującym powrót do ojczyzny – Francja i Rosja nie były w stanie wojny. Uwolnienie jeńców zwycięska strona uzależniła od zwrotu przez Francuzów zagarniętej w czerwcu na Bałtyku rosyjskiej fregaty „Mittau" z 200-osobową załogą. Jedynie starsi oficerowie byli podejmowani na dworze carycy Anny Iwanowny, która będąc pod wrażeniem nadzwyczajnego poczucia honoru i bezgranicznego oddania ryzykownej misji, zażądała portretu największego bohatera tych wydarzeń, hrabiego Plélo, i trzymała go w swoim pałacu aż do śmierci. Dopiero między 2 a 5 listopada rosyjskie okręty zabrały zwolnionych Francuzów i przewiozły do Kopenhagi. Ale trudne warunki żeglugi, zimno, mrozy, choroby zaczęły dziesiątkować byłych jeńców. Już wcześniej w Narwie zmarło

eprasa.pl 14a99e893b

380 żołnierzy i 11 oficerów. Katastrofa statku „Young Thomas" pod Łebą pochłonęła kolejne 31 ofiar, w Danii zmarło dalszych 85. W sumie od kapitulacji do czasu powrotu do ojczyzny utracono ponad 700 osób".

Wyważony i ostrożny jak czapla kard. Fleury, który zawiadywał polityką Francji w czasach Ludwika XV, nie był skłonny poświęcać dobrych układów z sąsiadami za dalsze inicjatywy zmierzające do powrotu na tron Polski królewskiego teścia. Francja uznała Augusta III jako króla Polski, a w zamian Stanisław Leszczyński został dożywotnim władcą Lotaryngii.

▶ „Niemożliwe nie istnieje dla Francuzów"

W fenomenie „Solidarności", który pozostaje do dziś silnym motywem podziwu Francuzów dla Polaków, najbardziej niepokojące dla Jaruzelskiego było to, że wynaradawiani i ateizowani latami ludzie, którzy mieli zostać na zawsze milczącymi niewolnikami, na powrót stawali się Polakami. Mówili głośno, że są okradani i okłamywani. Sięgali po treści i symbole, które – w myśl założeń propagandy – już dawno powinny były obumrzeć. To nie pieśni zrewoltowanego „ludu miast i wsi" dochodziły zza bram strajkującej stoczni, lecz „Boże, coś Polskę", „My chcemy Boga". To musiał być szok – dla „Generała" i całej kliki, która uważała się za władców Polski.

Polskość manifestowana przez ludzi „Solidarności" mąciła spokój, odbierała sen. Czołgi i samochody opancerzone wytaczane na ulice mówiły więcej niż obłudne słowa. Oni się naprawdę bali. Ktoś, kto się boi, ma tylko jedno wyjście: wycofać się albo zostać agresorem. Lęk to podpisanie aktu lojalności wobec najciemniejszych sił. Dlatego stan wojenny musiał być wprowadzony nocą. Dlatego wtrącano do więzień i obozów internowania także kobiety – matki i młode dziewczyny. Strzelając do ludzi „Generał" przypominał sobie, być może, to, co wbijano mu do głowy w moskiewskiej szkole, że terror to najlepsze lekarstwo na rozbudzone nadzieje. Ale przeliczył się. Fala ruszyła. Polskość raz obudzona, nie dała się spętać, sterroryzować, zastraszyć.

Przypomniał o tym niedawno – choć nie wprost – francuski kandydat na prezydenta, Éric Zemmour. Jego hasło wyborcze: „Dla Francuzów nie ma nic niemożliwego" („Inpossible n`est pas française") – to parafraza słów Napoleona, który przed szarżą polskich ułanów na przełęcz Samosierra, której bronili hiszpańscy powstańcy, powiedział do tych, którzy powtarzali, że zdobycie tej przełęczy, zagradzającej drogę na Madryt, jest „niemożliwe": „Co? Niemożliwe? Dla moich Polaków nie ma nic niemożliwego!". Był 30 listopada 1808 roku. Zwycięska szarża Polaków pod dowództwem Jana Kozietulskiego trwała osiem minut.

Pewne rzeczy żyją w historii dłużej niż chcieliby tego aktualni władcy Europy, niszczonej z niebywałą bezczelnością przez lewacko-liberalną biurokrację. Szczelinę w zmurszałym gmachu Unii Europejskiej coraz wyraźniej rozsadza jakaś zupełnie niezrażona bezładnym oporem zastępów skorumpowanych urzędników pieśń o wolności. Szarża wolnego ducha, który nie zna „niemożliwego".

To zapewne nie przypadek, że publicysta i pisarz Éric Zemmour, człowiek spoza układów partyjnych, to zarazem jeden z najbardziej oczytanych ludzi w swojej ojczyźnie. Potomek berberyskich żydów, którzy osiedlili się we francuskiej Algierii, w sposobie myślenia o Francji i Europie prezentuje klasyczne reguły rozumowania opartego na filozofii realistycznej, która jest wykwitem europejskiego średniowiecza i arystotelesowskiej logiki. W swoich komentarzach od dłuższego czasu zwraca uwagę na Polskę. Zemmour uważa, że nasze państwo swoim zdroworozsądkowym uporem w kwestii UE toruje drogę Francji do uwolnienia się od narzuconych jej schematów, zabójczych dla jej tożsamości, a wręcz i politycznego bytu. Polityk, który swoją wiedzę o świecie czerpie nie tylko z analizy wydarzeń oraz śledzenia sondaży, lecz także z lektur – i to tych najstarszych, jeszcze z czasów, gdy narody Europy wyznawały naprawdę wiarę w Boga, a zwykli ludzie potrafili myśleć logicznie, mając przed oczami wieczny cel jako ukoronowanie doczesnego życia – ma o wiele większe szanse na sukces. Nie tylko doraźny. Także ten, który nigdy nie ulegnie przedawnieniu.

To ze znajomości dzieł wielkiej literatury, którą zrodziła chrześcijańska kultura, płynie uznanie oczywistego faktu, że obronić Europę przed Unią Europejską można tylko zwalczając ideologię lewicowo-liberalną, ale i tę czysto liberalną. Oraz że własna narodowa tożsamość może być zachowana tylko wówczas, gdy faktycznie obroni się kulturę Zachodu.

Dochować wierności wspaniałej przeszłości historycznej i kulturowej naszych państw, Polski i Francji – oto prawdziwa polityka. A zarazem prawdziwa sztuka, którą z pewnością łatwiej jest opanować politykowi kochającemu książki. Polacy, którzy rozumieją nie tylko doczesny cel istnienia państwa, które leży pomiędzy Niemcami a Rosją, lecz także sens pojęcia: racja stanu oraz wartość i sens wspólnoty religijnej, jaką stanowimy jako Polacy, mogą się tylko cieszyć, że Francja zyskuje takiego lidera jak Éric Zemmour. ■

_____

Tytuł tekstu nawiązuje do refrenu piosenki J.-P. Bérangera o księciu Józefie Poniatowskim, śpiewanej w Paryżu w czasie powstania listopadowego.

eprasa.pl 14a99e893b

1. Ppor. Mikołaj Kuroczkin „Leśny", zastępca dowódcy 2. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". Białostocczyzna, lato 1945 roku
2. Na zdjęciu od lewej por. Kazimierz Chmielewski „Rekin", kpt. Romuald Rajs „Bury", ppor. Mikołaj Kuroczkin „Leśny", Józef Bandzo „Jastrząb".
3. Od lewej ppor. Kazimierz Chmielowski „Rekin", por. Romuald Rajs „Bury", ppor. Mikołaj Kuroczkin „Leśny"

ROSYJSKA KREW, POLSKIE SERCE

eprasa.pl 14a99e893b

75 lat temu, 18 lutego 1947 roku, został zamordowany w mokotowskim więzieniu por. Mikołaj Kuroczkin „Leśny", „Polus". Rosjanin, z wyboru Polak, żołnierz 3. i 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, 3. Wileńskiej Brygady Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Zastępca w oddziałach partyzanckich kpt. Romualda Rajsa „Burego". Jeden z najdzielniejszych żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego. Odznaczony Krzyżem Walecznych w listopadzie 1945 roku.

Dariusz Jarosiński

fot. Arch.

W 76. rocznicę bitwy pod Gajrowskimi na Mazurach zostanie odsłonięty w Panteonie Żołnierzy Wyklętych w Orłowie symboliczny grób por. Mikołaja Kuroczkina „Leśnego". W orłowskim Panteonie pochowani są żołnierze 3. Wileńskiej Brygady NZW, którzy nieopodal stąd zginęli w bitwie z 1,5-tysięcznym ugrupowaniem frontowych wojsk NKWD i polskich formacji komunistycznych. Będzie to trzeci symboliczny grób, obok grobu kpt. Romualda Rajsa „Burego", dowódcy 3. Wileńskiej Brygady NZW, i por. Włodzimierza Jurasowa „Wiarusa", prawosławnego Rosjanina, dowódcy plutonu tejże Brygady. Kapitan Romuald Rajs został zamordowany przez komunistów w białostockim więzieniu 30 grudnia 1949 roku, por. Włodzimierz Jurasow zginął w bitwie pod Gajrowskimi 16 lutego 1946 roku. Mimo intensywnych poszukiwań, szczątków wymienionych oficerów nie udało się do tej pory odnaleźć.

Gen umiłowania wolności

W okresie międzywojennym Rosjanie stanowili w Wilnie dość liczną, bo ponadsiedmiotysięczną enklawę – było ich czterokrotnie więcej niż na przykład Litwinów, którzy stanowili zaledwie 0,8 proc. mieszkańców miasta. Około 6 tys. Rosjan, tzw. białych, zamieszkało w Wilnie po rewolucji bolszewickiej, szukając w Rzeczypospolitej schronienia. Rodzina Kuroczkinów mieszkała w Wilnie jeszcze za czasów Imperium Rosyjskiego za cara Mikołaja II, nie należała do porewolucyjnej fali emigracyjnej, jak to czasami mylnie podają niektórzy historycy w swoich opracowaniach.

Mikołaj Kuroczkin urodził się 3 kwietnia 1914 roku w Wilnie. Miał dwóch braci – starszego o dwa lata Nikodema i młodszego o sześć lat Anatola. Wszyscy bracia uczęszczali po ukończeniu szkoły powszechnej do Gimnazjum im. Adama Mickiewicza, również wszyscy studiowali medycynę na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, choć z uwagi na wybuch wojny ukończyć studia udało się tylko Nikodemowi.

Ojciec chłopców, Aleksy Kuroczkin, przedsiębiorca, pochodzący z zacnej rosyjskiej rodziny, był wyznania prawosławnego, matka, Polka, Stanisława z Wyrzykowskich herbu Ślepowron, należała do Kościoła rzymskokatolickiego. Rodzice zdecydowali, że chłopcy przyjmą wiarę katolicką. Religia była ważnym elementem wychowania w domu Kuroczkinów, matka przekazała też swym synom w genach umiłowanie wolności. Chłopcy w czasie nauki w gimnazjum należeli do Sodalicji Mariańskiej. Rolą tej elitarnej organizacji było nie tylko pogłębianie wiary, lecz także kształtowanie postaw zaangażowania społecznego, patriotycznego dzieci i młodzieży.

Wielu uczniów wileńskiego Gimnazjum im. Adama Mickiewicza zasiliło później partyzanckie oddziały Armii

eprasa.pl 14a99e893b

Krajowej. Tutaj uczyli się m.in. legendarny szef Kedywu wileńskiego Sergiusz Kościałkowski „Fakir", współpracownik Sergiusza Piaseckiego, który zginął w walce z wojskami NKWD 4 lutego 1945 roku; Czesław Kliks „Jerzy", oficer kontrwywiadu wileńskiej Komendy Okręgu AK, lata 1945–1954 spędził w sowieckich łagrach; Paweł Świetlikowski „Jerzy", oficer Komendy Okręgu AK Wilno, kawaler Virtuti Militari, do roku 1956 przebywał na zesłaniu w Workucie.

Bracia, to znaczy być razem

Bracia Kuroczkinowie byli świetnymi sportowcami. W owym czasie panowała jakaś moda wśród wileńskiej młodzieży na uprawianie sportu, nie było bodaj takiej dyscypliny, za którą wileńscy chłopcy by się nie zabrali. Kola, czyli Mikołaj, przebił jednak w swoich wyczynach sportowych wszystkich kolegów. W 1932 roku rozpoczął próby lotów na mięśniolocie. Spełniał odwieczne marzenie człowieka o lataniu niczym ptak. Dokładnie dziesięć lat trwały próby, przygotowania do lotu, poprawiania konstrukcji skrzydeł. Pierwszy lot zakończony sukcesem odbył się w 1942 roku. Był pionierem latania na mięśniolocie w Polsce.

Mikołaj przed rozpoczęciem studiów, w latach 1935–1936, odbył roczne szkolenie w 1. Pułku Piechoty Legionów. Odbycie szkolenia w tej jednostce było nie lada wyróżnieniem. Pułk był najstarszym pułkiem II Rzeczypospolitej, nawiązywał do tradycji 1. Kompanii Kadrowej utworzonej w sierpniu 1914 roku przez Józefa Piłsudskiego. Jednostka ta była oczkiem w głowie Marszałka. Mikołaj zdążył przed wojną zaliczyć dwa lata studiów medycyny.

W czasie studiów Mikołaj należał do Akademickiego Konwentu „Ruthenia Vilnensis". Ruthenia była korporacją studencką rosyjskiej mniejszości narodowej. Kuratelę z ramienia uniwersyteckiego Senatu sprawował prof. Sergiusz Schilling-Siengalewicz. Honorowym członkiem tej korporacji był sam profesor Marian Zdziechowski, wybitny filozof, historyk i krytyk literatury, rektor Uniwersytetu Stefana Batorego.

Najstarszy z braci, Nikodem, w 1923 roku rozpoczął naukę w Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. W szóstej klasie został przyjęty do Sodalicji Mariańskiej. Po złożeniu egzaminu maturalnego w 1931 roku podjął studia na Wydziale Lekarskim wileńskiego USB. Należał do grona najlepszych studentów, pełnił m.in. funkcję wiceprezesa Koła Medyków. 20 czerwca 1938 roku jego studia zostały zwieńczone uzyskaniem dyplomu doktora medycyny, w tym samym roku, 20 września, zakończył służbę w stopniu sierżanta podchorążego w 14. Baonie Korpusu Ochrony Pogranicza. Do wybuchu wojny pracował w szpitalu powiatowym w Trokach koło Wilna jako asystent chirurga. W kampanii wrześniowej świeżo upieczony oficer, podporucznik Nikodem Kuroczkin, walczył w szeregach 6. Pułku Piechoty Legionów pod Wyszkowem i w okolicach Różana. W czasie walk był trzykrotnie ranny. Jego poświęcenie i odwagę wynagrodził dowódca 1. Dywizji Piechoty Krzyżem Walecznych.

13 września Nikodem zakończył wojenną epopeję – trafił do niemieckich obozów dla jeńców wojennych, w których przebywał do 1945 roku. Do Polski powrócił we wrześniu 1947 roku. Zamieszkał w Toruniu, gdzie organizował pracę służby zdrowia. Zmarł w 1965 roku.

Zaczęło się od przysięgi przy krucyfiksie

Mikołaj i Anatol Kuroczkinowie pierwsze kontakty z wileńską konspiracją niepodległościową mieli już na jesieni 1939 roku. Na początku 1942 roku duża grupa wileńskiej młodzieży została zaprzysiężona do Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Wśród zaprzysiężonych byli też dwaj bracia Kuroczkinowie. Mikołaja wprowadził do organizacji Józef Borsewicz „Brzeszczot".

O tym, jak wyglądało zaprzysiężenie, a także o pierwszych tygodniach, miesiącach działalności wileńskich konspiratorów opowiada Marian Korejwo „Milimetr" we wspomnieniowej książce „Moje ścieżki partyzanckie", późniejszy żołnierz 3. Wileńskiej Brygady AK „Szczerbca":

„Przyjęcie do organizacji odbyło się bardzo uroczyście. Miejsce spotkania wyznaczono w Kolonii Magistrackiej, tj. osiedlu za Pośpieszką w rejonie wyścigów konnych. W ciemnym pokoju przy palących się świecach stał krucyfiks. Słowa przysięgi i warunki otoczenia stwarzały podniosły, a zarazem trochę niesamowity nastrój. Po przysiędze zostaliśmy zaprzęgnięci do roboty, początkowo polegającej na kolportażu gazetek, ochronie transportów papieru i różnych materiałów (np. farby), a czasami przewoziliśmy broń. W późniejszym okresie kursowaliśmy jako kurierzy do Lidy, Mołodeczna, Warszawy, a nawet raz pojechałem do Dyneburga".

13 września 1943 roku 17-osobowa grupa konspiratorów wileńskich, na czele z por. Gracjanem Frógiem „Góralem" (późniejszym „Szczerbcem"), wyruszyła z Wilna do lasu. W grupie tej byli bracia Kuroczkinowie, Mikołaj i Anatol, notabene spokrewnieni z por. Frógiem, bo ich matka była rodzoną siostrą żony przyszłego komendanta 3. Wileńskiej Brygady AK. Państwo Frógowie i Kuroczkinowie byli sąsiadami, mieszkali w Wilnie na Zarzeczu przy ulicy Krzywe Koło.

Początki oddziału nie były, delikatnie mówiąc, rewelacyjne. „Uzbrojenie grupy było więcej niż marne" – wspominał Marian Korejwo „Milimetr". „»Dąb« [...] posiadał niemiecki pistolet maszynowy empi. »Pud« i »Jawor« mieli karabiny sowieckie, a »Baśka« nosił karabin z obciętą lufą, tzw. obrzezankę. Amunicji było niewiele, po kilkanaście sztuk na karabin. »Góral« miał polski pistolet typu vis. Poza tym pistolety mieli: »Leśny«, »Wiąz«, »Benek«,

eprasa.pl 14a99e893b

»Okoń« i może ktoś jeszcze. [...] Ubrani byliśmy w różne cywilne ciuchy. Jedynie »Leśny« miał na sobie polski mundur wojskowy".

Oddział, początkowo nazwany Oddziałem Lotnym im. Króla Bolesława Chrobrego, później 3. Wileńską Brygadą AK, bardzo szybko się rozrastał. W ciągu kilku miesięcy kilkunastoosobowa grupka urosła do kilkusetosobowego oddziału.

Oddział zaszył się w okolicy Sużan, Ornian, Dubinek. Jakikolwiek kontakt z nim był początkowo niemożliwy, partyzanci przechodzili szkolenie wojskowe, współdziałali z 6. Brygadą AK „Konara" w walkach z Niemcami i Litwinami. Jedynie bardzo rzadko zjawiał się w Wilnie Olek Borowski „Gruby" z listami partyzantów do rodzin.

Za wyszkolenie żołnierzy odpowiadał przedwojenny podoficer zawodowy Romuald Rajs „Bury", który awansował w oddziale do stopnia podporucznika, to on w krótkim czasie potrafił z wileńskich chłopców utworzyć elitarną jednostkę wojskową, która świetnie radziła sobie w walkach z oddziałami niemieckimi, litewskimi czy sowiecką partyzantką. Wyznawał starą żołnierską zasadę, od której nigdy nie odstępował: im więcej potu w czasie ćwiczeń, tym mniej krwi w czasie walki. Wspomniany już Marian Korejwo „Milimetr" opowiadał, że „jak nie było akcji, to dawał czadu ze szkoleniem. Pomimo 20-stopniowego mrozu z chłopaków wypływały na ćwiczeniach siódme poty".

Inteligencja szła w parze z odwagą

Jesienią 1943 roku oddział por. Fróga otrzymał nazwę 3. Wileńska Brygada AK, a dowódca zmienił pseudonim z „Górala" na „Szczerbca". Turgiele i najbliższe okolice jeszcze w grudniu 1943 roku zostały oczyszczone z niemieckich i litewskich żołnierzy, policjantów, urzędników – stanowiły skrawek wolnej Polski, nazywanej akowską Republiką Turgielską. O sukcesach tej brygady może świadczyć choćby taki fakt, że do połowy maja 1944 roku opanowała ona teren południowej Wileńszczyzny od Trok po Oszmianę. O palmę pierwszeństwa w sukcesach militarnych na Wileńszczyźnie z 3. Wileńską Brygadą AK mogła konkurować jedynie 5. Wileńska Brygada AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki".

Wracając do braci Kuroczkinów. Obu na pewno dowódca por. Gracjan Fróg „Szczerbiec" darzył dużym zaufaniem. Anatol „Wiąz" od stycznia 1944 roku pełnił funkcję oficera do zadań specjalnych, Mikołaj „Leśny" był w bezpośredniej dyspozycji komendanta „Szczerbca" i odpowiadał m.in. za łączność z Komendą Okręgu AK Wilno. Bracia byli niezawodni, ich inteligencja szła w parze z odwagą – brali udział w większości walk, bitew toczonych przez 3. Brygadę „Szczerbca".

W dniach 6–8 lipca 1944 roku 3. Wileńska Brygada AK, licząca wówczas około 750 żołnierzy, wzięła udział wraz z innymi kresowymi oddziałami Armii Krajowej w walkach o Wilno w ramach Operacji „Ostra Brama". W czasie natarcia Brygady zginęło 36 żołnierzy, a 192 zostało rannych. 14 lipca Gracjan Fróg „Szczerbiec" otrzymał awans na stopień kapitana, trzy dni później został podstępnie aresztowany przez Sowietów w Boguszach i wraz z innymi dowódcami AK wywieziony do obozu NKWD. To był też koniec 3. Wileńskiej Brygady AK, która została rozbrojona na obrzeżach Puszczy Rudnickiej przez zmotoryzowane oddziały Armii Czerwonej.

Ewakuacja do Białegostoku

Po zajęciu przez Sowietów Wilna i rozwiązaniu 3. Wileńskiej Brygady AK, „Leśny" i „Wiąz" zatrudnili się na dworcu kolejowym w Wilnie. Mikołaj pełnił funkcję zawiadowcy stacji. Bolszewicy prowadzili nieustanne aresztowania polskich patriotów, żołnierzy AK i wywozili na Syberię. W listopadzie 1945 roku został aresztowany przez enkawudzistów „Wiąz". Najpierw trafił do więzienia na Łukiszkach, gdzie poddano go brutalnemu śledztwu, po czym skazano na 10 lat łagrów. Pracował w kopalniach węgla kamiennego i ropy naftowej w Republice Komi (Uchta, Inta) po zachodniej stronie gór Ural. Z zesłania wrócił do Polski w grudniu 1955 roku. Zamieszkał w Toruniu. Po dokończeniu studiów medycznych pracował w Toruniu jako lekarz. Warto przy okazji dodać, że w Toruniu zamieszkała w okresie międzywojennym licząca około stu osób grupa Rosjan wywodzących się z białej emigracji, przeciwników bolszewizmu. W 1945 roku, po wejściu do Torunia bolszewików, narażeni oni byli na szczególne represje – około 30 osób wywieziono na Syberię.

Anatol Kuroczkin zmarł w 1997 roku. W Toruniu na Cmentarzu Garnizonowym pochowany jest ojciec braci, Aleksy Kuroczkin (1893–1965).

Mikołaj nie czekał, aż bolszewicy po niego przyjdą. W grudniu 1944 roku ewakuował się do Białegostoku. Białystok był wówczas takim miastem, w którym mieszkańcy Kresów, partyzanci kresowych oddziałów, w pierwszej kolejności właśnie w nim się zatrzymywali. Mikołaj znalazł pracę w Hajnówce w Okręgowej Dyrekcji Lasów Państwowych. W lutym 1945 roku za namową spotkanego ppor. Romualda Rajsa „Burego", który wówczas posługiwał się nazwiskiem Jerzy Góral, przeszedł do pracy w Samodzielnym Batalionie Lasów Państwowych. Został zastępcą ppor. „Burego", a oficjalnie ppor. Jerzego Górala, który dowodził 2. plutonem IV kompanii Samodzielnego Batalionu. W pododdziale niemal wszyscy żołnierze pochodzili z Kresów zabranych przez bolszewików, jedynie pięciu było miejscowych, z Białostocczyzny. Ich praca polegała głównie na zwalczaniu kłusownictwa oraz zapobieganiu bezprawnemu wyrębowi Puszczy Białowieskiej.

eprasa.pl 14a99e893b

W marcu 1945 roku w Puszczy Białowieskiej ludzie ppor. Rajsa natknęli się przypadkowo na żołnierzy mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", którzy przybyli na Podlasie z Wileńszczyzny. Jeszcze przed świętami Wielkanocy, które wypadały w 1945 roku 5 kwietnia, doszło do spotkania podporucznika „Burego" i sierżanta podchorążego „Leśnego" z mjr. „Łupaszką". Wkrótce zapadły decyzje o przejściu żołnierzy z plutonu ppor. „Burego" do odtwarzanej 5. Wileńskiej Brygady AK. Nastąpiło to 10 maja.

8 maja ppor. Rajs spotkał przypadkowo na ulicy plut. Kazimierza Chmielowskiego „Rekina", żołnierza 3. Wileńskiej Brygady AK, który dotarł do Białegostoku po ucieczce z obozu sowieckiego w Kałudze. „Rekin" też dołączył do oddziału „Burego", pozostawiając w białostockim mieszkaniu zrozpaczoną siostrę Zosię, u której zatrzymał się po trudach ucieczki z Kaługi. „Rekin" uciekł z Kaługi wraz ze Stanisławem Zmitrowiczem „Rudym". Do Białegostoku dotarli 6 maja.

Akt przejścia plutonu ppor. Romualda Rajsa do oddziału mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" traktowany był przez władze komunistyczne jako dezercja, tym bardziej że żołnierz zabrali ze sobą sprzęt, uzbrojenie. „Leśny" jeszcze dwa dni przed opuszczeniem placówki Samodzielnego Batalionu Ochrony Lasów upił dwóch oficerów sowieckich, którym podlegał magazyn broni, i udało się mu uzyskać na piśmie zgodę na „wypożyczenie" z magazynu dodatkowej broni i amunicji.

Podporucznik Romuald Rajs „Bury" został dowódcą 2. szwadronu w odtwarzanej 5. Brygadzie Wileńskiej AK, a jego zastępcą sierż. pchor. Mikołaj Kuroczkin „Leśny". Dowódcami pozostałych szwadronów byli również starzy, doświadczeni partyzanci – por. Zygmunt Błażejewicz „Zygmunt", por. Marian Pluciński „Mścisław", por. Jan Mazur „Piast", a drużyny podoficerskiej ppor. Jan Zaleski „Zaja". W szczytowym momencie odtworzona 5. Brygada osiągnęła liczbę 300 żołnierzy.

Akcja za akcją

„Bury" i „Leśny" już kilka dni po dołączeniu do oddziału mjr. „Łupaszki" mieli okazję wykazać się swoimi żołnierskimi talentami. Na szosie koło miejscowości Dziatkowice zorganizowali zasadzkę na samochód z sowieckimi żołnierzami. Czterech Sowietów zabili, zdobyli też sprzęt radiowy nadawczo-odbiorczy. Szwadron „Burego" i „Leśnego" odbył rajd z całą brygadą na południowy brzeg Bugu, po drodze rozbijane były posterunki milicji, a na podstawie informacji siatki AK likwidowani byli konfidenci UB i NKWD.

W akcie oskarżenia aresztowanemu w maju 1946 roku Mikołajowi Kuroczkinowi „Leśnemu" przypisany został udział w następujących akcjach: w maju 1945 roku napad na jednostkę LWP stacjonującą w Siemiatyczach pow. Bielsk Podlaski, rozbrojenie i rozmundurowanie około 100 żołnierzy, rozbicie posterunku MO i Urzędu Gminy w Siemiatyczach; w maju 1945 roku rozbicie posterunku MO w Małej Narewce pow. Bielsk Podlaski, zniszczenie akt w Urzędzie Gminy; w czerwcu 1945 roku napad na Urząd Gminy w Wyszkach pow. Bielsk Podlaski; w lipcu 1945 roku napad na posterunek MO w Siemiatyczach; w sierpniu 1945 roku napad na grupę operacyjną we wsi Miodusy-Dworaki, gdzie zostało zabitych 28 żołnierzy, w tym trzech oficerów Armii Czerwonej; w sierpniu 1945 roku napad na cztery samochody LWP. Zabitych zostało pięciu żołnierzy i dwóch oficerów.

Jedną z głośniejszych akcji przeprowadzonych przez, notabene, dwóch żołnierzy pochodzenia rosyjskiego, Mikołaja Kuroczkina „Leśnego" i Włodzimierza Jurasowa „Wiarusa", był atak 7 lipca 1945 roku we wsi Brzeziny na kolumnę samochodów prokuratury sowieckiej 5. Armii Pancernej. Jej oficerowie i żołnierze zostali zatrzymani i rozstrzelani. W akcji wzięli udział partyzanci 2. i 1. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK.

Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" cenił umiejętności żołnierskie, dowódcze Mikołaja Kuroczkina „Leśnego". Rozkazem z dnia 15 sierpnia 1945 roku, w Dniu Święta Wojska Polskiego, „Leśny" został awansowany na pierwszy stopień oficerski, czyli podporucznika.

Tak się złożyło, że w 5. Brygadzie Wileńskiej AK operującej na Podlasiu w 1945 roku było kilkoro żołnierzy pochodzenia rosyjskiego przybyłych z Rosji do Polski na Wileńszczyznę z porewolucyjną falą tzw. białej emigracji. W Brygadzie mjr. „Łupaszki" znalazły się oprócz Mikołaja Kuroczkina „Leśnego" legendarne postacie: sanitariuszka Lidia Lwow „Lala", por. Włodzimierz Jurasow „Wiarus", który w wieku 20 lat zginął w bitwie pod Gajrowskimi na Mazurach. Również rodzice „Wiarusa", Jerzy Jurasow i Wiera Miłowanowa Jurasow, okazali się niezawodni w trudnych momentach wymagających dużej odwagi. Państwo Jurasowowie w listopadzie 1948 roku udzielili pomocy kpt. Romualdowi Rajsowi „Buremu" ukrywającemu się przed Urzędem Bezpieczeństwa. W 5. Brygadzie mjr. „Łupaszki" na Białostocczyźnie walczył w szwadronie por. Błażejewicza „Zygmunta" jeden z trzech braci Sprudinów, Dymitr ps. „Kim". Bracia Sprudinowie, wspomniany już „Kim", ale także Mikołaj „Szerszeń" i Sergiusz „Majster", „Grom" – walczyli w Armii Krajowej na Wileńszczyźnie. Im zawdzięczamy fotografie wileńskich oddziałów partyzanckich. Dymitr Sprudin został ciężko ranny 28 maja 1945 roku w bitwie z grupą operacyjną NKWD i oddziałem KBW. Wiszącą na strzępach mięśni i skóry rękę trzeba było amputować.

To był czas, kiedy ani narodowość, ani tym bardziej wyznawana religia nie były istotne w ocenie ludzi. Liczył się ich stosunek do Polski, do niepodległości. Były tylko dwie strony barykady: za Polską i przeciw Polsce. Wydaje się, że dzisiaj powróciliśmy do tego starego schematu.

eprasa.pl 14a99e893b

Broni nie składamy

Na początku września 1945 roku Komenda Okręgu Białostockiego Armii Krajowej Obywatelskiej wydała rozkaz w związku z zarządzoną przez Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj akcją „rozładowywania lasów", rozformowania 5. Wileńskiej Brygady AK. 8 września 1945 roku w okolicy Stoczka pow. Bielsk Podlaski odbyła się odprawa oficerów Brygady, w czasie której mjr „Łupaszka" zarządził rozformowanie Brygady.

Porucznik Romuald Rajs „Bury" nie zamierzał jednak składać broni. 15 września 1945 roku z 30 żołnierzami 2. szwadronu 5. Brygady przystąpił do podziemia narodowego, podporządkował się Komendzie Okręgu Białystok „Chrobry" Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Jego oddział przyjął nazwę 3. Wileńska Brygada NZW. W odezwie do żołnierzy por. Rajs „Bury" napisał m.in., że „3. Wileńska Brygada, która weszła w skład NZW, była zawsze wierna Narodowi, nie złoży broni i będzie walczyć dotąd, dopóki nasza ojczyzna nie odzyska pełnej niepodległości w swoich dawnych granicach. Śmierć Wrogom Ojczyzny!".

Porucznik „Bury" pełnił jednocześnie dwie funkcje: szefa okręgowego Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS) i dowódcy 3. Wileńskiej Brygady NZW, która była traktowana jako struktura okręgowego PAS. Zastępcą „Burego" został ppor. Mikołaj Kuroczkin. Pełnił tę funkcję krótko, bo zaledwie dwa tygodnie.

Na początku października „Bury" i „Leśny" otrzymali miesięczne urlopy od komendanta Okręgu Białystok NZW mjr. Jana Szklarka vel Floriana Lewickiego „Kotwicza". W tym czasie 3. Wileńską Brygadą NZW dowodził ppor. Kazimierz Chmielowski „Rekin". W Warszawie obaj oficerowie wpadli w kocioł założony w punkcie kontaktowym NZW przy ulicy Środkowej 27 m. 3. Na szczęście nie zostali rozpoznani i po dwóch dniach przesłuchań zostali wypuszczeni, po czym wyjechali do Krakowa. Romuald Rajs udał się do rodziny do Sanoka, a Mikołaj Kuroczkin próbował podjąć w Krakowie studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niestety bez powodzenia. W połowie listopada powrócił do Warszawy, gdzie nawiązał kontakt m.in. z mjr. Marianem Kamińskim „Rawiczem" oraz z szefem PAS Komendy Głównej NZW kpt. Janem Morawcem „Henrykiem", „Remiszem". Mikołaj Kuroczkin otrzymał polecenie objęcia funkcji szefa PAS w Katowicach na Śląsku. Rozkazem KG NZW został awansowany do stopnia porucznika i otrzymał nowy pseudonim „Polus". Pod koniec 1945 roku wyjechał do Wrocławia, gdzie rozpoczął studia na Wydziale Chemii Politechniki Wrocławskiej.

We Wrocławiu „Polus" zwerbował do konspiracji poznanego w Warszawie por. Stefana Jabłońskiego „Visa". Porucznik „Vis" stał się nieformalnym zastępcą „Polusa", a wkrótce też następcą na stanowisku szefa PAS Okręgu Śląskiego NZW. Kapitan Jan Morawiec „Remisz" wyraził bardzo niechętnie zgodę na zawieszenie Kuroczkina w pełnieniu dotychczasowej funkcji pod warunkiem, że pozostanie on w dyspozycji Komendy Głównej NZW.

Mikołaj Kuroczkin tęsknił już za tzw. normalnym życiem, chciał studiować ukochaną medycynę, tymczasem musiał zadowolić się chemią na Politechnice Wrocławskiej, ale nie oznaczało to rezygnacji w przyszłości z wydziału lekarskiego. Rzucił się w wir życia studenckiego, zaczął działać społecznie, był aktywnym członkiem studenckiej organizacji „Bratniej Pomocy", Bratniaka. Nic dziwnego, że kiedy w czasie sesji egzaminacyjnej, na początku marca 1946 roku, zabrakło w akademiku światła, stanął na czele 50-osobowej studenckiej demonstracji, która udała się tłumnie pod budynek wrocławskiej elektrowni. Był w wąskiej grupie studentów, która domagała się od kierownika elektrowni jak najszybszego włączenia światła.

Demonstracja została uznana przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa za antypaństwową. Mikołaj znalazł się w grupie dziesięciu zatrzymanych osób. Po kilku dniach został ponownie wezwany do siedziby bezpieki. Tym razem przesłuchanie trwało pięć dni. Funkcjonariusze nie zidentyfikowali go. Warunkiem wypuszczenia go z aresztu było podpisanie zobowiązania o współpracy z UB, co uczynił. Co ciekawe, otrzymał nawet zadanie odnalezienia wśród studentów Mikołaja Kuroczkina, czyli samego siebie.

Po wypuszczeniu z aresztu Mikołaj skontaktował się z por. Michałem Galejem „Żurawiem" oraz za jego pośrednictwem z por. Lechosławem Roszkowskim „Tomaszem" z KG NZW, którym opowiedział o swoich „przygodach" z UB. Został skierowany na punkt kontaktowy komendy Morskiego NZW w Gdyni, gdzie miał czekać na lewe dokumenty i przerzut za granicę. Od końca marca czekał cierpliwie w Gdańsku przy ulicy Oruńskiej w mieszkaniu znajomych z Wilna. Niestety nie doczekał się na przerzut za granicę.

11 maja został aresztowany przez gdańskich ubeków i przewieziony do Warszawy, gdzie śledztwo wzięli w swoje ręce specjaliści z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z Wydziału III Departamentu III ppłk. Józefa Różańskiego (Goldberga). Brutalne śledztwo trwało ponad pół roku. Śledczy oprawcy tylko się zmieniali: chor. Zbigniew Kiszel, por. Bronisław Szymański, ppor. Józef Dusza, ppor. Marian Krawczyński. W czasie śledztwa Mikołaj Kuroczkin nie dał się złamać, zachowywał się godnie, jak przystało na polskiego żołnierza, oficera, wiernego przysiędze, ale też sportowca, który jako pierwszy wzbił się w Polsce w powietrze na mięśniolocie.

10 grudnia 1946 roku w procesie kiblowym, w celi mokotowskiego więzienia, Mikołaj Kuroczkin „Leśny", „Polus", został skazany na karę śmierci. Egzekucję wykonano 18 lutego 1947 roku. Kilka dni później, 22 lutego, komuniści ogłosili tzw. amnestię. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Agnieszka Kowalczyk

SŁONECZNE ŻYCIE ZDOBYWCZYNI PAMIRU

Całe życie Jadwigi Toeplitz-Mrozowskiej (1880–1966) wypełniały artystyczne poszukiwania, kreacje aktorskie i podróże w najbardziej egzotyczne zakątki świata. Błyszczała na scenach największych teatrów Lwowa, Krakowa i Warszawy, zdobywając jednocześnie estradę jako niezrównana śpiewaczka i tancerka, a do tego niedościgniona mistrzyni melodeklamacji. Żądna poznania innych kontynentów i kultur wyprawiała się do Indii, Cejlonu, Birmy, Kaszmiru, do Ziemi Świętej, Iraku i Persji..., a wreszcie jako pierwsza kobieta na świecie stanęła na wiecznie ośnieżonym Dachu Świata w azjatyckim Pamirze.

Zawsze odznaczała się żywiołowym temperamentem i nieokiełznaną naturą buntowniczki. Od najmłodszych lat odczuwała jakąś wewnętrzną potrzebę odkrywania nowej rzeczywistości, być może dlatego że swoje dzieciństwo spędziła w spokojnym modrzewiowym dworku ziemiańskim na Kielecczyźnie. Jej duchowym tęsknotom i potrzebom sprostać mógł jedynie teatr.

W roli Muszki, Lulu, Orcia i Haneczki

Wbrew woli rodziców postanowiła wstąpić na scenę i zostać artystką dramatyczną. Do odkrycia niepospolitego talentu deklamatorskiego Jadwigi przyczynił się młodopolski książę poetów – Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Urzeczony jej recytacją w jednym z warszawskich salonów, przedstawił dziewczynę dyrektorowi lwowskiego teatru – Tadeuszowi Pawlikowskiemu, a ten wysłuchawszy wiersza „Na Anioł Pański biją dzwony", zawyrokował: „Angażuję panią". Jadwiga była wniebowzięta, bo oto grać miała w najprawdziwszym zespole teatralnym!

Gdy podczas pierwszej próby, mając zagrać rolę Muszki w „Baśni nocy świętojańskiej" Jana Kasprowicza, stała zduszona „smutkiem zabłąkanej", na głos Ludwika Solskiego wyłoniła się ze swego ukrycia, zrzuciła pelerynę na ziemię i spontanicznie przebiegła lekko i cicho przez scenę, podnosząc ramiona i bijąc nimi powietrze ptasim obyczajem. Na to Kasprowicz zawołał uradowany: „Doskonały nabytek, macie szczęśliwą rękę, dyrektorze...".

Na początku przypadały jej role, które nie mogły „uspokoić nerwów i żołądka", ale z chwilą, gdy zaangażowano Jadwigę do zespołu operetkowego i kazano grać Lotti w „Trzech życzeniach" Ziehrera, ruszyła do tańca tak, że wióry poleciały z desek scenicznej podłogi. Wkrótce też rozbłysnąć miała w sztuce, która do głębi wstrząsnęła polskimi duszami, jaką było wówczas „Wesele" Wyspiańskiego, kiedy to w 1901 roku „skrzypki, basetla i flecik stanęły w ordynku na scenie lwowskiej, by porwać do tańca gości rozśpiewanej bronowickiej chaty". Wcieliwszy się w postać Haneczki – weselnej tancerki Jaśka, Jadwiga czuła się „ogłuszoną lawiną scen odnawiających się co parę minut, tragicznym zespoleniem świata duchów ze światem ludzi żywych [...]. I ja kręciłam się ze skamieniałą twarzą w tym sennym kołowrocie – wyznawała – choć dusza wyrywała się do Jaśka (Władysława Romana), wołającego wielkim głosem: »Chyćcie broni!!! Chyćcie koni!!!« [...]. Jak »Wesele« nie mieściło się w wiejskiej chacie, a wybiegało w kraj, tak i wrażenia [...] rozsadzały moją wyobraźnię, wzbudzając pragnienie czynu".

Na scenie lwowskiego teatru grała bez opamiętania, odtwarzając kolejno aż trzydzieści różnych postaci. Ar-

FOT. IPSB.NINA.GOV.PL

eprasa.pl 14a99e893b

tystkę zauważył sam Józef Kotarbiński i zaproponował angaż w krakowskim Teatrze Miejskim. Od razu rzucił ją na głębokie wody, bo wystawiał właśnie „Nie-Boską komedię", w której wyznaczył jej rolę Orcia – „jeszcze żywego, a już jakby wniebowziętego". Ona zaś, wczytując się w każde słowo niewidomego dziecka-poety, dała upust fantazji i dokonując duchowej identyfikacji ze swym bohaterem, podbiła serca publiczności. Po każdym przedstawieniu odbierała wielkie bukiety róż – białych, różowych, pąsowych, aż wreszcie purpurowych z bilecikiem: „Orciu! Orciu! Orciu!".

Harfa wzniesiona w powietrze

Ale oto już stanęła przed innym wielkim wyzwaniem – wykreowaniem postaci Harfiarki w „Wyzwoleniu" Wyspiańskiego. Cierpliwie przechodziła więc wszystkie męki prób i trawiła bezsenne noce w obawie, że braknie jej głosu, wyrazu, gestu, by stać się żywym upostaciowaniem najwyższej poezji. Wyspiański przeszywał ją swoimi widmowymi oczami, śledził wewnętrzne zmagania i... czekał. Kazał jej włożyć długą koszulę, owinąć w pasie złotym sztychem, włosy spleść w dwa warkocze i powtykać w nie kwiaty nenufarów... I tak nadszedł dzień premiery, w którym zżerana tremą, paraliżowana nerwami, dokonała niemożliwego... „Szarpnęłam łachmanami, zelżała harfa, głos mój, idąc teraz z głębi serca, wystrzelił z nieznaną mu dotąd siłą – nie mój, nie ludzki – szaleństwo huczy w głowie, harfa wzniesiona w powietrze jak sztandar wiodący lud do obrony wolności i honoru! Rzucam się wprzód: »Na bój! Przez krew na bój!«. Zbladł Syn, cofnął się Ojciec, zamarli słuchacze... Dopiero w ogniu premiery zrodziła się ta Harfiarka, o której dotąd tylko marzyłam".

Porwana w wir pracy artystycznej, mimo poważnego zagrożenia gruźlicą, grała m.in. słynną Lulu prowadzącą mężczyzn do zguby w „Demonie ziemi" Wedekinda, główną bohaterkę w „Erosie i Psyche" Żuławskiego, Lillę Wenedę i Stellę w dramatach Słowackiego, Młynarkę w „Zaczarowanym kole" Rydla, Klarę w „Ślubach panieńskich" Fredry... Występowała ponadto w warszawskim Teatrze Rozmaitości i Teatrze Letnim, choć równie dobrze czuła się na estradzie, odkrywając, że jej prawdziwym żywiołem jest deklamacja łączona ze śpiewem przy akompaniamencie muzycznym. Przykuwała widzów harmonią swojego głosu o szerokiej skali, zaraźliwym humorem i żarliwym temperamentem. Wcielała się w role św. Teresy, Anielki Słowackiego, góralki Tetmajera, tragicznej Lady Makbet czy porywającej swym tańcem Hiszpanki Conchity Perez w sztuce Pierre'a Louysa.

Pierwsze polskie słowo na Litwie

Jej historycznym udziałem stało się wypowiedzenie pierwszego polskiego słowa na Litwie, dokąd wysłał ją dyrektor Teatru Wielkiego. Na pierwszy ogień miał iść „List Anielki" z „Beniowskiego", a następnie Mickiewiczowska Inwokacja do „Pana Tadeusza", której władze rosyjskie zabroniły recytować tuż przed występem. W białej, koronkowej sukni z amarantem róży na ramieniu stanęła więc polska artystka przed wileńską publicznością. W pierwszym rzędzie błyszczały epolety i guziki rosyjskich dostojników i wojskowych, był i generał-gubernator z asystą, panowie polscy i litewscy, a przede wszystkim wilnianie spragnieni ojczystego języka. Ona natomiast, samotna na wielkiej scenie, utwierdzała się w poczuciu, że musi wypowiedzieć słowa, na które od lat czekali, i zamiast zaczynać „Listem Anielki", mówiła: „Litwo, Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie...". Z każdym wyrazem jej głos potężniał, wzrokiem mierzyła się z generał-gubernatorem, wypowiadając kolejne wersy o Pannie Świętej, co Jasnej broni Częstochowy. Słyszała, jak płynie ku niej jęk ludzkiego bólu, płacz, który rwał piersi na „wspomnienie przeżytych cierpień, rozświetlone iskierką nadziei". Czerwony ze złości policmajster miął z wściekłością program, lecz publiczność wstawała wzruszona, „cisnąc ręce do serca i do oczu", po czym zapadła długa cisza, którą przerwała dopiero recytacja fragmentów „Beniowskiego". Generał-gubernator nie ośmielił się wyciągnąć konsekwencji wobec buntowniczki. Jadwiga tryumfowała. Wieleński wieczór należał tylko do niej jako tej, która odważyła się w ojczyźnie wieszcza zamanifestować tłumione od dawna myśli i uczucia.

Grand Tour po Europie

Jednocześnie Jadwiga czuła, że aktorstwo to niejedyne jej powołanie i że tak naprawdę ciągnie ją w daleki świat. Narastające pragnienie przemieszczania się przeradzało się w nieodpartą potrzebę poznawania tego, co nowe i nieodkryte. Samotnie ruszyła więc do Madrytu, gdzie oglądała korridę z udziałem najsławniejszych toreadorów i najbardziej wojowniczych byków ze stajni Miura. Strachem przeszywał ją gigantyczny Escorial – królewski pałac, kościół, forteca, klasztor i grób w jednym, gdzie despotyczny Filip II „obmyślał tortury i wybierał nazwiska ofiar, wydając je na pastwę płomieni". Na placu Sewilli wzrok jej utonął w porywającym tańcu najprawdziwszej hiszpańskiej dżitany – cygańskiej artystki ulicznej, która uczyła ją potem przez dwie doby uroczej habanery, figlarnej seguidillas i ognistego fandango, co „uzależnia jak szampan", gdy „kastaniety to szemrzą, to strzelają", a „zawierucha spódnic odsłania proste i nerwowe kończyny... Aż wreszcie wszyscy obecni zaczynają klaskać w dłonie, bić się po udach, podrzucać kapelusze, rozrywać wachlarze i wrzeszczeć jak opętani: Olé! Olé! Olé!". Z obrazem wirujących zapamiętale Hiszpanów wracała do

eprasa.pl 14a99e893b

Polski, a potem udała się do Paryża – miasta romantycznych wieszczów, wspaniałej sztuki, wielkich namiętności i rewolucyjnych popędów. W Luwrze z rozkoszą oddawała się studiowaniu dzieł Moneta, Degasa, de Chavannesa i Milleta. Jednocześnie zanurzała się w barwne życie paryskich teatrów, oper i kabaretów, odkrywając coraz to nowe indywidualności. Niezapomniane wrażenie uczyniła na niej Yvette Giulbert, która na scenę Moulin Rouge wychodziła w jasnej sukni i czarnych do ramion rękawiczkach, by zaprezentować publiczności „Piosenkę o lepie na owady". W niewielkiej sali spowitej kłębami papierosowego dymu i przesyconej zapachem perfum szczęśliwe dzieci „Belle Époque" gwarzyły, śmiały się, flirtowały, ale gdy tylko pojawiła się artystka, sala cichła i trwała w jakimś niepokojącym oczekiwaniu. „To wszystko dzieje się bez szminki, bez lustra, bez pomocy rąk. Zaczyna mówić o synu, o tym ukochanym dziecku, które olśnione błyskami rozkoszy, przylgnąwszy nieodwołalnie do kochanki bez sumienia, gotowe uczynić dla niej wszystko, co człowiek o złamanej woli uczynić może, nie cofając się nawet przed ohydą zbrodni, żądanej przez szatańską kusicielkę. »Idź – mówi – i przynieś mi tu serce twojej matki!«. Z przerażeniem i rozpaczą w duszy idzie posłuszny rozkazowi, zabija matkę, wydziera serce i uciekając sam przed sobą, pada pod jego nieludzkim ciężarem, ale padając słyszy jeszcze cichy głos tego serca, które płacząc, zapytuje tkliwie: »czy nie zrobiłeś sobie krzywdy, moje dziecko«". Artystka z Polski była poruszona recytacją, która targała silnie każdy jej nerw i wstrząsała aż do bólu.

W związku z pogarszającym się stanem zdrowia i tym, że doktor zalecił jej roczny pobyt we Włoszech, otwarły się przed Jadwigą podwoje Wiecznego Miasta – jego przecudne świątynie, obeliski, fontanny, muzea, pałace, mury kipiące różami, wyniosłe palmy i szare oliwki, a przede wszystkim ruiny, które choć nieme, mówiły więcej niż niejeden przewodnik. Schodziła więc do katakumb i znikała w podziemnym labiryncie ciemnych korytarzy, mając poczucie, że jest wśród szczątków tych, którzy niezłomną wiarą w Chrystusa wstrząsnęli fundamentami państwa cezarów.

Z biciem serca wkroczyła na plac św. Piotra, nie mogąc oderwać oczu od imponującej kolumnady i wnętrza bazyliki, którą przesycał duch arcydzieł Donato Bramantego, Michała Anioła i Rafaela Santi. Zachłannym wzrokiem obejmowała nawy, ołtarze, grobowce, pomniki i rzeźby... Najbardziej jednak pragnęła ujrzeć Kaplicę Sykstyńską, a w niej „Sąd Ostateczny" Michała Anioła, który spędzając samotnie długie lata na rusztowaniu, „tragiczną wizję grzechu [...] oblekał w formę rzucających się w epileptycznych skurczach młodzieńczych ciał lub w odrażające twory zatwardziałych przestępców [...]. Te kłębiące się zwoje ludzkich postaci, w których z trudem odróżnić można, do jakiej istoty należą pogmatwane członki lecących w przepaść potępieńców, przyprawiają mnie o zawrót głowy – wyznawała [...]. Cały ten fresk przeniknięty jest strachem, ale tak potwornym, że niemal mrożącym krew w żyłach. Oto postać potępieńca, który połowę twarzy zakrył dłonią, a tylko jednym okiem, jednym spojrzeniem ujawnia rozpacz sumienia, z powodu haniebnej przeszłości, i przeraźliwy lęk przed nieznaną torturą przyszłości. Na zew trąb anielskich zwoływani na sąd powstają z martwych. Podnoszą wieka trumien i słaniając się nieprzytomnie, czekają... Ogarnia mnie po prostu zwykłe, ludzkie przerażenie [...], bo całą moją uwagę przyciąga właśnie to nieszczęsne mrowie, czujące na sobie cięgi bicza Bożego... Potęgę imaginacji tego tytana pędzla porównać można jedynie z genialną wizją Piekła, którą w »Boskiej komedii« przekazał światu Dante Alighieri".

▶ Na rozstajach nieznanego świata

We Włoszech doczekała też końca I wojny światowej i niepodległości Polski, a nowy, powojenny etap swojego życia rozpoczęła jako pani Toeplitz, zawierając małżeństwo z dyrektorem Włoskiego Banku Handlowego Józefem Toeplitzem, wpływowym finansistą, który był duszą i mózgiem tej potężnej instytucji. Związek ten dał jej prawdziwą wolność i możliwość realizowania swojej wielkiej życiowej pasji – podróżowania. Owładnięta żądzą wypraw w najodleglejsze zakątki Ziemi, czuła, że aby być szczęśliwą, wystarczy jej namiot nad głową i trochę ryżu w misce. To jednak nie Europa ani też nie Afryka Północna podbiły jej serce, lecz Indie, do których wyprawiła się aż czterokrotnie, po raz pierwszy w 1919 roku. Dopłynąwszy przez Ocean Indyjski do Bombaju – miasta, u którego wybrzeży tłoczyły się statki handlowe ze wszystkich zakątków świata i w którym płonęły codziennie stosy z trupami Hindusów pochłoniętych przez epidemie – poczuła się jak „niemowlę na rozstajach nieznanego świata". Zarzucono jej naszyjnik z kwiatów i przydzielono boya do wszelkich posług. Od razu poczuła, że biała rasa jest w Indiach szczególnie uprzywilejowana i że wytworne angielskie kluby położone na wybrzeżu przeznaczone zostały wyłącznie dla jej przedstawicieli. W przekonaniu Jadwigi był to jawny przejaw angielskiej polityki dyskryminacji rdzennej ludności Indii na jej własnej ziemi.

Nie mogła pogodzić się ze straszliwym losem, jaki w tym zakątku świata zgotowano kobiecie, zmuszonej do życia, które nie odpowiada ani jej fizycznemu, ani umysłowemu rozwojowi. „Być może – pisała – iż te tysiąclecia, w których stale utrzymywano kobietę w zależności i niemal pogardzie, wymagając od niej równocześnie zachowania przedślubnej fizjologicznej cechy

eprasa.pl 14a99e893b

dziewictwa, a po zawarciu małżeństwa absolutnej wierności, doprowadziły prawodawców [...] do stosowania w pogrzebowych obrzędach straszliwego »sati« polegającego na (niby) dobrowolnym wstąpieniu żony na stos i spaleniu się żywcem wraz z trupem małżonka". Choć ten barbarzyński obrzęd został zniesiony przez Anglików, wciąż w głębiach indyjskiej puszczy jeszcze w XX wieku dopuszczano się całopalenia kobiet, które nim wstąpiły na stos, otrzymywały z ręki litościwego kapłana narkotyk mający choć w części uśmierzyć ból. Niektóre wolały jednak poddać się tej przerażającej torturze, gdyż ratowała je przed upokarzającym życiem wdowy znaczonym głodem, najcięższą i najbrudniejszą pracą, jeśli nie potwornym rzemiosłem prostytucji.

O losie kobiety hinduskiej mówiło wiele jedno ze zwiedzanych przez Jadwigę więzień Centralnych Prowincji, gdzie w izdebkach przypominających okratowane trumny ujrzała Hinduski jak żywe szkielety, pochylone nad szyciem worków i skrywające całe swoje jestestwo w podziurawionych sari. Były to, jak się okazało, zabójczynie swoich mężów-tyranów, których zgładziły, dosypując im do jedzenia szkło starte na proch. Jadwidze nie trudno było pojąć, dlaczego poważyły się na tak desperacki krok. Jej wewnętrzny sprzeciw wzbudziły zwłaszcza przedwczesne zaślubiny siedmio- czy ośmioletnich dziewczynek z sędziwymi starcami. Zauważyła, że kobiety Indii nigdy się nie uśmiechają i często wpadają w dziwny stan melancholijnej rezygnacji. Śmiertelność dzieci w tym zakątku świata była ogromna, a warunki, w których się rodziły, najprymitywniejsze. „Dziecko-matka wyszukuje sobie zazwyczaj w zabudowaniach odosobniony, spokojny kąt, chroniąc się doń, gdy chwytają ją bóle i tam w ciemnościach, przy zaciśniętych zębach, łzach i krwi płynących z dziecka-kobiety odbywa się cud narodzin istoty ludzkiej. A jednak te matki – zauważa z podziwem – walcząc ostatkiem sił o swoje niemowlęta, zdolne są utrzymać je przy życiu, wykarmić i zdobyć dla nich prawo do życia, powiększając rokrocznie o setki tysięcy liczbę mieszkańców Wielkiego Półwyspu".

▶ Tajemnice Indii

W najwyższe zdumienie wprawiły polską podróżniczkę legendarne Wieże Milczenia, stanowiące cmentarz Parsów – potomków perskich emigrantów, którzy w VIII wieku zmuszeni do opuszczenia swojej ojczyzny, odnaleźli nowy dom w Bombaju, gdzie żyli według zasad i wierzeń zaratusztrianizmu. Jadwiga nie mogła odmówić sobie wędrówki na wzgórze Malabar porośnięte gęstą podzwrotnikową roślinnością, z której wystrzeliwały owe niesamowite budowle. Z uporem wspinała się na szczyt wyniosłości zwieńczonej pięcioma olbrzymimi basztami – samotnymi, smaganymi przez wichry, burze i ulewne deszcze, a strzeżonymi przez stada sępów. Wewnątrz tych wież biegły pochylone z góry ku dołowi, zwężające się pierścienie przeznaczone dla mężczyzn, kobiet i dzieci. Środek stanowił loch na kości. Od czasu do czasu otwierały się tylko drzwiczki u podnóża baszty, by można było wsunąć za nie ciało zmarłego. Wtedy to „sępy stróżujące na zrębach, rozluźniając szpony zaczynają z wolna przystępować z nogi na nogę, mierzą się spojrzeniem, przez chwilę ostrzą dzioby na kamieniach, aż wreszcie budząc skrzydłami powietrze, spadają w te pierścienie wieży – »Na żer! Na żer!«". Jadwiga nie dotarła na szczyt, powstrzymał ją poważny głos kapłana, który nakazał odejść obcej, nienależącej do wspólnoty Parsów, którzy oddają swe ziemskie szczątki na pożarcie sępów, bo nie chcą kalać rozkładającą się materią wody, ziemi, ognia i powietrza.

Wędrując ulicami Benares, ponoć najstarszego hinduskiego miasta nad brzegami Gangesu, napotkała siedzącego na ziemi samotnego bramina pogrążonego w kontemplacji. Towarzyszący Jadwidze hinduski sługa podszedł nieśmiało do mędrca, a ten spytał, „ile memsahib ma lat". Czterdzieści dwa – padła szybka odpowiedź. Fakir przeszył ją swymi czarno-czerwonymi oczami, a ona pod działaniem jego wzroku czuła, że całe jej ciało obejmują dreszcze – „trwają uparcie, ogarniają łydki, kolana, lędźwie... jak złodziej skradają się w górę, wstępują mi w łono, dobierają się do serca, do zębów... Aż wreszcie konają w mózgu, rozchodząc się pod czaszką w dziwny chłód". Po chwili usłyszała krzyk bramina: „Nieprawda! Masz 42 lata, 4 miesiące i 14 dni". Conęła się oszołomiona, bo była to prawda!

Gdy tylko dowiedziała się, że w Maduraju miała odbyć się procesja na cześć bogini Durgi – zwycięskiej wojowniczki, pani ognia i niebosiężnych himalajskich szczytów – postanowiła koniecznie wziąć w niej udział. Dlatego też przebrała się za Hinduskę – nałożyła na siebie sari, przyciemniła skórę smarowidłem, pozakładała przeróżne błyskotki, a w nos wetknęła sobie kolorowe szkiełko. I tak ucharakteryzowana zjawiła się w Maduraju – drugim świętym mieście Indii, by wstąpić w progi ogromnej świątyni boga Sziwy, pełnej pielgrzymów dniem i nocą. „Złożona z kilku gmachów rozdzielonych korytarzami, otoczona jest niezmiernie wysokim murem, najeżonym gopurami, to jest prostokątnymi wieżami o ściętych wierzchołkach, wznoszących się na dziesiątki metrów. Gopury są całkowicie pokryte płaskorzeźbami tak wypukłymi, że niektóre z nich zdają się odrywać od wiążącej je płaszczyzny i godzić włócznią w tłumy [...] lub rzucać w szaleńców, miotanych pragnieniem cierpienia, sploty wężów, rannych tygry-

eprasa.pl 14a99e893b

sów, słoni ryczących [...]. Rzeźby Maduraju [...] są wyrazem lęku człowieka przed życiem, które jest jednym pasmem cierpienia, przerywanym błyskami miłosnej tortury".

Wielką procesję na cześć Durgi zapowiadało pojawienie się zadziwiającego swym ogromem świętego wozu na dwunastu kołach, na którego szczycie widniała kapliczka czczonej bogini, oparta na czterech słupach z symbolicznymi rzeźbami potworów i strzeżona przez cztery wojownicze konie. Nad kapliczką wznosiły się jeszcze cztery piętra przeznaczone dla braminów. Gigantyczną machinę ciągnęły stutysięczne rzesze wiernych. „Na widok bogini tłum wpada w egzaltację graniczącą z atakiem furii – opisywała Jadwiga [...]. To są – poczęte w imaginacji Dantego i Michała Anioła – zastępy istot skazanych na wiekuiste męki. Nieartykułowane okrzyki, wściekłe przekleństwa, rozpaczliwe dęcie w trąby, piszczałki i w sprzęty do instrumentów niepodobne, budzą złowrogi chaos w powietrzu". Nagle zaległa przerażająca, martwa cisza, po czym powietrze rozdarł nieludzki krzyk. To fanatyczny wyznawca Durgi rzucił się pod koła świętego wozu. To jednak nie szaleniec..., to święty, wie, że ginąc w ten sposób, pójdzie do raju.

▶ Pamir zdobyty!

Najsłynniejszą wyprawą Toeplitz-Mrozowskiej, odbytą w 1929 roku, była ta, której celem stało się zdobycie Pamiru – tonącego w śniegach Dachu Świata. Do tej wyżynno-górzystej części Azji Środkowej, położonej na styku Tadżykistanu, Chin i Afganistanu, dotarło przed podróżniczką niewielu Europejczyków, a wśród nich Polacy – Leon Barszczewski, Bronisław Grąbczewski i Karol Bohdanowicz. Jadwiga Toeplitz-Mrozowska była natomiast pierwszą kobietą, której udało się pokonać cały niedostępny i odludny obszar Pamiru. Przemierzywszy koleją przestwór europejskiej i azjatyckiej Rosji, dotarła do Taszkientu, a dalej do Osz leżącego u stóp ałtajskiego łańcucha. W tym mieście karawan Jadwiga zorganizowała własną, złożoną z ośmiu ludzi, dziesięciu koni, czterech osłów i psa. I tak przygotowana ruszyła ku pastwiskom Tien-szanu jedyną możliwą drogą prowadzącą do Kaszgarii, a stamtąd dalej ku pustyni mongolskiej i na Pamir. Od Gulczy – ostatniej ludzkiej siedziby w Dolinie Fergańskiej – trzeba było już iść z karabinem w ręku z powodu grasujących band pod wodzą Dżeni Beka.

Po przekroczeniu przełęczy Sałdyk karawana znalazła się w jednej z najobszerniejszych dolin świata – w Dolinie Ałajskiej – Ziemi Obiecanej Kirgizów. Zdobywając szczyt Kizył-Art, Jadwiga stanęła u progu Pamiru Wschodniego, a potem powoli spuszczała się ku Marakan-sû – legendarnej Strasznej Dolinie, gdzie „wiatr z przeraźliwym wyciem szamocze się w słupach kurzu, które wznoszą się [...], wirują w skrętach, rozpościerają jak olbrzymie wachlarze, chłoszczą nas, tamują oddech, oślepiają... Huragan unosi w powietrzu małe kamyki i rzuca nam w twarz, rozbijając okulary. Cała dolina Markan-sû dymi jak otchłań piekielna; orkan wyje głosem tysiąca szatanów!". Jadwidze miejsce to przypominało jakieś olbrzymie cmentarzysko pełne niepogrzebanych kości wielbłądów, koni, osłów, a nawet piszczeli i czaszek ludzkich. Wkrótce miała stanąć w basenie największego z pamirskich jezior – Kara-kul, a potem w ponurej, pełnej ciasnych wąwozów i kamiennych rumowisk dolinie Muzkol, na której końcu bielało coś na kształt długiej rzeki tchnącej przeszywającym, lodowym zimnem. To „biała śmierć, otulona czarnym płaszczem skał, kusi i wzywa...". Przedarłszy się przez cieśninę lodową, na wysokości czterech tysięcy metrów ekspedycja rozbiła namioty. Temperatura – minus 12 stopni, „w brzuchu zimny groszek z puszki, skondensowane mleko, jedna »lepioszka«, trochę szynki i lampka wódki". By zapomnieć o wszystkich udrękach, karawańczycy palili opium. Jeden usprawiedliwiał się przed kierowniczką wyprawy: „Ja nie czuć zimno, głód, ja car, rozkazywać wszystkim!".

Następnego dnia Jadwiga zdobyła najwyższą przełęcz Pamiru – Akbajtał, osiągając tym samym szczyt wyżyny pamirskiej, skąd już tylko kilka godzin wspinaczki dzieliło ją od dzikiego i tchnącego jakąś niezgłębioną tajemnicą Bamianu – „Dachu Świata". „Rozciąga się na wszystkie strony, nieograniczony żadną wyniosłością aż po linię horyzontu, [...] 4595 m wysokości". Stąd brały początek najważniejsze rzeki Azji Środkowej – Amu-daria i Tarym – i tu też zespalały się ze sobą cztery największe łańcuchy górskie: Tien-szan, Kunlun, Karakum i Hindukusz.

Dla polskiej podróżniczki nie było rzeczy niemożliwych. To ona w pobliżu granicy z Afganistanem odkryła nienazwane dotąd doliny i przełęcze. Jedna z nich w paśmie górskim Kurtaku nazwana została jej nazwiskiem. To ona zbadała przyczyny wysychania jeziora Zorkul i oglądała z daleka te same szczyty, które w przyszłości miały zdobyć polskie alpinistki – Wanda Rutkiewicz i Zofia Szajuk. Owocem tej badawczej ekspedycji na azjatycki Dach Świata była książka „Moja wyprawa na Pamiry w roku 1929". Z Azji Jadwiga Toeplitz-Mrozowska powróciła jako tryumfatorka i odbyła swe „odczytowe tournée po Europie", udając się z wykładami do Włoch, Francji, Belgii, Polski i na Węgry, zapraszana przez uniwersytety, instytuty i towarzystwa naukowe. Za swe dokonania odznaczona została jako pierwsza kobieta na świecie złotym medalem Włoskiego Towarzystwa Geograficznego. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Tomasz Łysiak

ROMA AETERNA, CZYLI PAMIĘTAJ, ŻE JESTEŚ CZŁOWIEKIEM

FOT. TOMASZ ŁYSIAK

Tyle ponoć jest Rzymów, ile osób to miasto ukochało i zgłębiało jego tajemnice. Bo też tyle w nim ścieżek, epok, tropów kulturowo-historycznych. Był więc Rzym starożytny, średniowieczny, barokowy, chrześcijański, epoki risorgimento; Rzym bazylik i kościołów; Rzym mistrzów renesansu; Rzym Michała Anioła i papieży; Rzym Toski rzucającej się z murów Castel Sant'Angelo; Rzym Borgiów i Rzym Mussoliniego. Rzym okrutny, skąpany krwią męczenników, ofiar pożeranych przez bestie w trakcie igrzysk, Rzym z via Appia, przy której ukrzyżowano buntowników Spartakusa... Rzym wielki, wzniosły, monumentalny i Rzym brudny, zatłoczony, brutalny – pełen niezwykłych kontrastów. Antyczna perła świata.

Roma aeterna" – „wieczny Rzym", mawiali starożytni. Współcześni Włosi kpiarsko i złośliwie twierdzą, że „Roma ladrona" – „Rzym to złodziejka", nawiązując do legendarnej drapieżności stolicy imperium oraz do bezlitosnego zagarniania przez Rzymian własności innych... Stary czterowiersz mówi:

Roma, se santa sei,
Perché crudel se tanta?
Se dici che se santa,
Certo bugiardo sei!

Rzymie, jeżeliś święty,
Czemuś taki okrutny?
Jeśli mówisz, że święty,
Jesteś zwyczajnym kłamcą!

Niech i kłamie, gdy czyni to w zachwycający sposób... Pod jego zgiełkliwym płaszczem ulicznego ruchu odnaleźć możemy jednak tropy prawdziwe. Wiele z nich prowadzi do świata Rzymu antycznego... Gdybym jednego dnia miał pokazać przyjacielowi starożytny Rzym, to (ponieważ jest to niewykonalne w tak krótkim czasie) zaprosiłbym go na subiektywną wycieczkę wedle klucza, który wcale nie jest oczywisty. Bez obaw, nie będzie to wycieczka w stylu XIX-wiecznego grand tour...

▶ Mąż dzielny i rozumny

Zaczniemy od wizyty w Muzeach Watykańskich. Tu bowiem znajduje się skarb, przy którym, gdy tylko tam jestem, zatrzymuję się na dobrych kilka minut swoistej medytacji. To sarkofag z epitafium – tekst łaciński, który się na nim znajduje, upamiętnia wielkiego przodka rodu Korneliuszy Scypionów – Lucjusza Korneliusza Scypiona Barbatusa. Sarkofag znajdował się w grobowcu Scypionów przy via Appia Antica – zresztą właśnie mauzoleum Scypionów było najprawdopodobniej jednym z pierwszych wielkich grobowców wzniesionych przy owej słynnej drodze. Potomek Lucjusza Korneliusza Barbatusa takie słowa o swym przodku zamieścił na sarkofagu:

„CORNELIVS·LVCIVS·SCIPIO
BARBATVS·GNAIVOD·PATRE
PROGNATVS·FORTIS·VIR·SAPIENSQVE—QVO-
IVS·FORMA·VIRTVTEI·PARISVMA
FVIT—CONSOL CENSOR·AIDILIS·QVEI·FVIT·A-
PVD·VOS—TAVRASIA·CISAVNA
SAMNIO·CEPIT—SVBIGIT·OMNE·LOVCANA·OPSI-
DESQVE·ABDOVCIT"

eprasa.pl 14a99e893b

FOT. TOMASZ ŁYSIAK

Zygmunt Kubiak przetłumaczył to tak: „Korneliusz Lucjusz Scypio Brodaty, z Genjusza zrodzony, dzielny mąż i rozumny, którego postać cnotom dorównywała. Konsul, cenzor i edyl wśród naszego ludu, Taurazję, Cyzaunę, Samnium zdobył. Podbił całą Lukanię, zakładników pojmał".

To najprawdopodobniej najstarszy zachowany napis grobowy, najstarsze tego typu źródło do historii Rzymu republikańskiego. Absolutnie zachwycające. Barabtus żył w latach 337–270 przed Chrystusem. Jak dowiadujemy się z epitafium – był nie tylko konsulem w roku 298, lecz także sprawował niższe urzędy – edyla i cenzora. Był też znakomitym wodzem – bił się z wrogami Rzymu i zwyciężał...

Uwagę przykuwają też inne słowa. Po pierwsze, mamy tu zapis cursus honorum – kariery urzędniczej Rzymianina za czasów republiki. Ale także opis samego Lucjusza Korneliusza Scypiona „Brodatego". Był on bowiem mężem („vir") mądrym i silnym („fortis", co Kubiak przetłumaczył jako „dzielny"), którego „forma" odpowiadała cnotom („virtutei"). Ten napis epitafijny to więc zaproszenie do opowieści o Rzymie i jego instytucjach. A także o wartościach, które kształtowały Rzymianina. Już samo spojrzenie lingwistyczne zaprasza do medytacji – oto mąż, mężczyzna („vir") to ktoś, kto posiada cnoty i wartości („virtus" – cnota). Odwaga jest taką męską wartością. Co ciekawe, i w języku polskim znajdziemy te same związki między słowami „mężczyzna" i „męstwo" – jednym słowem mężczyzna ma wpisaną w swój archetyp kulturowy odwagę... Jest też niezwykle ciekawe, jak Rzymianie zwracali uwagę na to, iż obok cech charakteru musi iść dbałość o fizyczność, o ciało. „Forma zewnętrzna musi odpowiadać charakterowi" – chciałoby się rzec.

Jaki to miało walor wychowawczy? Kilka lat temu, właśnie przy sarkofagu Barbatusa, zatrzymaliśmy się z rodziną – była z nami moja siostra z dziećmi. Cóż ciekawego może być w kamiennej płycie z napisami? Zdawałoby się, że nic... Ale gdy opowiedziałem dzieciom, o kim mowa, cóż ten Scypion zdziałał, a jakich jeszcze potem miał potomków w rodzie, to... kilkunastoletniemu Stasiowi zaświeciły się oczy i chciał wiedzieć więcej i więcej. I pomyślałem sobie – taki też był cel rzymskich epitafiów. Nagrobek budował pozycję rodu i pełnił funkcję wychowawczą...

▶ Mury Rzymu

W Watykanie nie można ominąć galerii rzeźby rzymskiej. Tu znajduje się zachwycająca kolekcja rzeźb portretowych rzymskich, bardzo realistycznych, oddających charakter portretowanych, a także ich fizyczność – na twarzy utrwalono każdą zmarszczkę,

eprasa.pl 1ca99e893b

narośl, niemal każdy włos. Pośród setek zastygłych w czasie rzymskich, anonimowych obywateli są wreszcie przedstawienia cesarzy, w tym fantastyczna, jakże harmonijna postać Oktawiana Augusta...

Po wyjściu z Muzeów Watykańskich mijamy mury, na których widać napis, pozostałość po dawnej bramie Porta Angelica – „ANGELIS SVIS MANDAVIT DE TE VT CVSTODIANT TE IN OMNIBVS VIIS TVIS" – „Wysłał anioły swoje, by cię strzegły na wszystkich Twoich drogach". Tyle zostało, ostatni ślad owej bramy i jednej z dawnych dróg. Ceglany wysoki mur to fragment „le mura leonine" – wzniesionych wokół Watykanu przez papieża Leona w latach 848–852, po tym, jak bazylika watykańska została splądrowana (846 rok) przez muzułmanów. Mury okazały się więc potrzebne. A że cesarz Aurelian, gdy wznosił mury aureliańskie w latach 272–278, opasał Rzym umocnieniami po drugiej stronie Tybru, trzeba było zbudować tu własne fortyfikacje. Notabene cesarz Lucjusz Domicjusz Aurelian swój mur (jego pozostałości można odnaleźć w różnych częściach Rzymu) postawił właśnie w odpowiedzi na najazdy barbarzyńców, w tym Alanów. Mur otaczał dużo większą część niż stare umocnienia z VI wieku przed Chrystusem (mury serwiańskie) – nie tylko siedem wzgórz rzymskich i ścisłego starożytnego „centrum" miasta, lecz także Pola Marsowe, Zatybrze, a w jego linię włączono istniejące budynki – Castra Praetoria, Amphitheatrum Castrense, Sepulcrum Cestii. Liczył około 19 km (obecnie około 12 km), a jego wysokość wahała się od 6 do 8 m. Rzym objęty tymi murami liczył 1200 hektarów powierzchni.

▶ Wzgórze Kapitolińskie

My jednak skierujmy się na Kapitol, czyli Mons Capitolinus – nazwa słusznie kojarzy się z łacińskim słowem głowa (caput) – najważniejsze wzgórze rzymskie. Z Watykanu dotrzemy do niego mniej więcej tą samą drogą, którą w czasie legendarnych początków miasta podążali Sabinowie, by odzyskać utracone żony i matki – miniemy forum Trajana, wraz ze znajdującą się na nim fantastyczną kolumną upamiętniającą tegoż cesarza. Obecnie nie ma do niej dostępu – lata temu można było z bliska oglądać zachwycające płaskorzeźby, pośród których zobaczyć można było walczących legionistów. Mijamy Altare della Patria i Piazza Venezia i po schodach wspinamy się na kapitolińskie wzgórze, gdzie stoi kopia pomnika Marka Aureliusza (oryginał jest obok w muzeum). To na tym pomniku wzorował się Thorvaldsen, wznosząc w Warszawie w roku 1829 monument dla księcia Józefa. Znajdujemy się teraz w przestrzeni, której wygląd zawdzięczamy papieżowi Sykstusowi oraz geniuszowi Michała Anioła, który cały plac zaprojektował.

Wchodzimy do Muzeów Kapitolińskich. Na dziedzińcu oglądać można fragmenty wielkiego pomnika cesarza Konstantyna – jego stopę, głowę, dłoń. A wewnątrz zobaczymy prawdziwe cuda: odlewy, fragmenty wielkiej statui cesarza Konstantyna, pomnik Aureliusza czy też pozostałości po świątyni Jowisza Najlepszego Największego, największej i najważniejszej świątyni rzymskiej, która wieki temu królowała na tym właśnie wzgórzu. Ale też dojdziemy do miejsca, które – nie ukrywam, zawsze napawa mnie wzruszeniem – pokoju, w których stoi Wilczyca Kapitolińska. Ale nie sama „lupa" powoduje takie emocje (notabene niektórzy twierdzą, iż „lupa", która uratowała od głodowej śmierci Romulusa i Remusa, nie była wilczycą, lecz... kobietą lekkich obyczajów – od rzymskiego określenia „dziwka" pochodzi słowo „lupanar"). Jest piękna, owszem, równie piękne są renesansowe bliźnięta, które karmi. Gdy wszyscy robią zdjęcia wilczycy, ja z zachwytem zbliżam się do tego, co na ścianie. To fasti consulari – wyryte w marmurze imiona kolejnych konsulów, którzy znaczą historię rzymskiej republiki, czyli swoisty rzymski kalendarz roczny. Teraz możemy iść dalej.

▶ Kolos przed amfiteatrem Flawiuszów

Z Kapitolu rozpościera się przepiękny widok na całe Forum Romanum, gdzie widać i Łuk Septymiusza Sewera, i budynek Kurii (siedziby senatu), świątynię i bazylikę Juliusza. My jednak schodkami zejdziemy w bok, obejdziemy forum i dojdziemy do Koloseum. Amfiteatr Flawiuszów! Jego budowę zaczął Wespazjan w roku 70 (po burzliwym roku czterech cesarzy), a Rzymianie z radością obserwowali wznoszoną konstrukcję. Amfiteatr bowiem, miejsce rozlicznych igrzysk, walk gladiatorów, występów czy odgrywanych bitew (nawet morskich), stawiany był na miejscu olbrzymiego terenu Willi Nerona. To Neron swoje posiadłości wybudował właśnie w centralnej części Wiecznego Miasta, wzbudzając tym złość mieszkańców. Postawienie Koloseum (nazwanego tak później od Kolosa, wielkiej rzeźby stojącej przed amfiteatrem) miało w oczach cesarza stanowić symboliczne odcięcie się od polityki sprawowania władzy przez Nerona. Gdy dzisiaj zwiedzamy Koloseum (trwają właśnie w Museo Parco di Colosseo prace nad przywróceniem dawnej areny, z jej pełną funkcjonalnością, będzie to niedługo nie lada atrakcja dla zwiedzających) – przychodzi nam zawsze do głowy myśl, iż starożytny Rzym miał w sobie te dwa oblicza – piękne, klasyczne oraz okrutne i ociekające krwią. Amfiteatr Flawiuszów został uroczyście otwarty w roku 80 przez cesarza Tytusa. A gdy o Tytusie mo-

eprasa.pl 14a99e893b

Sarkofag Scypiona Barbatusa

wa... to przecież warto zobaczyć też jego łuk triumfalny. Najprościej zrobić to, udając się z Koloseum w stronę Via Sacra.

Pod tym znakiem zwyciężysz

To na tej drodze odbywały się tryumfy wielkich wodzów rzymskich, konsulów i cesarzy, którzy po zwycięskich kampaniach jechali nią w pochodzie na Kapitol otoczeni wiwatującym tłumem, prowadzący jeńców i niewolników. Tryumfujący wódz rzymski, przystrojony zwycięskim wieńcem, za swoimi plecami miał niewolnika, którego jedynym zadaniem było szeptanie mu do ucha w czasie przejazdu pośród wiwatującego tłumu: Hominem te esse memento, Hominem te esse memento... („Pamiętaj, że jesteś człowiekiem. Pamiętaj, że jesteś człowiekiem...").

Zanim jednak dotrzemy do Via Sacra, zatrzymajmy się pod Łukiem Konstantyna. Wzniesienie głowy i podziwianie zbudowanego w 315 roku łuku przeniesie nas w czasie do innego miejsca w Rzymie – do mostu Mulwijskiego na Tybrze. To przy tym moście właśnie, na starej rzymskiej drodze biegnącej z północy kraju, starły się wojska Konstantyna z Maksencjuszem w 312 roku. Tu nasza polska wrażliwość i wyobraźnia natychmiast przemawia w ślad za naszym Krasińskim – In hoc signo vinces („Pod tym znakiem zwyciężysz"). Wizja Konstantyna – krzyż ujrzany na niebie – jest niezwykłym symbolem wielkiego przełomu, jaki dokonywał się w historii nie tylko Rzymu, lecz także całej cywilizacji Zachodu. Oto przed rzymskim cesarzem otwierały się niebiańskie drzwi do wiary – a przed Rzymem jako takim do uznania religii chrześcijańskiej jako „państwowej". Ten sen Konstantyna, który z niebywałym talentem odmalował na ścianach kaplicy w Arezzo Piero della Francesca, to sen przełomowy dla dziejów świata. Po okresie prześladowań chrześcijan w czasach Dioklecjana następowała nowa era. Już rok po bitwie miał się pojawić edykt mediolański, a jeszcze później, w 325 roku, synod nicejski – zatwierdzający niektóre prawdy wiary (na przykład „Syn współistotny Ojcu") czy nawet ową niedzielę, dzień święty i wolny od pracy, który mamy do dzisiaj. Wizja Konstantyna przełożyła się na praktyczne zwycięstwo wojskowe – cesarz kazał umieścić na labarum legionistów nowy znak Phi Ro oznaczający Chrystusa. I zwyciężył. Świat miał się zmienić, a dzieje popłynąć innym torem. Konstantyn zaś nie tylko wprowadził chrześcijaństwo w uniwersum państwowe Rzymian, lecz jeszcze przeniósł stolicę do Bizantion, przekształcając to miasto i przebudowując je na „nowy Rzym" – Konstantynopol. A tu już historia nabiera jeszcze nowego biegu, który trwać będzie przez ponad milenium! Czyż nie ma prawa zakręcić nam się w głowie, kiedy patrzymy na Łuk Konstantyna? Nie widzimy jedynie kamiennej, w istocie pięknej konstrukcji – widzimy łuk, przez który Rzym przechodzi w inną epokę...

Ślady cesarstwa

Na koniec zostanie nam Palatyn. To na tym wzgórzu bracia Romulus i Remus podzielili się władzą, wykonując tak ważne dla legendy auspicja. To stąd patrzyli na to, ile orłów im się pokaże. I to tutaj znajdowały się cesarskie posiadłości i pałace. Co z tego zostało? Przepiękne cesarskie budynki – dom Liwii, dom Augusta, pełne fresków i malowideł, ślady dawnego pałacowego życia. Gdy przejedziemy dalej, z góry zobaczyć można olbrzymi teren Circus Maximus. Cesarz kiedyś mógł oglądać wyścigi kwadryg, wychodząc do swej loży bezpośrednio z pomieszczeń pałacowych. Nie słychać wrzasku tłumów? Nie widać, jak gnają kwadrygi – „zielonych", „niebieskich" i „czerwonych" – w owym szalonym wyścigu starożytnej Formuły 1? Nie szkodzi. Są jeszcze świadkowie sprzed wieków – ceglane mury. Nadal tu są, niezmienne i choć skruszałe tu i ówdzie, to jednak potwierdzają, że Rzym jest wieczny.

Kiedy oprzemy się plecami o pień piniowy i zamkniemy oczy, poczujemy zapach żywicy. Ten sam, który czuli Marek Tulliusz Cycero, Oktawian August i Wergiliusz. W ciszy dobiegnie może, dochodzący zza pleców szept: „Pamiętaj, że jesteś człowiekiem". Tak potrzebny w chwilach twojego tryumfu. ■

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 14a99e893b

Łukasz Cranach starszy „Madonna pod Jodłami”

Łukasz Cranach starszy „Melancholia"

SZYBKO, SZYBCIEJ... CRANACH!

eprasa.pl 14a99e893b

Łukasz Cranach starszy „Trzy Gracje"

Łukasz Cranach starszy „Portret księżniczki Sybilli von Cleve"

Olga Doleśniak-Harczuk

W ciągu 80 lat istnienia warsztatu Lucasa Cranacha starszego i jego synów ta fabryczka wypuściła w świat 5 tysięcy obrazów. Przetrwało 1500, a dzięki tytanicznej pracy zespołu badawczego Cyfrowego Archiwum Cranacha, aż 1126 z nich zostało prześwietlone przy użyciu najnowszych technologii z wykorzystaniem podczerwieni. Dzięki temu już dziś wiemy, czy dany obraz jest autorstwa Lucasa Cranacha starszego, młodszego czy któregoś z licznych uczniów „najszybszego malarza renesansu" i co znajduje się pod warstwą farby, jakie tajemnice, wskazówki, kuchnia malarskiego warsztatu przycupnęła z dala od ludzkiego spojrzenia.

eprasa.pl 14a99e893b

W tym roku przypada 550. rocznica urodzin Lucasa Cranacha starszego, praprzodka Johanna Wolfganga Goethego, przyjaciela i najsprawniejszego „medialnego promotora" Martina Lutra, ale również burmistrza Wittenbergi, który nie zawahał się podpisać wyroku śmierci na oskarżonych o czary. Taki był Cranach. Albo jeszcze ciekawszy.

Dziewczyna Cranacha w akcji

Cranachowa „Madonna pod jodłami" przyjechała tej zimy do Muzeum Narodowego w Warszawie z Wrocławia i zostanie w stolicy do 27 lutego. Również Cranachowie „Adam i Ewa" nie musieli znosić trudów podróży, mieszkają w warszawskim muzeum od 1946 roku, ale w zestawieniu z przyjezdną Madonną tworzą intrygującą kompozycję. Oba obrazy są datowane na 1510 rok, wyłaniają się z półmroku muzealnej sali, patrząc na siebie z jej dwóch krańców, otoczone miedziorytami Albrechta Dürera, Albrechta Altdorfera i samego Cranacha. Twarz Ewy i oblicze Madonny Cranach zabrał tej samej kobiecie, nieznanej do dziś modelki potocznie nazywanej „dziewczyną Cranacha". To musiała być ulubiona muza malarza, odnajdziemy ją też w jednej z trzech Gracji z 1531 roku, w tej stojącej najbardziej po prawej stronie, jedynej z rozpuszczonymi włosami, swobodnie trzymającej się za lewą stopę. Te same oczy w kształcie migdałów, drobna postura, rudawe pukle, łukowate brwi.

Już grzecznie odzianą znajdziemy rudowłosą na obrazie „Melancholia" z 1532 roku. Zamyślona postać ze skrzydłami, wokół niej świat szaleje, walczy, jest dziki, niepokojący i głośny, czarownice na świniach i kozłach zjeżdżają w chmurne przepaście, a dziewczyna Cranacha ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal jest duchem nieobecna. I bardzo piękna w tym oderwaniu. Inaczej niż na rycinie Albrechta Dürera (1514), gdzie skrzydlata bohaterka jest bezczynna i z rezygnacją trzyma tylko w dłoniach cyrkiel, u Cranacha coś jednak się toczy, jakaś walka ze stanem oderwania od świata. Jak się bliżej przyjrzeć, widać, że dziewczyna struga gałązkę, sądząc po jej giętkości, może to być roczny pęd wierzby, drzewa symbolizującego w kulturze europejskiej m.in. granicę między żywiołami ziemi i wody, piekła i nieba, życiem i śmiercią. Podczas gdy intelektualista, wybitny teoretyk sztuki Dürer, umieszcza swoją Melancholię wśród porozrzucanych narzędzi, z klepsydrą bezlitośnie odmierzającą ziarenka czasu, z książką, graniastosłupem, kamieniem młyńskim, kwadratem magicznym, Cranach pozwala swojej Melancholii spokojnie strugać gałązkę wierzby. Jest zamyślona, ale pogodna, bez śladu załamania czy opuszczenia. Czyżby Cranach po raz kolejny w życiu chciał udowodnić swoim współczesnym, że jego sztuka obejdzie się bez przepychu symboli, tak chętnie wykorzystywanych przez kolegę z Norymbergi? Wracając do „dziewczyny Cranacha", odnajdziemy ją jeszcze w wielu odsłonach, ale najbardziej intrygujące jest chyba jej podobieństwo do księżniczki Sybilli von Cleve (1526), małżonki Jana Fryderyka I. Być może to jedynie projekcja malarza, na późniejszych dwóch portretach księżniczka już bowiem w niczym nie przypomina ani śmiałej Ewy, ani rozmarzonej Melancholii z wierzbową witką. O prześlicznej Maryi z bisiorowym woalem nie wspominając.

Zapasy z Dürerem

Ile razy Cranach spierał się z Dürerem na motywy, nastroje chwili? Czy ich pierwsze spotkanie, do którego według źródeł doszło w 1524 roku, było dla obu doświadczeniem przykrym, czy też potrafili z niego wyjść z fasonem? Kiedy Lucas z Kronach w 1505 roku przybył do Wittenbergi i został nadwornym malarzem księcia elektora Fryderyka Mądrego, o rok starszy od Cranacha Albrecht Dürer cieszył się już sporą renomą. Dürer w latach 1507–1508 na zlecenie Fryderyka Mądrego wykonał obraz dla kolegiaty w Wittenberdze. W tym czasie Cranach pobierał już na dworze pensję w wysokości 100 guldenów rocznie (dziś dostawałby około 100 tys. euro rocznie) plus dodatkowe wynagrodzenie za wszystkie namalowane portrety elektora i jego rodziny, scenki z polowań, ślubów, uroczystości i innych ważnych okoliczności życiowych władcy, który lubił być uwieczniany zarówno jako piewca humanizmu i założyciel uniwersytetu w Wittenberdze, jak i bohater najsłynniejszych dzieł sakralnych Cranacha.

Dürer i Cranach przyjmowali zatem zlecenia od elektora saskiego, obaj mieli też na koncie jego portrety, obaj należeli do naddunajskiej szkoły XVI-wiecznego malarstwa niemieckiego, sięgali często po te same motywy biblijne i mitologiczne, inspirowała ich natura, pejzaż, ale każdy na swój sposób pożytkował wiedzę i doświadczenie zdobyte chociażby w Italii. Podczas gdy Dürer zachwycony mistrzami szkoły weneckiej, a zwłaszcza Giovannim Bellinim (inspirację Bellinim chyba najlepiej można dostrzec na obrazie „Młody Jezus wśród uczonych w Piśmie" z 1506 roku, wystarczy go zestawić z „Ofiarowaniem w Świątyni" Belliniego (1460–1464), który z kolei zainspirował się dziełem Andrei Mantegni [1460], ten ostatni obraz był prezentowany w 2019 roku w ber-

eprasa.pl 14a99e893b

Łukasz Cranach starszy „Adam i Ewa"

lińskiej Gemäldegalerie na wystawie będącej hołdem dla Belliniego i Mantegni), w pewnym momencie przeniósł do swojej twórczości kolorystykę i miękkość wczesnego renesansu włoskiego, Cranach pozostawał odporny na uroki Italii. Niektórzy historycy sztuki łamali sobie nawet głowy, czy Cranach był ignorantem, czy najzwyczajniej nie znał dzieł włoskiego renesansu, drugą wersję szybko wykluczono. Jak najbardziej znał, osobiście zetknął się nawet z Tycjanem, poszedł jednak swoją drogą jako najbardziej średniowieczny spośród renesansowych twórców niemieckich i stworzył własną markę na północ od Alp. Marka to zresztą słowo klucz. I dotyczy tak samo Cranacha, jak i Dürera.

Głowy na karku

W pewnym momencie Cranach stał się tak popularny i rozchwytywany, aż został wybrany na burmistrza i awansował do rangi najbogatszego mieszkańca Wittenbergi. W kompleksie mieszkalnym przy Schlossstrasse 1, który zajmował, mieściły się pokoje prywatne i warsztat. Prosperujący jak fabryka malarska. Dostarczająca bogatym obrazy, a mniej zamożnym – drukowane grafiki. Największa, zachowana do dziś grafika przedstawiająca – jakżeby inaczej – Martina Lutra, składa się z 11 osobno wydrukowanych części (możliwości techniczne nie pozwalały na wydruk ogromnych powierzchni), złożonych w postać Lutra. Praktyczny Cranach wraz z synami w razie potrzeby wymieniali część zadrukowaną twarzą Lutra innym wizerunkiem, na stanie mieli m.in. wizerunek Jana Husa. Dzięki prasie drukarskiej Cranach i jego rodzina stali się absolutnymi liderami biznesu drukarskiego swoich czasów. I wykazywali się sprytem urodzonych kupców. Nawet barwniki do farb kupowali taniej niż konkurencja. A działo się to za sprawą nabytej przez seniora rodu apteki. Dzięki tej na pozór oderwanej od artystycznych ambicji inwestycji malarska familia uzyskała przywilej zakupu barwników w ilościach hurtowych i po niższych cenach. A te naprawdę słono kosztowały. O ile jeszcze żółć sprowadzano z pobliskich kopalń Gór Kruszcowych, o tyle już ultramaryna z Hindukuszu była dostępna wyłącznie w Amsterdamie i kosztowała majątek (jedna uncja za 24 guldeny). Cranach przywiózł z podróży do Niderlandów w 1508 roku kilka gramów tego barwnika i namalował nim szaty Maryi w tryptyku przedstawiającym świętą rodzinę. Cranachowi wiodło się dobrze, miał wyrobioną markę i potrafił czerpać korzyści z nowinek technologicznych swego czasu. Albrecht Dürer radził sobie równie dobrze, jak nie lepiej. W chwili śmierci w 1528 roku majątek genialnego twórcy wynosił blisko 7 tys. guldenów. Dürer przechodził na łono Abrahama jako najbogatszy mieszkaniec Norymbergi. Żeby jednak nie było niedomówień – potęga jego renesansowego przedsiębiorstwa mogła się rozwinąć dzięki pomocy zamożnego ojca, ojca chrzestnego i zaprzyjaźnionego prawnika, każdy z nich udzielił bowiem Dürerowi na różnym etapie jego życia i rozwoju – kredytu. Pieniądze zostały dobrze zainwestowane. Druk książek, obrazków, portretowanie możnych, zastrzeżenie monogramu AD, tak by nikt nie mógł czerpać z niego korzyści – autor „Melancholii", „Adama i Ewy" oraz wielu innych dzieł, które do dziś elektryzują i inspirują, był geniuszem swoich czasów zarówno w branży artystycznej, jak i biznesowej. Cranach przeżył Dürera o ćwierć wieku, ale ich drogi do dziś się przecinają. Ostatnio przecięły się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Genialni biznesmeni renesansu znów pod jednym dachem, a wraz z nimi ich obraz otulonych północnoniemieckim pejzażem pierwszych rodziców i dziewczęcej Matki Boga. Zapowiedź grzechu, który zmieni bieg historii, naprzeciw delikatnej niczym bisiorowy woal Cranachowej Madonny. Tej, która zapowiada całą sobą odkupienie. Również tych dwojga. Oni jeszcze nic nie wiedzą. Zastygli pod drzewem zadowoleni z własnej przebiegłości. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Krzysztof Karnkowski

Kometa nad doliną San Fernando

Chwalący ją chór nie dopuszcza do siebie żadnego zdania odrębnego, traktując je co najwyżej jako potwierdzenie tez reżysera. Nie da się ukryć bowiem, i nikt nawet nie ukrywa, że jest to przecież film zrobiony pod tezę. To może trochę utrudniać i jego odbiór, i uczciwą ocenę. Jednak warto spróbować, zwłaszcza że świat nie od dziś kocha filmy pokazujące jego własny koniec i wiele z nich staje się faktycznie pamiętanymi przez lata fenomenami bez wsparcia dyżurnych autorytetów.

Katastrofa, patos i zapijaczony weteran

„Nie patrz w górę" to opowieść, która czerpie z klasyki gatunku i całej popkultury bez wstydu i bez kompleksów. Twórcy (choć Adam McCay podpisany jest jako reżyser i scenarzysta, nie pracował nad filmem sam, nie był też jego pierwszym pomysłodawcą, o czym za chwilę) uznali najwyraźniej, że cel uświęca środki. Jaki to był cel, nietrudno zgadnąć, czytając branżowe i medialne recenzje. W „Nie patrz w górę" jesteśmy świadkami odkrycia przez doktorantkę Kate Dibiasky (Jennifer Lawrence) nieznanej wcześniej komety. Podczas świętowania tego wydarzenia jej naukowy opiekun, doktor Randall Mindy (Leonardo Di Caprio), odkrywa, że obiekt zderzy się z Ziemią i że stanie się to dość szybko. Próbują uderzać na alarm, jednak w zderzeniu ze światem mediów i polityki nie mają ani siły przebicia, ani szans. Media chcą wyłącznie zabawy, plotek o celebrytach i idącej za nimi oglądalności. Para, ostrzegająca przed prawdopodobną zagładą całej

eprasa.pl 14a99e893b

Tuż przed Bożym Narodzeniem swą premierę miał film „Nie patrz w górę" Adama McKaya, równocześnie wyświetlany w wybranych kinach i dostępny na Netfliksie. Ta specyficzna komedia, łącząca w sobie satyrę społeczną i kino katastroficzne, z miejsca okrzyknięta została objawieniem.

FOT. MAT. PRAS.

Ziemi, nie przystaje do tego obrazka. Gdy trafia do telewizyjnego show, prowadzący (Tyler Perry) interesuje się tylko tym, czy kometa może spaść na dom jego byłej. Jego partnerka (Kate Blanchett) myśli głównie o tym, by zaciągnąć Randalla do łóżka, zresztą widzowie również widzą w nim wyłącznie „seksownego astronoma", a nie głosiciela bardzo złej nowiny. Dibiasky, zbyt krzykliwa i zbyt zbuntowana, już kompletnie do tego obrazka nie pasuje. Nim jednak znajdą się przed kamerami, nawiązują kontakt z panią prezydent (Meryl Streep), która bardziej niż apokalipsa zdaje się przejmować nadchodzącymi wyborami uzupełniającymi, a na pewno – swoim wizerunkiem.

Wreszcie sytuacja staje się na tyle poważna, że nie można jej już lekceważyć. Wtedy, jak przystało na rasowy film katastroficzny, potrzeba patosu, narodowego uniesienia pod gwiaździstym sztandarem i z Bogiem na ustach. Ale jednak nie oglądamy rasowego filmu katastroficznego, więc bohater, wybrany, by zbawić ludzkość, to zapijaczony weteran (na co dzień psychopatycznie musztrujący dzieciaki pod pretekstem dbałości o ich rozwój fizyczny), częstujący świat mieszaniną fobii i uprzedzeń. Misja (tu zdradzam już prawie wszystko, jednak i tak tego wszystkiego już można się domyślić) zostaje przerwana, ponieważ złowrogi kapitalista, wizjoner i główny sponsor kampanii pani prezydent odkrywa, że na komecie może zrobić interes. Dla znajdujących się tam cennych substancji, które pozwolą mu wdrożyć w życie kolejną rewolucję w nowych technologiach, gotów jest zaryzykować los całej planety.

▶ „Poruszające ostrzeżenie"

Wizja świata polityki jest jednostronna niczym u Patryka Vegi. Dla mediów i popkultury McKay też nie ma litości i tu zbytnio się zapewne z prawdą – ani odczuciami większości odbiorców – nie rozmija. Równocześnie jednak z popkultury tej korzysta bez żadnych zahamowań, co widać już po gwiazdorskiej obsadzie, w której pojawiają się również Ariana Grande czy Timothée Chalamet. Jednak, jak już wspomniałem, cel uświęca przecież środki. Co więc jest tym celem? Lecąca w stronę Ziemi kometa symbolizować ma tak naprawdę globalne ocieplenie. Reszta – obojętność, głupota i chciwość – pozostaje bez zmian. I tu dochodzimy do największego problemu z odbiorem filmu. Mam wrażenie, że odbiorcy z kategorii, która wychowana została przez Czerską, Wiertniczą i ich odpowiedniki, działające w Stanach i na całym świecie, przyjęły „Nie patrz w górę" podobnie, jak reaguje się u nas na produkcje takie, jak „Jedwabne" czy ostatnie filmy Smarzowskiego. Oto bowiem z komedii, niewiele wystającej ponad przeciętność, lecz mającej przecież swoje dobre momenty, robi się wielkie wydarzenie, które ma nami wstrząsnąć. Nie oglądamy więc tylko karykatury świata, lecz „poruszające ostrzeżenie", „smutną prawdę o nas samych" i tak dalej, i temu podobne. Jeśli zaś chcemy zobaczyć tu tylko film i jak o kolejnym filmie produkcję przedyskutować czy skrytykować, stajemy się jednymi z tłumu antynaukowych, przygłupich fanatyków, wyborców amerykańskiej prezydent z filmu. Zapewne republikanki, choć ze zdjęciem Clintona na biurku.

▶ Światli wybrańcy i ciemne masy

To wszystko przestaje dziwić, gdy spojrzy się na przynajmniej dwie inne produkcje McKaya. Kilka

eprasa.pl 14a99e893b

lat temu nakręcił on sprawny, choć pełen trudnych branżowych szczegółów, film „Big Short" tłumaczący, na czym polegał kryzys finansowy, który wstrząsnął Ameryką i całym światem na początku naszego stulecia. Ta opowieść o ignorowaniu faktów w imię chciwości, zakończona upadkiem bańki mieszkaniowej, a zarazem wzbogaceniem się kilku nonkonformistów, którzy przewidzieli sytuację, również – w pewnym sensie – jest filmem katastroficznym. Widzimy zbliżający się kataklizm, dramaty zwykłych ludzi i ignorowanie powagi sytuacji, brak jedynie elementu poświęcenia. McKay oskarża tu współczesny kapitalizm i bezwolną wobec niego klasę polityczną czy instytucje kontrolne, nietrudno jednak przyznać mu rację.

Jednak jego lewicowe poglądy skutkują też takim filmem, jak „Vice", bardzo tendencyjną opowieścią o wiceprezydencie Stanów Zjednoczonych z epoki George'a W. Busha, Dicku Cheneyu, który ukazany jest jako cyniczny potwór i, *de facto*, zbrodniarz wojenny.

Historia całkiem przewrotna

Czy jednak znaczy to, że widz, który nie podziela zestawu poglądów twórców, niczego tu dla siebie nie znajdzie, a film jest bezwartościową politycznie poprawną agitką? Jednak nie, McKay jest zbyt dobrym twórcą, by rzecz do tego właśnie sprowadzić. Historia, w swej ponurej wymowie, staje się jednak całkiem przewrotna, zwłaszcza gdy dotrwamy już do zakończenia. Po drodze trafimy na kilka ciekawych scen, z których niektóre mogą być nawet potraktowane jako autoironia. Tak jak chwila nagłego wybuchu protestów, w których słuszny z punktu widzenia intrygi gniew z miejsca sprowadza się do ucieczki ze skrzynką kradzionego alkoholu. Lub wtedy, gdy widzimy wielki koncert na rzecz dostrzeżenia naukowej prawdy, lecz celebryci, którzy nagle włączają się w walkę o obronę planety, nie przestają być banalni i żenujący, tak jak banalna i żenująca jest ich piosenka na tę okoliczność. Klasyfikacji ideowej na swój

WIDZIMY ZBLIŻAJĄCY SIĘ KATAKLIZM, DRAMATY ZWYKŁYCH LUDZI I IGNOROWANIE POWAGI SYTUACJI, BRAK JEDYNIE ELEMENTU POŚWIĘCENIA.

Tak, przekładając rzecz na polskie realia, wyglądałby zapewne film o Antonim Macierewiczu, nakręcony przez Smarzowskiego według scenariusza Tomasza Piątka. Dołóżmy do tej układanki jeszcze jeden element. Pomysłodawcą „Nie patrz w górę" był David Sirota. Związany z Demokratami lewicowy publicysta mocno zaangażowany w walkę z globalnym ociepleniem, nie tak dawno piszący wyborcze przemówienia dla skrajnie lewicowego polityka tej partii i niedoszłego kandydata na prezydenta, Berniego Sandersa. Pech (a może szczęście?) sprawił, że produkcja i premiera filmu, w którym ocieplenie klimatu ukryto za obrazem wielkiej, zabójczej komety, trafił na czas pandemii i odczytywany jest on dziś bardziej jako obraz dyskusji, jaka wybuchła wokół szczepień. Przecież wizerunek ciemnej, konserwatywnej masy, która ignoruje nadciągający kataklizm, dla demokratycznej amerykańskiej lewicy jest uniwersalny. „Produkcja o klimacie najpopularniejszym filmem na największej platformie streamingowiej świata. To gigantyczne zwycięstwo. Jeśli nie potrafisz tego przyznać, to możemy założyć, że jesteś jednym z bohaterów tego filmu" – pisze Sirota na swoim Twitterze (tłum. Michał Michalak, interia.pl).

sposób wymyka się – uwaga, spoiler! – samo zakończenie (jedno z trzech, bo mamy jeszcze dwie sceny ukryte w trakcie napisów), gdy okazuje się, jak ważna jest rodzina i jak potrzebna jest w pewnych chwilach modlitwa.

„Nie patrz w górę" nie jest więc żadnym przełomem, dla wielu próbuje natomiast być pałką do bicia po głowie oponentów. We współczesnej kulturze to nic nowego. Jeśli jednak zignorować wzmożenie Siroty i pokrewnych mu recenzentów z kraju i ze świata, można się przy tym filmie całkiem dobrze bawić, z częścią obserwacji się zgodzić, a z innych tylko pośmiać. Zawsze bawi przecież, jak bardzo wykrzywiony wizerunek domniemanego wroga widzi druga strona, udając, że nie patrzy w lustro. Jeśli natomiast potraktować film McKaya jako kolejną pozycję na półce z kinem katastroficznym, możemy zarazem doszukać się podobieństw do „Armagedonu" czy „Dnia zagłady", jak i spojrzeć na próbę dialogu z tą mocno już wyeksploatowaną formułą. I w ten sposób skrócić sobie czas oczekiwania na jakiś faktyczny lub symboliczny tylko meteoryt, który w końcu kiedyś w to wszystko walnie. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Marek Kalinowski

Między breakdance a muzyką baroku

O polskim kontratenorze Jakubie Józefie Orlińskim znowu głośno. Dopiero co debiutował na scenie Metropolitan Opera w roli Orfeusza, a już teraz kolejna wielka rola w „Teodorze" Haendla w londyńskim Royal Opera House. Wśród najciekawszych premier płytowych 2021 roku nie sposób również nie wspomnieć o najnowszym, trzecim albumie artysty „Anima Aeterna", odkrywającym kolejne, nieznane wcześniej karty muzyki barokowej.

Jakub Józef Orliński jest fenomenem na polskiej scenie muzycznej. Młody kontratenor, choć reprezentuje wydawałoby się dość niszowy gatunek muzyki dawnej, to jednak przyciąga na swoje występy coraz więcej młodych ludzi. Popularność z pewnością zyskuje także dzięki projektom odważnie wychodzącym poza wykonania historyczne, w tym roku jego głos pojawił się na znakomitej płycie „Aida" Aleksandra Dębicza i Łukasza Kuropaczewskiego, a także w „Pieśniach Współczesnych" – czyli śląskich opowieściach Miuosha. Artysta ma również ogromną rzeszę fanów na mediach społecznościowych, gdzie obok nowinek muzycznych dzieli się także pasją do... breakdance'u.

Trzecia solowa płyta Jakuba Józefa Orlińskiego to obowiązkowa pozycja wśród ubiegłorocznych wydawnictw z muzyką klasyczną. „Anima Aeterna", czyli „wieczna dusza", stanowi niejako kontynuację debiutu „Anima Sacra" – albumu z utworami o tematyce religijnej. Orliński ponownie sięga po utwory czeskiego mistrza późnego baroku Jana Dismasa Zelenki. Ze względu na to, że repertuar Zelenki składał się głównie z dzieł religijnych, nazywany był „katolickim Bachem". Na płycie „Anima Aeterna" usłyszymy trzyczęściowy motet kompozytora „Barbara dira effera, ZWV 164" oraz „Laetatus sum ZWV 90" uwodzący niezwykłym duetem z egipską sopranistką Fatmą Said.

Po nim przychodzi czas na wyciszenie i przejmującą modlitwę w arii „Giusto Dio" portugalskiego kompozytora Francisca Antónia de Almeidy. Wzruszeń nie brakuje również w świetnym dialogu z chórem Il pomo d'oro w pięcioczęściowym motecie „Laudate pueri" włoskiego kompozytora Gennaro Manny.

Jakub Józef Orliński, ANIMA AETERNA, ERATO

Podobnie jak w poprzednich albumach Orlińskiego, tak i tutaj możemy liczyć na kilka nagrań premierowych. Jest to zasługą współpracownika artysty, Yannisa Françoisa – także muzyka, lecz przede wszystkim ogromnego pasjonata muzyki barokowej. To właśnie on, przeszukując archiwa bibliotek, odnalazł kolejne zapomniane partytury, które umieścił w nowym programie Orlińskiego, a ten w fantastycznym stylu przywraca je do życia. Na „Anima Aeterna" znalazły się dwie premiery fonograficzne: aria „Un giusto furore che m'arde nel core" Bartolomea Nucciego z linią melodyczną solowej trąbki oraz wspomniane wcześniej „Laudate pueri" Gennaro Manny.

W listopadzie Orliński zadebiutował na scenie nowojorskiej Metropolitan Opera. Wyzwanie niełatwe, bo tym razem przyszło mu się zmierzyć z dziełem współczesnym. „Eurydyka" to nowe spojrzenie na mit o Orfeuszu i Eurydyce, dzieło młodego kompozytora Matthew Aucoina, notabene rówieśnika Orlińskiego. Kontratenor gra tutaj drugie wcielenie Orfeusza, towarzysząc głównemu bohaterowi (w tej roli baryton Joshua Hopkins) przy przekroczeniu bram Hadesu. Premiera spotkała się ze znakomitym przyjęciem zarówno przez widzów, jak i prasę.

Teraz Orlińskiego czeka krótka przeprowadzka do Londynu i kolejna głośna rola w „Teodorze" w Royal Opera House. Premiera już 31 stycznia. ■

eprasa.pl 14a99e893b

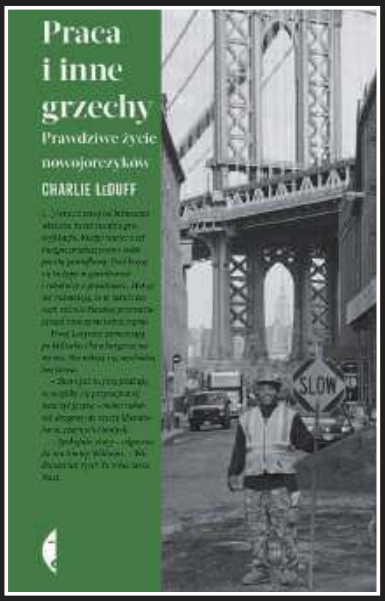

Charlie LeDuff „Praca i inne grzechy. Prawdziwe życie nowojorczyków", Czarne, Wołowiec 2021

Krzysztof Wołodźko

AMERYKA CIĘŻKIEJ PRACY. REPORTAŻ, KTÓRY BOLI

Stany Zjednoczone jako kraina mlekiem i miodem płynąca to jedna z najważniejszych polskich opowieści wielu dekad. Nie tylko Podhale patrzyło na USA jak na państwo, gdzie pracowitością da się zmienić biedę w dostatek. Kraj oszałamiających karier od pucybuta do milionera i dostatku dostępnego dla ciężko pracujących, zwykłych ludzi; kraj, którego demokratyczne wolności współgrają ze swobodą niemal nieograniczonej wędrówki. Nie sposób wyobrazić sobie polskich marzeń (nie tylko w czasach realnego socjalizmu) bez opowieści o obfitości, dobrobycie i wolności amerykańskiego sposobu życia.

eprasa.pl 14a99e893b

Charlie LeDuff, amerykański pisarz i reporter, przez lata związany z „The New York Times" i „The Detroit News", postawił sobie przed laty wymagające zadanie: stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zwykłym Amerykanom coraz trudniej zapewnić sobie dostatnie życie. Zdeklarowany libertarianin z ogromną empatią opisuje amerykański świat ludzi pracy, ostro przy tym atakując lewicowo-liberalny establishment, przez dekady nadający ton mainstreamowemu amerykańskiemu dziennikarstwu. Jego najgłośniejsza książka, czyli „Detroit. Sekcja zwłok Ameryki", przyniosła mu Nagrodę Pulitzera. Z kolei reportaż „Shitshow! Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje" był bezkompromisowym opisem medialno-politycznych mechanizmów rządzących Stanami i obrazoburczą dla wszystkich stron konfliktu analizą przyczyn, dla których w 2016 roku Amerykanie wybrali Donalda Trumpa na swojego prezydenta.

Dziennikarz, stolarz i rybak

Warto przypomnieć, że LeDuff jest reprezentantem tego nurtu dziennikarstwa, które garściami czerpie z własnych doświadczeń życia wśród niższych warstw społecznych, nisko opłacanych robotników i robotnic, ludzi mnóstwa prostych i ciężkich zawodów, którzy od podstaw budowali amerykański styl życia. LeDuff jest daleki od socjalizmu, jego empatia do ciężko pracujących ubogich Amerykanów, często białych ludzi, ma inne przyczyny: przez lata pracował jako pomocnik w fabryce konserw, stolarz i rybak na statku do dalekomorskich połowów. To także dziennikarstwo i pisarstwo w drodze, zanurzone w świecie pełnym trudów i wyrzeczeń, bliskie tradycjom Jacka Londona i George'a Orwella. Jak pisał LeDuff w „Detroit": zawód reportera „jawił mi się jako jedyna – poza domokrążnym sprzedawaniem Biblii – praca, w której płacą ci za to, byś podróżował".

Jeszcze mocniej ujął to gdzie indziej: „W pracy reportera fajne jest to, że możesz pokazać grabarzowi legitymację prasową i zapytać go: »Mogę popatrzeć?«, a on ci pozwala. Pozwala ci wziąć łopatę do ręki i spróbować własnych sił, dopóki na dłoniach nie wyskoczą ci pęcherze i nie zacznie strzykać w krzyżu. Oddajesz mu łopatę, patrzysz jeszcze chwilę, jak pracuje, i dopiero wtedy przychodzi ci do głowy, by spytać: »A nie bolą cię ręce i plecy?«. Zazwyczaj ludzie starają się odmalować własne życie w barwach jaśniejszych niż prawdziwe. Ale po pewnym czasie dają sobie z tym spokój i im dłużej się przy nich kręcisz, tym bardziej zapominają, że tam jesteś, a wtedy docierasz do sedna". LeDuff mógł pójść zupełnie inną drogą: są w Stanach „piękniejsi ludzie" do opisywania, są sprawy, które klikają się znacznie lepiej niż opowieści o pracujących ubogich. On jednak uznał, że bez nich nie da się pokazać prawdziwej Ameryki.

W 2020 roku ukazała się u nas kolejna książka amerykańskiego autora: „Praca i inne grzechy. Prawdziwe życie nowojorczyków". Zanim jednak skupimy się na niej, warto poświęcić kilka zdań „Detroit", czyli najlepszej i najczęściej nagradzanej książce LeDuffa. Pozwala ona zrozumieć fenomen reportera, który rzucił wyzwanie liberalnej narracji własnego środowiska. I odniósł przy tym znaczny sukces. Detroit przez dekady było symbolem sukcesu amerykańskiego przemysłu. Ford, Chrysler i General Motors były znakami jego potęgi i spełnieniem snu o dobrobycie dla zwykłych ludzi. Tak liczna amerykańska klasa średnia nie wzięła się znikąd: dzięki stabilnej pracy i dobrym zarobkom zasiliła ją niemała część robotników, którzy mogli pozwolić sobie nie tylko na rosnącą konsumpcję we wszelkich dziedzinach życia, lecz także zabezpieczanie przyszłości swoich dzieci.

Ameryka jak Pas Rdzy

Ale gdy kolejne kryzysy zaczęły podkopywać branżę motoryzacyjną i dobrobyt zwykłych pracowników, amerykańska elita ostrze krytyki skierowała przeciw białym i kolorowym robotnikom. To oni zapłacili największą materialną i wizerunkową cenę za kolejne kryzysy i przeobrażenia na globalnym rynku. Detroit stało się symbolem negatywnych zmian, które przez dekady przeorały nie tylko Pas Rdzy: „W miastach i miasteczkach naszego kraju na aukcjach sprzedaje się całe fabryki. Faceci w ciężarówkach wywożą maszyny ślusarskie, aluminiowy siding, dźwigi i wodotryski z wodą pitną. Na naszych oczach żywcem wyrywa się mechaniczne serce kraju".

LeDuff czuł złość na dziennikarzy z liberalnych gazet i amerykańskich metropolii, którzy zaglądali na moment do miast takich jak Detroit i w krzywym zwierciadle, szyderczo opisywali sfrustrowanych i wściekłych, pozbawionych nagle pracy Amerykanów. On miał zupełnie inny pomysł: pokazać marzenia, aspiracje, próby utrzymania się na powierzchni przez zwykłych ludzi, którzy boleśnie odczuli skutki

eprasa.pl 14a99e893b

gwałtownego, masowego zubożenia. Zachowując proporcje, można zaryzykować tezę, że takich ludzi jak LeDuff zabrakło w Polsce na początku lat 90.: reportażysta z Detroit bez ideologicznego zacietrzewienia stanął po stronie „niebieskich kołnierzyków", choć o wiele bardziej opłacałaby mu się komitywa z wielkim biznesem z Wall Street i magnatami liberalnych nowojorskich mediów.

„Praca i inne grzechy" to cholernie ironiczny tytuł. Kto kocha mit szalonego, wiecznie imprezującego Nowego Jorku, miasta luksusów dla bogaczy, ten rozczaruje się tą książką. LeDuff jest kąśliwy: „Różni znajomi gogusie mówią, że piszę o spelunach i przegrywach, ale nie mają racji. Piszę o ludziach, którzy mieszkają na kiepskich osiedlach, w ciasnych klitkach i ponurych domach. Tacy ludzie sami sobie odgarniają śnieg łopatą i mają grube ciotki, które noszą elastyczne spodnie z plamą na dupie. To nie jest książka o ludziach, którzy mają portierów, ale o portierach. [...] Kiedy na jakimś koktajl party towarzystwo oznajmia mi, że uwielbia czytać o tej bandzie nieudaczników, nie mam im tego za złe. Uśmiecham się tylko i wypijam im wódę. Oni nie mają pojęcia o pracy".

▶ Gorycz, duma, harówka

Reportaże o prawdziwym życiu nowojorczyków mają dziś już wartość historyczną – pochodzą z przełomu wieków. U LeDuffa zawsze znajdziecie opowieści o amerykańskich strażakach; gorzkie, pełne dumy i zachwytu nad etosem ich pracy. Tuż po 11 września 2001 roku napisał choćby „kilka tekstów o Jednostce numer 1, oddziale strażackim z Brooklynu, w którym zginęła połowa ludzi". To ważna rzecz: jego opowieści o amerykańskiej pracy nie są wcale opowieściami o „przegrywach", a przynajmniej on sam nigdy nie traktuje tak swoich bohaterów i bohaterek, nawet jeśli im się nie wiedzie. Kto sięgnie po jego książki, szybko zrozumie, w czym rzecz: on opisuje ich świat bez pogardy, bez protekcjonalizmu, bez moralizatorstwa. To nigdy nie jest świat dopasowany do ideologicznych potrzeb lewicowo-liberalnego nurtu. Przeciwnie: LeDuff uważa, że amerykańscy pracownicy, w tym ludzie, którzy tak jak strażacy wykonują służebne zawody, reprezentują sobą ciężką, twardą pracę. System gospodarczy USA ewoluuje jednak w taką stronę, że coraz rzadziej daje im się szansę, by z ciężkiej pracy godnie żyć. „Niebieskie kołnierzyki", powiada autor, w jeszcze większym stopniu niż wyższa klasa średnia, zostały zdradzone przez Wall Street.

Poczet amerykańskich robotników przedstawiony przez LeDuffa obfituje w najróżniejsze postaci. Robert E. Mitchel to emerytowany portier przy 801 West End Avenue, który przepracował tam kilkadziesiąt lat. Jest dyskretny, troskliwy i dumny ze swojej pracy. Tony Razzano, facet przed pięćdziesiątką, to sprzedawca używanych samochodów na Złotym Wybrzeżu Long Island. Sprzedaje drogie, używane auta ludziom, którzy chcieliby się załapać na spełnione amerykańskie marzenie, ale tak naprawdę ich na to nie stać. Sześćdziesięcioletnia Mary Tryfiris prowadzi rodzinną kwiaciarnię w Bronxville w Nowym Jorku. Dzień Matki to dla niej najszczęśliwszy i najpaskudniejszy zarazem dzień w roku: daje ogromny zarobek, który pomaga przejść właściwie cały rok. A równocześnie: „W takie dni jest tyle pracy, że czasami ma się ochotę płakać. [...] To ciężkie święto. Człowiek jest całkiem wyczerpany fizycznie. [...] Jak pracujesz w Dzień Matki, to nie za bardzo masz jak go świętować". Sammy Acevedo, grabarz na cmentarzu Mount Hebron we Flushing w Queens, przyznaje ze smutkiem: „Najgorzej jest z maluszkami. Trzeba wejść do dołu razem z trumną, a ona taka malutka. Normalnie jakbyś widział własne dziecko. Wtedy wracam do domu i przytulam dzieciaki". Maurice De Witt w czas Bożego Narodzenia pracuje dla Czerwonego Krzyża jako „uliczny mikołaj" na Piątej Alei w Rockefeller Center. Zbiera datki, słucha życzeń dzieci i dorosłych: synek strażaka chce, „żeby tata był szczęśliwy". Inny dzieciak prosi, „żeby jego rodzice się nie rozwiedli". Podchodzą do niego najbardziej nieszczęśliwi: „mężczyzna na wózku inwalidzkim chciałby dostać nowe nogi. Kłąb szmat prosi o nowe buty".

▶ Miłość do zranionego kraju

Wśród bohaterów Charliego LeDuffa są ludzie pracujący dorywczo i tacy, którzy prowadzą mikrobiznesy. Są wśród nich Amerykanie o solidnych, lecz odchodzących już w przeszłość zawodach, i tacy, dla których roboty nigdy nie zabraknie, bo zawsze będzie trzeba sprzątać domy nowojorskich bogaczy. Reportażysta mówi swoim czytelnikom: spójrzcie, to są ludzie jak wy, tak samo kochają swój kraj, mają swoje marzenia i w trakcie fajrantu zdarza im się płakać ze wzruszenia, gniewu i smutku. Dlatego jeden z piękniejszych tekstów w tej książce to „Gdzie jest King Kong, kiedy przepa-

eprasa.pl 14a99e893b

la się żarówka?". Tom Silliman, Deke Johnson i Keithie Unfried to faceci, którzy wspinają się na stalową iglicę Empire State Building, ilekroć zgaśnie reflektor. Iglica zaczyna się ponad sto piątym piętrem. Do szczytu jest jeszcze ponad 60 metrów: „Zaledwie trzydzieści i pół metra wspinaczki odbywa się po osłoniętych drabinach i platformach zbudowanych z amerykańskiej stali; iglica robi się coraz węższa aż do gniazda, znajdującego się mniej więcej dwadzieścia sześć i pół metra od reflektora. Gniazdo mierzy niewiele ponad metr średnicy i nie ma poręczy, a upadek stąd to pewna śmierć".

Na szczycie prędkość wiatru sięga 50 km/h, temperatura spada do minus 20 stopni Celsjusza, przez anteny płynie prąd o mocy 17 mln watów; prace konserwatorskie wymagają wyłączenia przekaźników kilku stacji telewizyjnych i kilkunastu radiowych. I nagle dynamiczna opowieść o niebezpiecznej, ciężkiej pracy zamienia się w refleksyjną historię Amerykanina, który kocha swój kraj. Po skończonej pracy Tom Silliman odpoczywa wysoko nad ziemią i ze szczytu Empire State Building spogląda na Statuę Wolności i „na południe w kierunku strefy Ground Zero". Marzy, żeby Nowy Jork i Stany były takie jak przed upadkiem dwóch wież World Trade Center. Choć na co dzień mieszka w prowincjonalnym miasteczku Chandler w południowo-zachodniej części stanu Indiana, to znał dobrze bliźniacze wieże, bo i na nich pracował: „Czuję się naprawdę zaszczycony, że mogę tu przyjść i to zobaczyć. Tak mi przykro z powodu tych wszystkich ludzi, którzy zginęli. To tak, jakby całe moje miasteczko zostało zmiecione z powierzchni ziemi. Wszyscy mieszkańcy, co do jednego".

▶ Mohikanie i Południowcy

Lubię taką Amerykę, jaką pokazuje LeDuff. Jest zadziorna i refleksyjna, tragiczna i komiczna, jaskrawa w swoich kontrastach, fascynująca historiami ludzi, których rodzinne korzenie sięgają całego świata. Autor „Pracy..." równie dobrze jak ludzkie typy opisuje całe społeczności, narody i nacje. Opowiada o Mohikanach, którzy gromadnie przyjeżdżają z Kanady do Stanów i pracują jako zbrojarze. To praca z pokolenia na pokolenie: ta historia zaczęła się pod koniec XIX wieku, gdy w zamian za zgodę na przeprowadzenie linii kolejowej przez indiańskie terytorium firma zatrudniła Indian przy budowie mostu kolejowego Canadian Pacific nad Drogą Wodną Świętego Wawrzyńca. Praca na wysokościach, praca wśród stali i betonu stała się ich nową naturą, okolice Nowego Jorku to ich nowe tereny łowieckie: „[Obecnie] ponad tysiąc mężczyzn z Kahnawake to zbrojarze, obecni albo emerytowani. Stało się to częścią mohikańskiej tradycji, tak samo jak długi dom na Brooklynie. [...] Wynajmują pokoje w hostelach, tłoczą się we wspólnych mieszkaniach albo nocują w nędznych motelikach".

Gdy wracają do rezerwatu, dają dzieciom zabawki, żonom – ciężko zarobione dolary. W knajpie, w której ostro się z nich zdziera, piją piwo i wspominają tragicznie zmarłych w pracy krewnych, przyjaciół, kumpli. Powtarzają synom, że mają się dobrze uczyć: „ale starsi chłopcy ich nie posłuchają. To nie ma sensu. Oni wiedzą, dokąd zmierzają: wysoko, tam, gdzie stal". Gdy kończy się weekend, dzieci zaczynają płakać, bo nadchodzi czas rozstania: „O północy w niedzielę w całej wiosce rozbłysły światła reflektorów, przyjechały samochody i zaczęły wyć psy. Pan Philips pocałował swoją żonę Wendy na pożegnanie – zbrojenia zabierały jej męża i najpewniej kiedyś zabiorą syna. Jechali całą noc i dotarli na miejsce tuż przed rozpoczęciem zmiany. Byli niewyspani, znużeni i stęsknieni za domem".

Wiele z tych opowieści chwyta za serce. Ale mnóstwo budzi gniew – tak jak dołączony przez LeDuffa do tej książki nienowojorski reportaż z Lumberton w Karolinie Północnej. „Rzeźnia" to historia wyzysku po amerykańsku, w którym interesy wielkiego biznesu łączą się z kwestiami ekonomicznymi, rasowymi i klasowymi. W 1999 roku reportażysta zatrudnił się w przetwórni wieprzowiny Smithfield Packing Company przy uboju wieprzy: „pobudka kwadrans przed czwartą rano, powrót do domu o szóstej po południu". To, co opisał, rozwścieczyło przedstawicieli rzeźni – fabryki. Zarzucono mu, że przyjechał „rozpętać nagonkę na Południe". LeDuff odpowiedział: „mieszkałem wśród robotników z Południa. Pracowałem z nimi. Jadłem z nimi. Modliłem się z nimi. Są moimi przyjaciółmi i podziękowali mi za to, że zainteresowałem się ich życiem. [...] Firma powinna im lepiej płacić".

To nie zwykli Amerykanie są leniwi i roszczeniowi. I podobnie: to nie zwykli Polacy są leniwi i roszczeniowi. To ludziom, którzy ich oskarżają i ośmieszają, trzeba powtarzać wciąż na nowo za LeDuffem: zacznijcie lepiej płacić, to odzyskacie klasę średnią. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Piotr Grochmalski

Polska na pierwszej linii wojny energetycznej z Rosją

eprasa.pl 14a99e893b

Orlen połączył swe siły z Saudi Aramco, gigantem energetycznym, światowym liderem wydobycia węglowodorów. Decyzja ta ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa całego regionu Europy Środkowej i wzmocni państwa Trójmorza. Sojusz ten daje też dodatkowe, potężne wzmocnienie naszego bezpieczeństwa w chwili, gdy Kreml gotuje się do wojny przeciwko Ukrainie i prowadzi, rękoma Łukaszenki, wojnę hybrydową na wschodniej flance NATO.

FOT. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

eprasa.pl 14a99e893b

Rosja dąży do destabilizacji nie tylko Polski i państw wschodniej flanki NATO, lecz także całej Unii Europejskiej. Jej ultimatum przekazane USA, w którym domaga się faktycznie wycofania Sojuszu z pozycji z 1997 roku, a więc zwinięcia całej jego infrastruktury i wycofania wojsk z Polski, Rumunii, Węgier, Czech, Słowacji, Litwy, Łotwy, Estonii, jest otwartą prowokacją. Spełnienie tych warunków oznacza samounicestwienie NATO. Rosja swoją agresywną politykę wspiera szantażem energetycznym. To w tle tego największego od rozpadu Związku Sowieckiego zagrożenia wybuchem realnej wojny, wywołanej przez FR, Polska podjęła działania, które mogą zmienić całą logikę geopolityki w regionie. Orlen połączył swe siły z Saudi Aramco (Saudi Arabian Oil Company), gigantem energetycznym, światowym liderem wydobycia węglowodorów, i z regionalnym partnerem, węgierskim MOL.

Największe, strategiczne porażki Putina

Szczególnie ta pierwsza decyzja ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa całego regionu Europy Środkowej i wzmocni państwa Trójmorza. Według Bloomberga, „umowa Saudi Aramco na dostawę prawie połowy ropy do Polski zapewni spółce silniejszą pozycję w regionie od dawna zdominowanym przez rosyjskich producentów". Ta amerykańska agencja, globalny potentat na rynku informacji dotyczących rynków finansowych, uważa, iż te decyzje PKN Orlen zredukują rosyjskie wpływy na rynku paliw. W momencie, gdy Rosja przeprowadza kolejne prowokacje militarne przy granicy z Ukrainą, szantażuje Europę i próbuje narzucić swoją dominację energetyczną, polska korporacja buduje strategiczny sojusz z największym konkurentem rosyjskich korporacji naftowo-gazowych. Analityk rosyjskiego portalu Neftgaz.ru, E. Swincowa, nie ukrywa, że „ekspansja Saudi Aramco na Europę Wschodnią, która w przeszłości była tradycyjnym rynkiem zbytu dla rosyjskiej ropy, może stanowić zagrożenie dla rosyjskich dostawców, z których największym jest Rosnieft. Teraz Arabia Saudyjska i Rosja są partnerami w porozumieniu OPEC+, ograniczającym produkcję ropy. Można się jednak spodziewać, że umowa [...] wywoła konkurencję między producentami".

Putin doskonale pamięta dwie przegrane wojny cenowe z Arabią Saudyjską w 2014 i w 2020 roku. Dwa lata po tej pierwszej, w 2016 roku, PKN Orlen podpisał z Aramco pierwszą we wzajemnych relacjach długoterminową umowę bezpośrednią na dostawy. W wyniku tej drugiej, mimo jej zakończenia, saudyjska ropa, znacznie tańsza, a przy tym jakościowo lepsza od rosyjskiej, zaczęła stopniowo wypierać z Włoch, Grecji i Turcji rosyjskie dostawy. Także Polska wykorzystała wówczas szansę i zaczęła inwestować w biznesowe relacje z Saudi Aramco. Te dwie gigantyczne wojny cenowe Rosji z Arabią Saudyjską, które z napięciem śledził cały świat, są największymi, strategicznymi porażkami Putina. Przegrał w sposób upokarzający. Sojusz PKN Orlen z Saudi Aramco daje dodatkowe, potężne wzmocnienie naszego bezpieczeństwa w chwili, gdy Kreml gotuje się do wojny przeciwko Ukrainie i prowadzi, rękoma Łukaszenki, wojnę hybrydową na wschodniej flance NATO.

Sowiecka katastrofa z Aramco w tle

Naftowa wojna Putina z Arabią Saudyjską ma dłuższą historię. Na Kremlu pamiętają, że Saudi Aramco odegrało istotną rolę w dobicu konającej gospodarki sowieckiego imperium. W ramach amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego (NSC) opracowana została seria działań, które miały osłabić potencjał energetyczny „imperium zła". Roger Robinson jest jednym z głównych autorów tego projektu, zaakceptowanego przez prezydenta Ronalda Reagana, który miał z jednej strony zmniejszyć uzależnienie Europy od rosyjskiej ropy, a równocześnie wpłynąć na radykalne zmniejszenie z tego powodu dochodów sowieckiego imperium. Robinson stwierdza, iż: „Istniało [...] tajne porozumienie z Saudyjczykami [...] w celu obniżenia cen ropy do 10 USD za baryłkę". Nie ma wątpliwości, iż gwałtowny, długotrwały spadek dochodów Związku Sowieckiego z ropy był przysłowiowym gwoździem do bolszewickiej trumny. Generał Robert Spalding, analizując ówczesną grę strategiczną Reagana, podkreśla znaczenie działań saudyjskich. Ale były one wsparte skuteczną amerykańską operacją sabotażu transsyberyjskiego rurociągu naftowego, którego uruchomienie spowodowałoby, według szacunków Robinsona, uzależnienie w 70 proc. Europy od rosyjskich dostaw.

W wyniku złożonej gry wywiadowczej Amerykanie ułatwili rosyjskim służbom nabycie na Zachodzie systemów sterowania do transsyberyjskiego rurociągu. Urządzenia posiadały jednak ukryte złośliwe oprogramowanie komputerowe. Jak opisywał w swojej książce „At the Abyss" Thomas C. Reed, były doradca Reagana, aktywacja owego trojana wywołała „najbardziej monstrualną niejądrową eksplozję i pożar, jakie kie-

eprasa.pl 14a99e893b

dykolwiek widziano z kosmosu". Wydarzenie to nałożyło się na działania Aramco, które spowodowały silne osłabienie ceny baryłki ropy na rynkach światowych. Trudno nie dostrzegać pewnych historycznych podobieństw. Wówczas rosyjski projekt transsyberyjskiego rurociągu wspierał Berlin, którego obecny sojusz gazowy z Moskwą doprowadził do największej w historii UE katastrofy energetycznej. W tej bezwzględnej, brutalnej grze, której efektem miała być nowa geopolityczna i gospodarcza mapa Europy, Polska i inne kraje Trójmorza walczą o zachowanie podmiotowego istnienia.

Putin od dwóch dekad przygotowywał Rosję do energetycznego starcia. Jak zauważają Igor Chalupiec i Cezary Filipowicz w książce „Rosja, ropa, polityka": „W 2003 r. została opublikowana strategia energetyczna Rosji do 2020 roku [...]. W dokumencie stwierdzono bez ogródek, że surowce energetyczne są instrumentem polityki zagranicznej Rosji, a jedne z narzędzi jej uprawiania to ropociągi i gazociągi. Poniewczasie Rosjanie zreflektowali się i te passusy zostały w 2005 roku ze strategii usunięte". Dokładnie w tym samym roku została w praktyce sfinalizowana nowa geostrategiczna oś miedzy Berlinem i Moskwą. Na dziesięć dni przed wyborami w Niemczech, 8 września Putin przybywa do Berlina i podpisuje porozumienie o rządowej współpracy w sprawie Nord Stream. Wydarzenie to miało się odbyć w październiku, ale – pod presją gospodarza Kremla – zdecydowano się je przyspieszyć. Po porażce w wyborach i zaledwie na dziesięć dni przed wycofaniem się z polityki Gerhard Schröder zapewnia, jeszcze jako funkcjonujący kanclerz Niemiec, gwarancję kredytową w wysokości 7,5 miliarda euro dla Nord Stream". Za tę przysługę został potem sowiecie nagrodzony przez Putina. Ta zdrada interesów energetycznych UE i Polski jako sojusznika Niemiec, otworzyła drogę do imperialnych planów Kremla i późniejszej agresji na Ukrainę. Siedemnaście lat po tej zdradzie niemieckiego kanclerza w zamian za korupcyjną ofertę od Moskwy, Siergiej Ławrow, szef rosyjskiej dyplomacji, publicznie ogłosił, że po zniknięciu Układu Warszawskiego i po rozpadzie Związku Sowieckiego państwa te, okupowane przez sowiecką Rosję, w tym Polska, stały się „bezpańskie".

▶ Energetyczna broń Rosji jako narzędzie geologiczne

Ropa i gaz miały stać się nowym instrumentem podboju i agresji. Gdy zbliżał się koniec sowieckiego imperium, narodziła się koncepcja, którą nazwano doktryną Falina–Kwicińskiego. Walentin Fallin kierował wydziałem zagranicznym KC KPZS , a Julij Kwiciński był wówczas ambasadorem sowieckim w FRN. Jak pisał Piotr Naimski, „Projekt polegał na tym, by sowieckie czołgi zastąpić rurociągami i przy pomocy uzależnienia od dostaw ropy i gazu utrzymać wpływy Moskwy w Polsce, Czechosłowacji i pozostałych krajach byłego »bloku komunistycznego«. Zasadniczym instrumentem realizacji tego celu miał się stać Gazprom. Operację tę przeprowadził Wiktor Czernomyrdin, ostatni minister przemysłu naftowego Związku Sowieckiego. Po upadku ZSRS ropa i gaz stały się kluczowymi narzędziami odbudowywania dawnej, sowieckiej strefy wpływów. Ale Polska chciała się wyrwać z energetycznej zależności wobec Moskwy.

Wiosną 1992 roku pojawiła się koncepcja gazociągu łączącego Polskę, przez Danię, z brytyjskim złożem „Britannia" na Morzu Północnym. Wówczas nagle zjawili się w Warszawie Rosjanie z propozycją strategicznego gazociągu jamalskiego ze Wschodu na Zachód przez Polskę. Na ostatnim posiedzeniu rządu Hanny Suchockiej, we wrześniu 1993 roku, w ekspresowym tempie klepnięto ten projekt. Piotr Naimski tak pisał o tym wydarzeniu: „Czyżby sprawcy obawiali się, że następny rząd mógłby być bardziej polski? Pod dokumentem widnieje podpis wicepremiera Henryka Goryszewskiego. Rosjanie odnieśli wielkie zwycięstwo, na wiele lat uzależnili Polskę od swoich dostaw. Czy powinno nas to oburzać? Ze wszech miar – tak! Polscy politycy, mający usta pełne frazesów o wolności i niepodległości, podjęli decyzję, za którą Polska do dzisiaj płaci uzależnieniem od swego swojego wschodniego sąsiada".

Putin uczynił z doktryny Falina–Kwicińskiego element strategiczny swojej polityki. Wydawało się, że uzależnienie RP niemal w stu procentach od rosyjskiej ropy i oddanie do użytku gazociągu jamalskiego w 2001 roku przesądziło na dziesięciolecia o strategicznym uzależnieniu energetycznym Polski od Rosji. Po dramatycznej walce z czasem udało się też wówczas zawrzeć umowy z Norwegami i Duńczykami na dostawy gazu. Wystarczyło je tylko przesłać, ale nastąpiła wówczas zmiana rządów, a ekipa Leszka Millera zerwała projekt. Jak stwierdził Piotr Naimski: „Miller jest szkodnikiem. Nie wiem, czy jest agentem. Wiem, że zrealizował interes rosyjski. Zrobił coś, co godzi w fundamenty Polski".

Trzecia próba zerwania się z surowcowego łańcucha Rosji nastąpiła w 2005 roku. Projekt miał wspar-

eprasa.pl 14a99e893b

cie rządu i prezydenta. Naimski podkreśla: „Sytuacja rynkowa i polityczna zmieniła się jednak i nie mogło już być mowy o gazociągu biegnącym bezpośrednio z Norwegii do Polski. Tym razem system norweskich gazociągów miał zostać połączony z duńskim, a duński z polskim poprzez Baltic Pipe. Po stronie polskiej budowa gazociągu między Polską a Danią została zablokowana przez rząd Platformy Obywatelskiej". Tuż przed wyborami prezydenckimi w 2015 roku Naimski pisał: „Ta historia jest »krwawa«. Historia trwających już blisko dwadzieścia pięć lat prób uniezależnienia się Polski od rosyjskiego monopolu dostaw surowców energetycznych to polityczny, gospodarczy i ludzki thriller. [...] Jest oburzające, że [...] Polska nie może doczekać się zapewnienia podstawowych warunków bezpieczeństwa energetycznego. [...] Pozbawienie kraju suwerenności w dostawach energii będzie skutkowało trwałym niedorozwojem gospodarczym i w konsekwencji – »wygaszaniem« naszej niepodległości". Nowy rząd Zjednoczonej Prawicy przebił rosyjski mur wpływów w Polsce. Gazociąg Baltic Pipe ma być ukończony przed końcem 2022 roku.

Strategiczny przyczółek

Przełamane zostanie też głębokie uzależnienie Polski od rosyjskiej ropy. Saudi Aramco będzie dostarczało Polsce ponad połowę zapotrzebowania na ten surowiec. Paradoksalnie to UE ma swój wkład w dokonanie przez PKN Orlen wielkiego zwrotu strategicznego, którego skutki już wywołują efekt w całym regionie. Umowa z Saudi Aramco i z węgierskim MOL jest bowiem konsekwencją ograniczeń, jakie narzuciła Komisja Europejska, gdy w lipcu 2020 roku Orlen wystąpił do niej o zgodę na połączenie flagowego polskiego koncernu z Lotosem. Rok później KE zgodziła się na fuzję obu firm, ale po spełnieniu listy warunków, w tym sprzedaży 30 proc. udziałów w rafinerii Lotosu, 80 proc. sieci stacji paliw koncernu, a także oddanie dziewięciu składów paliw i dwóch wytwórni mas bitumicznych. Miało to znacząco osłabić efekt integracji firm i siłę powstającego nowego, regionalnego giganta. Stało się odwrotnie. Narzucone ograniczenia zostały wykorzystane do stworzenia sytuacji, która spowoduje radykalną przebudowę rynku energetycznego w całym Trójmorzu, co już wywołało frustracje w Moskwie.

Europa była od dziesięciolecia rosyjskim terytorium, jeśli chodzi o dostawy ropy. Jak zwracają uwagę Salih Yilmaz i Rob Barnett, analitycy Bloomberga, w ostatnim roku przed wybuchem pandemii COVID-19, a więc w 2019, Europa zużywała niemal 15 mln baryłek ropy dziennie. Roczny import wyniósł 3,8 mld baryłek, z czego z Rosji pochodziło 1,13 mld baryłek surowej ropy i 0,8 mld baryłek produktów naftowych, a więc większość dostaw pochodziła z Rosji. W przypadku Aramco sprzedaż na rynek europejski stanowił znikomą część ich dziennego eksportu. Teraz do Polski arabski koncern będzie sprzedawał do 337 tys. baryłek ropy dziennie. A jest to tylko przyczółek, bowiem Orlen z pewnością wykorzystywać będzie też saudyjską ropę w swoich rafineriach na Liwie i w Czechach. Dlatego rosyjski „Kommersant" alarmuje, że „ekspansja Saudi Aramco w Europie Wschodniej niesie ze sobą duże ryzyko dla rosyjskich dostawców, w szczególności dla Rosnieftu". Niepokoi Moskwę skala wspólnych, energetycznych projektów Warszawy i Rijadu. Aramco podpisało bowiem memorandum z Orlenem i SABIC (Saudi Basic Industries Corporation), innym arabskim gigantem petrochemicznym, dotyczące innych przedsięwzięć w krajach Trójmorza. Jak podkreślił Daniel Obajtek, prezes Zarządu Orlenu: „Takie międzynarodowe partnerstwa są niezbędne do budowy największej grupy multienergetycznej w tej części Europy". Podkreślając, iż „Saudi Aramco będzie partnerem strategicznym", dodał, że firma „nie podąża za trendami rynkowymi, ona je wyznacza". Polski flagowy gigant uzyskuje też dostąp do najnowocześniejszych technologii na rynku energetycznym. Mohammed Al Qahtani, starszy wiceprezes Aramco, podpisując umowę, powiedział, że „umożliwi (ona) rozwój przemysłu petrochemicznego w Polsce i w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej"

Globalna gra

Gdy 6 stycznia 2016 roku Mohammed bin Salman, następca tronu Arabii Saudyjskiej, a także przewodniczący Rady Gospodarki i Rozwoju oraz minister obrony tego kraju, wspomniał w wywiadzie dla „The Economist", że rozważa możliwość sprzedaży części Aramco prywatnym inwestorom, a więc wypuszczenia akcji firmy na giełdzie, wywołało to prawdziwe globalne, finansowe trzęsienie ziemi. Powstała w 1933 roku firma, codziennie dostarczająca światu ponad 10 proc. dostaw ropy naftowej i kontrolująca dużą sieć rafinerii i zakładów petrochemicznych, zdecydowała się na giełdowy debiut. Analitycy Bloomberga, Kevin Baxter i Lato Said, zwracali wówczas uwagę, iż według niektórych szacunków, firma może być wyceniona na ponad 10 bilionów dolarów. Korporacja ExxonMobil Corp., największa wówczas, niekontrolowana przez państwo, firma naftowa, mała wartość rynkową 317 mld dolarów. Globalnej roli Aramco doświadczył cały świat

eprasa.pl 14a99e893b

14 września 2019 roku, gdy dwie jego rafinerie zostały zaatakowane przez drony, powodując wówczas największy skok cen ropy od prawie 30 lat. Ataki zmusiły też Arabię Saudyjską do ograniczenia o prawie połowę dostaw ropy. Wydawało się, że przekreśli to start z ofertą publiczną koncernu. A jednak Saudowie w rekordowym tempie odbudowali uszkodzone elementy rafinerii. Ostatecznie Aramco wystawiła w grudniu 2019 roku na giełdzie w Rijadzie 1,5 proc. swojej wartości, zamykając się na wycenie w swoim debiucie na poziomie 2 bilionów dolarów.

Potęga tej korporacji opiera się na kontrolowaniu ogromnych rezerw ropy naftowej i gazu ziemnego (należy do niego m.in. pole naftowe Ghawar, największe na świecie, obejmujące obszar o wymiarach 280x30 km). Przy mocach produkcyjnych pozwalających na dzienne wydobycie na poziomie 12 mln baryłek, byłby niemal w stanie samodzielnie zaspokoić w pełni potrzeby paliwowe Europy. Aramco, z powodów rynkowych, ogranicza dzienną produkcję do poziomu 9,5 mln baryłek, co i tak daje mu absolutną pozycję globalnego lidera w grupie największych potentatów. Inne korporacje dzieli prawdziwa przepaść od Aramco – Rosnieft nieznacznie przekracza 4 mln baryłek dziennego wydobycia, gigant chiński PetroChina balansuje na granicy 2,8 mln baryłek, a wspomniany ExxonMobil nieznacznie przekracza 2 mln baryłek. Koncern ma swoje oddziały w 77 państwach świata i zatrudnia armię prawie 70 tys. pracowników. Aramco jest też filarem gospodarki Arabii Saudyjskiej – odpowiada za 45 proc. produktu krajowego brutto, 90 proc. dochodów z eksportu i prawie 80 proc. dochodów budżetowych. Na nim spoczywa ciężar modernizacji państwa, rozwój nowoczesnych technologii. Siła koncernu wynika też z jego szczególnej roli w ustalaniu oficjalnej ceny sprzedaży ropy naftowej.

Aramco jest też globalnym gigantem gazowym, zaś Orlen, w ramach budowy wielkiej korporacji energetycznej, wystąpił do polskiego rządu o połączenie z PGNiG, największym polskim koncernem naftowo-gazowym. Dla Rijadu i Warszawy także w tym wymiarze otwiera się szerokie pole do współpracy. W listopadzie 2021 roku firma rozpoczęła zagospodarowywanie gazowego pola w Jafurah. Są to największe na Bliskim Wschodzie złoża gazu łupkowego. Dzięki tej inwestycji Arabia Saudyjska stanie się jednym z największych na świecie producentów gazu ziemnego. Ostatnio Saudi Arabian Oil Company (Aramco) podpisało umowę dzierżawy sieci gazociągów z konsorcjum, na czele którego stoją BlackRock Real Assets (BlackRock) i Hassana Investment Company (Hassana), w ramach jednej z największych na świecie transakcji dotyczących infrastruktury energetycznej. Polska i państwa Trójmorza mają świadomość, iż bez suwerenności energetycznej nie są w stanie wytrzymać presji w ramach osi Moskwa–Berlin.

Trójmorze rośnie w siłę

Rok po zawarciu przez rząd Merkel porozumienia z Putinem o budowie Nord Stream 2, gdy oficjalnie Berlin forsował restrykcje wobec FR, Klub Izborski, wpływowy think tank mający znaczny wpływ na Putina, opublikował raport, w którym przestrzegał on Rosję przed możliwością realizacji projektu nowego Międzymorza. Zasadniczą jego tezą było twierdzenie, iż Rosja musi zrobić wszystko, aby zablokować sojusz państw bałtycko-czarnomorskich. Jak wiadomo, pierwsze inicjatywy na ten temat miały miejsce jeszcze we wrześniu 2015 roku w Nowym Jorku, po których przywódcy Polski i Chorwacji, prezydenci Andrzej Duda i Kolinda Grabar-Kitarović, rozpoczęli intensywną pracę nad realizacją projektu. Rok później, w sierpniu 2016 roku, odbył się pierwszy szczyt inicjatywy Trójmorza, a rok później, na szczycie w Warszawie, obecny był prezydent USA, Donald Trump.

Paul Golbe, amerykański analityk, na łamach „Eurasia Daily Monitor" 26 lutego 2016 roku zwrócił uwagę na ów zdumiewający raport Klubu Izborskiego, który ujawnia prawdziwie histeryczną reakcję na perspektywę horyzontalnego sojuszu unijnych państw, który stworzyłby nowe realia geopolityczne w regionie. Według Raport Izborsky'ego, „minimalnym zadaniem" Trójmorza jest „słaba Rosja, która będzie odgrywać rolę dostawcy surowców na Zachód". Celem „maksymalnym" jest „rozczłonkowanie kraju wzdłuż granic formacji etnicznych Federacji Rosyjskiej lub wzdłuż granic jej okręgów federalnych". Dlatego Moskwa musi zrobić wszystko, aby rozbić ten projekt, bo powstanie Trójmorza z jednej strony blokowałoby przywrócenie dobrych stosunków między Rosją a Niemcami; z drugiej – sprzyjałoby oddaleniu Ukrainy i ostatecznie Białorusi od Rosji, przygotowując jednocześnie grunt pod przekształcenie Rosji w kierunku prozachodnim. Osłabiłoby też wpływ Moskwy na wiele wschodnich krajów NATO, w których nastroje pacyfistyczne i prorosyjskie są silniejsze.

Wydarzenia roku 2021 pokazują praktyczną realizację wielu elementów tego raportu. W tym kontekście należy postrzegać znaczenie owego strategicznego sojuszu energetycznego zawartego przez PKN Orlen ze światowym potentatem w branży petrochemicznej i gazowej – jako systemowe wsparcie dla projektu Trójmorza. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Zjednoczony Front, czyli chińskie uderzenie

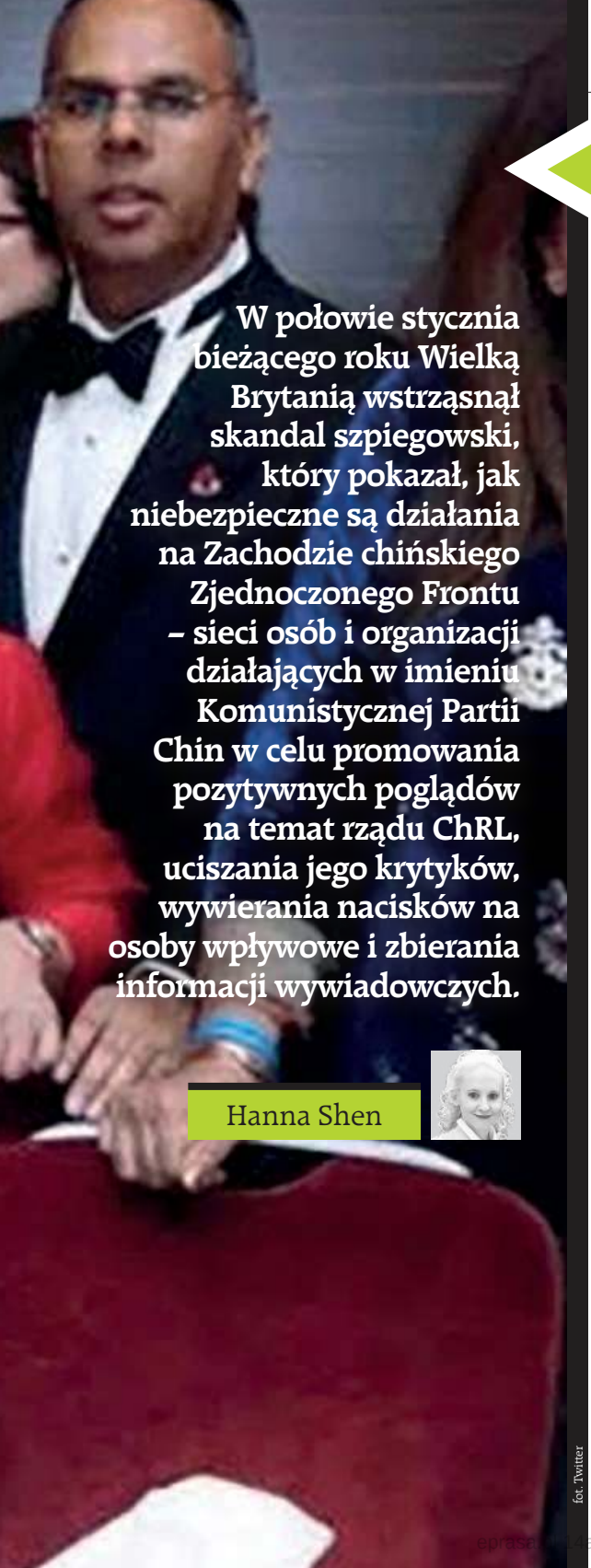

W połowie stycznia bieżącego roku Wielką Brytanią wstrząsnął skandal szpiegowski, który pokazał, jak niebezpieczne są działania na Zachodzie chińskiego Zjednoczonego Frontu – sieci osób i organizacji działających w imieniu Komunistycznej Partii Chin w celu promowania pozytywnych poglądów na temat rządu ChRL, uciszania jego krytyków, wywierania nacisków na osoby wpływowe i zbierania informacji wywiadowczych.

Hanna Shen

fot. Twitter

W połowie stycznia brytyjski wywiad MI5 ostrzegł parlamentarzystów tego kraju, że agentka działająca we współpracy z tzw. Zjednoczonym Frontem na rzecz chińskiego rządu aktywnie zakłócała procesy polityczne w parlamencie Zjednoczonego Królestwa. Chodzi o 58-letnią prawniczkę Christinę Ching Kui Lee, która za pośrednictwem swojej kancelarii prawniczej Christine Lee & Co była m.in. długoletnim darczyńcą na rzecz biura posła Partii Pracy Barry'ego Gardinera. Polityk ten w laburzystowskim gabinecie cieni za czasów poprzedniego lidera partii Jeremy'ego Corbyna był odpowiednikiem ministra handlu międzynarodowego i wspierał projekt powstania elektrowni jądrowej w Hinkley Point, w której chińska firma była inwestorem mniejszościowym. Od 2005 roku Christine Lee przekazała na rzecz Partii Pracy ponad 675 tys. funtów, głównie za pośrednictwem biura Gardinera. Jednym z asystentów Gardinera był syn prawniczki, Daniel Wilkes*.

Gardiner próbował się bronić, twierdząc w stacji Sky News, że w sprawie Lee pozostawał od lat w kontakcie z MI5, i zapewnił, że dotacje przekazywane przez Chinkę były na badania i że on nie korzystał z nich osobiście oraz że nie wpływała ona w żaden sposób na te badania czy jego aktywność poselską.

Agentka z odznaczeniem

Christine Lee była aktywna w brytyjskich kręgach politycznych od co najmniej 15 lat, promując rozwój stosunków angielsko-chińskich za pośrednictwem różnych grup, takich jak British Chinese Project i wielopartyjna grupa parlamentarna Chińczycy w Wielkiej Brytanii. Zdjęcia pokazują również jej spotkanie z Davidem Cameronem, kiedy ten był premierem, i z prezydentem Chin Xi Jinpingiem.

Lee otrzymała też odznaczenie od premier Theresy May za „promowanie zaangażowania, zrozumienia i współpracy między społecznościami chińskimi i brytyjskimi w Wielkiej Brytanii".

Dodatkowo Christine Lee była doradcą podlegającego komunistycznemu rządowi Chin Biura ds. Chińczyków za Granicą, a jej kancelaria pracowała dla Ambasady Chińskiej w Londynie.

Po ujawnieniu skandalu dotyczącego działalności Lee w brytyjskim parlamencie, spiker Izby Gmin, Lindsay Hoyle, napisał w liście do parlamentarzy-

* Syn Lee zrezygnował z pracy dla brytyjskiego parlamentarzysty w dniu, w którym MI5 ujawniło informacje o jego matce.

eprasa 14a99e893b

stów, że Christine Lee przekazywała darowizny finansowe parlamentarzystów w imieniu obcokrajowców z Hongkongu i Chin.

„Ta działalność była wykonywana potajemnie, aby zamaskować źródła płatności. Jest to wyraźnie niedopuszczalne zachowanie i podejmowane są kroki, aby więcej do tego nie doszło".

Polityk Partii Konserwatywnej, na którego rząd ChRL nałożył sankcje, Iain Duncan Smith**, uważa, że obecność w brytyjskiej polityce aktywnego agenta chińskiego rządu musi budzić „poważne zaniepokojenie".

„Ktoś wędrujący po budynku parlamentu z przepustką, znany jako agent obcego mocarstwa, mógł z łatwością wejść do naszych biur i zabrać dokumenty i informacje" – stwierdził Smith w wypowiedzi dla stacji GB News. Polityk dodał, że działalność Lee stworzyła też zagrożenie dla ludzi szukających schronienia w Wielkiej Brytanii przed Komunistyczną Partią Chin (KPCh).

Według MI5, Christine Lee twierdziła, że jej zaangażowanie w parlamencie polegało na „reprezentowaniu Chińczyków w Wielkiej Brytanii i zwiększaniu różnorodności". Jednak brytyjski wywiad ostrzegł, że jej działania były prowadzone w tajnej koordynacji z pracującym na rzecz chińskich komunistów Zjednoczonego Frontu i finansowane przez obcokrajowców z Chin i Hongkongu.

Jak uderzyć we wroga

Początkowo termin Zjednoczony Front odnosił się do sojuszu chińskich komunistów i nacjonalistów stworzonego w celu stawienia czoła wspólnemu – japońskiemu – wrogowi w czasie II wojny światowej. Dziś Zjednoczony Front polega przede wszystkim na „mobilizowaniu przyjaciół partii do uderzenia w jej wrogów". Chodzi więc o tworzenie sił poza partią, które będą kontrolować grupy mogące kwestionować jej autorytet, budować koalicję wokół niej i projektować swoje wpływy za granicę. Jest to koncepcja rozwinięta przez Mao Zedonga, ale pierwotnie opracowana przez Lenina w jego eseju „Dziecięca choroba »lewicowości« w komunizmie" (1920). Krytykuje on w nim komunistów, którzy w imię czystości ideologicznej odmawiają wykorzystywania platform oferowanych w demokracjach parlamentarnych.

Głównym zadaniem chińskiego Zjednoczonego Frontu jest, jak piszą autorzy raportu francuskiego think tanku – Instytutu Badań Strategicznych Szkoły Wojskowej (IRSEM)***, „identyfikowanie i klasyfikowanie celów i wrogów partii". Są dwa rodzaje wrogów KPCh: ci, z którymi trzeba tylko walczyć, i ci, z którymi można się sprzymierzyć przed walką z nimi. Praca Frontu polega na budowaniu poparcia dla reżimu komunistycznego, oddziaływaniu na osobistości, które same są wpływowe w swojej dziedzinie lub w danym kraju, szukaniu kontroli nad grupami niszczącymi autorytet partii, zbieraniu informacji wywiadowczych oraz eliminacji lub przynajmniej zakłóceniu działalności wrogów KPCh.

Są trzy główne rodzaje operacji stosowanych przez Zjednoczony Front. Pierwszy to mobilizowanie chińskiej diaspory. Chińczycy mieszkający w innych krajach są instrumentami do wywierania presji na rząd, którego polityka jest sprzeczna z interesami partii. Może to być przeciwstawianie się wizycie osobistości, takich jak hongkoński aktywista Joshua Wong czy dalajlama, czy ruchom popierającym demonstrantów w Hongkongu. Diaspory można również „pozytywnie" zmobilizować, aby wspierały wizyty chińskich urzędników w kraju goszczącym.

Drugi rodzaj operacji to kontrolowanie narracji o Chinach. Celem działań Zjednoczonego Frontu jest, by wszędzie na świecie i we wszystkich językach „sposób, w jaki media, dziennikarze, autorzy, redakcje, badacze, nauczyciele itd. opisują Chiny, był zgodny z interesami partii, w szczególności w najbardziej drażliwych tematach, takich jak »pięć trucizn« (Ujgurowie, Tybetańczycy, Falun Gong, działacze na rzecz demokracji, tajwańscy separatyści)". Do tego zadania KPCh potrzebuje tych, którzy kształtują opinię w danym kraju (naukowców, dziennikarzy, biznesmenów, polityków, osoby wpływowe w mediach społecznościowych). Jak piszą autorzy francuskiego raportu, przynętą są tu często „przyjemne wycieczki na koszt partii, podczas których chińscy przywódcy prezentują wszystkie swoje świecidełka".

I wreszcie jest też budowanie baz danych nie tylko o politykach, osobach publicznych, lecz także na przykład o studentach. „Gromadzenie danych odbywa się za pomocą szpiegowania i poprzez planową kooptację, udział w budowaniu infrastruktury i nowe technologie". Tu ważną rolę odgrywają firmy publiczne i pry-

** W marcu 2021 roku Chiny nałożyły sankcję na pięciu polityków Partii Konserwatywnej, którzy nawoływali do nałożenia sankcji na Pekin za prześladowania na Ujgurach w prowincji Xinjiang.

*** Opublikowany we wrześniu w 2021 roku 650-stronicowy raport „Chińskie operacje wpływu – moment Machiavellego" określany jest jako jedna z najbardziej obszernych analiz chińskich machin propagandy i wpływów.

eprasa.pl 14a99e893b

watne. Jak wyjaśnia Samantha Hoffman, analityk think tanku The Australian Strategic Policy Institute: „Aby uzyskać dostęp do globalnych danych, partia korzysta z przedsiębiorstw państwowych, zarówno chińskich, jak i zagranicznych, a także partnerów, takich jak naukowcy uniwersyteccy. [KPCh] używa kapitalizmu jako środka dostępu do danych, które mogą pomóc jej zakłócić procesy demokratyczne i stworzyć bardziej sprzyjające globalne środowisko dla jej władzy".

Czy starczy odwagi?

Do intensyfikacji działań Zjednoczonego Frontu poza granicami ChRL doszło w momencie przejęcia władzy w Chinach w 2012 roku przez Xi Jinpinga. W przemówieniu we wrześniu 2014 roku Xi, cytując Mao Zedonga, odniósł się do działalności Zjednoczonego Frontu jako jednej z trzech magicznych broni KPCh, równie ważnej jak pozostałe dwie: silna partia i sprawna armia.

I tak jak na Zachodzie jest dość dobre zrozumienie zagrożeń, jakie niosą owe pozostałe dwie bronie, to działalności Zjednoczonego Frontu, czyli prowadzeniu wojny informacyjnej i politycznej, poświęca się zbyt mało uwagi.

Hsu Szu-chien i J. Michael Cole w książce pt. „Podstępna siła. Jak Chiny podkopują globalną demokrację" podają kilka powodów, dlaczego Zachód jest jeszcze dość ślepy na to zagrożenie.

Z jednej strony owe operacje wpływu i dezinformacji są z założenia prowadzone w sposób skryty i zwodniczy oraz „ukryte za mylącym labiryntem organizacji frontowych, szeregami pośredników i roju łagodnej retoryki". Nie bez znaczenia jest też fakt, że gdy zaczyna się mówić o tym, iż Pekin dąży do hegemonii, że chce kontrolować nasze wypowiedzi, czyny i wierzenia, od razu pojawiają się kontrargumenty o rzekomym rasizmie czy antychińskim uprzedzeniu. I czasami, jak piszą autorzy „Podstępnej siły", towarzyszy temu „cyniczna riposta, że Chiny po prostu robią to, co robią inne narody, aby wesprzeć swój własny interes".

Hsu i Cole zwracają także uwagę, że badanie tego, w jak agresywny, dobrze zorganizowany i centralnie kierowany sposób KPCh penetruje i manipuluje społeczności i polityczne systemy na Zachodzie, wymaga nie tylko umiejętności językowych i kryminalistycznych, zrozumienia historii, ideologii i mechaniki działania KPCh, lecz także odrobiny odwagi. „Wielu pionierów w tej dziedzinie [...] padło ofiarą oszczerczych zarzutów, gróźb prawnych, a nawet fizycznego nękania". Zdarzyły się przypadki zatrzymań. To spotkało Feng Chongyi, obywatela ChRL, ale pracującego i mającego kartę stałego pobytu w Australii. Feng jest wykładowcą na University of Technology w Sydney. Gdy w 2017 roku wracał z Chin do Australii, nie wpuszczono go na pokład samolotu. Feng Chongyi często wypowiadał się m.in. o zagrożeniu ze strony Zjednoczonego Frontu w Australii. Wskazywał, że przybywający na studia do Australii Chińczycy to często osoby pracujące dla wywiadu ChRL. Zwracał także uwagę na wpływy, jakie Komunistyczna Partia Chin ma w chińskojęzycznych mediach w Australii i jak te media wykorzystywane są przez władze ChRL w celach propagandowych. Po 10-dniowym areszcie w Chinach, licznych przesłuchaniach i zabiegach australijskiej dyplomacji, Fengowi pozwolono wrócić do Sydney. Chińczyk uważa, że była to próba zastraszenia go, spowodowania, by nie odważył się więcej nagłaśniać zagrożeń ze strony chińskiego aparatu wpływów i szpiegowania.

Po tym, jak informacje o agenturalnej działalności Christine Lee ujrzały światło dzienne, Tom Tugendhat, brytyjski parlamentarzysta i szef komisji ds. Zagranicznych, napisał na swoim koncie na Twitterze, iż „oczywistym jest, że wyzwanie ze strony Pekinu rośnie i musimy bronić naszej demokracji przed tą wrogą działalnością".

W ostatnich latach Wielka Brytania zaczęła podejmować coraz bardziej stanowcze działania wobec Pekinu. W lutym ubiegłego roku brytyjski regulator medialny Ofcom wycofał licencję na nadawanie dla China Global Television Network (CGTN) w Wielkiej Brytanii. CGTN jest kontrolowana przez Wydział Propagandy KPCh. Po narzuceniu przez Pekin w 2020 roku Hongkongowi prawa o bezpieczeństwie państwowym, ustawy, która ma stłumić polityczne, antykomunistyczne protesty w byłej brytyjskiej kolonii, Londyn zawiesił traktat o ekstradycji z Hongkongiem i przyznał wizy dziesiątkom tysięcy mieszkańców tego regionu. Także w 2020 roku premier Boris Johnson w dużej mierze zakazał chińskiej firmie telekomunikacyjnej Huawei dostarczania sprzętu dla brytyjskiej sieci 5G. W przemówieniu w listopadzie 2021 roku Richard Moore, szef MI6, służby wywiadu zagranicznego, powiedział, że „największym priorytetem" agencji jest przystosowanie się do świata, w którym rośnie potęga Chin. Ostrzegł, że chińskie służby wywiadowcze starają się przeprowadzić „operacje szpiegowskie na dużą skalę" przeciwko Wielkiej Brytanii i jej sojusznikom.

Jednak łatwość, z jaką Christine Lee miała dostęp do brytyjskiego parlamentu i jak szybko zdobyła zaufanie tamtejszych polityków, pokazuje, że Londynowi, oraz większości zachodnich stolic, potrzeba dużo więcej determinacji i odwagi, by stawić czoła magicznej broni Pekinu, działaniom Zjednoczonego Frontu. ■

eprasa.pl 14a99e893b

„Dla strażników więźniowie nie są ludźmi, ale zwierzętami, z którymi możesz robić, cokolwiek zechcesz. I nie masz się komu poskarżyć”

Antoni Rybczyński

GUŁag Putina

Od wielu lat działacze praw człowieka ostrzegają i dokumentują problem tortur i łamania praw człowieka w rosyjskich więzieniach, będący spuścizną nieludzkich praktyk z czasów Związku Sowieckiego. Jednak niewiele zrobiono w kwestii reform, a strażnicy więzienni i urzędnicy rzadko są karani lub ścigani za nadużycia.

eprasa.pl 14a99e893b

Obrońcy praw człowieka regularnie informują o torturach i pobiciach w zakładach karnych w wielu regionach Rosji. Jednakże skargi te są bardzo rzadko badane, a jeszcze rzadziej wszczynane są postępowania karne. Współczesne kolonie karne Federacji Rosyjskiej niewiele różnią się od sowieckiego Głównego Zarządu Obozów, czyli GUŁag. Podczas corocznej konferencji prasowej (23 grudnia) Władimir Putin poruszył ten temat. Zaskoczenie? Nie. Po pierwsze, od razu zastrzegł, że tortury w więzieniach są „problemem światowym", i zasugerował, że w Rosji nie jest gorzej niż w Stanach Zjednoczonych czy Francji. Po drugie, nie mógł przemilczeć tego tematu, skoro chwilę wcześniej, w wyniku ujawnienia gigantycznej ilości nagrań ukazujących znęcanie się nad więźniami w różnych miejscach kraju, wyrzucił z pracy kierownictwo służby więziennej FSIN.

Dowody

Gulagu.net to niezależny projekt działający od dekady w obronie praw więźniów w Rosji. W październiku portal zaczął publikować fragmenty obszernych materiałów wideo dokumentujących wykorzystywanie więźniów w koloniach karnych. Największy szok wywołały zapisy tortur i gwałtów w więziennym szpitalu FSIN nr 1 w Saratowie. Nagrania pokazują więźniów, na których oddaje się mocz, którzy są bici, gwałceni (także kijem od mopa). Nie widać, żeby pomocy udzielał im personel medyczny. Nagranie z 23 lipca 2020 roku pokazuje leżącego na podłodze nagiego mężczyznę z zabandażowaną pachwiną. Stojący wokół mężczyźni rozciągają na boki bandaże przywiązane do rąk ofiary. Jeden z mężczyzn oddaje mocz na głowę więźnia. Na innym nagraniu, nakręconym kwadrans po pierwszym, widać mężczyznę, podobnego do więźnia z pierwszego nagrania, leżącego z rękami przymocowanymi do pryczy i nogami w górze, przywiązanymi bandażami do tablicy na ścianie. Słychać, jak ktoś za kadrem mówi do kogoś: „Kontynuuj, nic nie ukrywaj". Potem były publikowane kolejne nagrania, łącznie 17 minut scen ze szpitala więziennego w obwodzie saratowskim, kolonii karnej nr 4 w obwodzie biełgorodzkim i kolonii karnej nr 4 na Kamczatce. Tortury były nagrywane na służbowych wideorejestratorach. Według obrońców praw człowieka, nagrania były potrzebne „do składania raportów do wyższych władz". Gulagu.net ujawnił też nagrania z innych miejsc. W areszcie śledczym nr 1 w Irkucku więźniowie współpracujący z administracją torturowali i zgwałcili ponad setkę aresztowanych i osądzonych. W kolonii nr 15 (Angarsk) ofiarą bestialstw stało się około tysiąca więźniów.

Po tym, jak Gulagu.net opublikował drugą partię kompromitujących filmów w listopadzie, założyciel organizacji, Władimir Osieczkin, został dodany do listy najbardziej poszukiwanych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Obecnie mieszka on we Francji. I 20 grudnia opublikował kolejne nagrania. Tym razem były to filmy z kolonii karnej w Krasnojarsku. Na jednym z nich funkcjonariusz Federalnej Służby Więziennej (FSIN) wydaje polecenia grupie więźniów w oddziale kwarantanny, po czym przyprowadzany jest mężczyzna, a więźniowie go biją. Na innym widać, że jeden z więźniów jest celowo wyrzucony przez okno. Nagranie jest datowane na 27 lipca 2020 roku. Więzień zmarł dwa dni później. Można oczekiwać publikacji kolejnych szokujących nagrań, aktu oskarżenia pod adresem nie tyle FSIN, ile całego reżimu. Na początku grudnia Osieczkin poinformował, że Gulagu.net uzyskał nowe, 200-gigabajtowe archiwum wideo, które pokazuje tortury więzienne w Krasnojarsku, Kraju Zabajkalskim i Kraju Primorskim. „Ta publikacja to mniej niż jeden procent tego, co mamy" – podkreślił Gulagu.net.

Sygnalista

18 października szef Gulagu.net ujawnił, kto dostarczył część nagrań. Mógł to zrobić, bo informator był już bezpieczny na terytorium Francji, gdzie złożył wniosek o azyl. To Siarhiej Sawieljeu, 31-letni Białorusin, specjalista IT. Został aresztowany podczas pobytu w Krasnodarze w 2015 roku i skazany za przemyt narkotyków. Twierdzi, że był niewinny. Dostał 9 lat, ale wyszedł wcześniej, w lutym 2021 roku. W więzieniu wykorzystano jego zdolności informatyczne. Dzięki temu zyskał dostęp do materiałów na serwerach FSIN, nagranych w szeregu więzień w obwodach włodzimierskim, saratowskim i irkuckim w latach 2018–2020. Zgrywał filmy na swoje nośniki informacji. Wyniósł je, gdy go wypuszczano. We wrześniu ubiegłego roku został zatrzymany przez agentów FSB. Przesłuchano go w sprawie nagrań, mimo że nie zostały one jeszcze upublicznione i krążyły tylko wśród ludzi z kręgów praw człowieka – co wskazuje na to, że bezpieka była świadoma, iż doszło do przecieku. Białorusin był jednak w tym momencie tylko świadkiem w sprawie. „Przekonałem ich, że będę współpracował. Byli pewni, że jeśli będę chciał przekroczyć granicę, będą w stanie mnie namierzyć i zatrzymać" – relacjonował Sawieljeu.

Jednak udało mu się uciec do Francji w październiku, gdzie złożył wniosek o azyl polityczny. Rosja

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 14a99e893b

wydała nakaz aresztowania, oskarżając Białorusina o „nielegalny dostęp do informacji cyfrowych". Jednak 11 listopada prokuratorzy wycofali zarzuty i przerwali śledztwo przeciwko niemu. „Jeśli człowiek obserwuje cierpienie innych ludzi dzień po dniu i widzi, że wszyscy uważają to za normalne, ma tylko dwie drogi: może się z tym pogodzić i stać się częścią tej machiny albo może spróbować coś z tym zrobić i jakoś to zmienić. Ja wybrałem drugą drogę" – powiedział w rozmowie z Radio Swoboda Sawieljeu. W ostatnim wywiadzie mówił, że był „zdumiony" liczbą rosyjskich urzędników, którzy byli świadomi tortur mających miejsce w zakładach karnych: „Ogromna liczba organów państwowych wspiera i chroni, tworzy tarczę wokół tego konwejera tak długo, jak długo będzie on funkcjonował".

Jednak publikacja Gulagu.net wywołała tak duży wstrząs, że Kreml nie mógł na to nie zareagować. Komitet Śledczy wszczął siedem spraw karnych po opublikowaniu filmu wideo o znęcaniu się nad więźniami w Saratowie. Osobom zamieszanym w przestępstwo grozi do 10 lat więzienia. W regionie rozpoczęły się masowe dymisje. Szef FSIN w Saratowie, Aleksiej Fiedotow, złożył rezygnację. Do dymisji podał się również dyrektor szpitala więziennego w Saratowie, Paweł Gacenko, oraz kilku pracowników regionalnego oddziału FSIN. Ale na tym się nie skończyło. Pod koniec listopada zdymisjonowany został szef FSIN (Aleksandr Kałasznikow był wcześniej generałem FSB). Zastąpił go Arkadij Gostow, wcześniej wiceminister spraw wewnętrznych. Kałasznikow kierował FSIN zaledwie 2 lata, był już objęty zachodnimi sankcjami za udział w sprawie Nawalnego. 28 grudnia poleciała też głowa wicedyrektora FSIN, Anatolija Jakunina. Przyszedł do służby więziennej w 2019 roku z MSW, zastępcą dyrektora był od sierpnia 2020 roku. Nie podano powodów dymisji, ale prawdopodobnie stało się to na wniosek FSB. Jakunin to szósty wysoki rangą funkcjonariusz z kierownictwa FSIN, który stracił posadę po publikacji nagrań bicia i torturowania więźniów.

▶ Bestialstwo

Filmowe archiwum tortur opublikowane przez Gulagu.net jest unikalne ze względu na swoją skalę, tak wielu takich dowodów przemocy w rosyjskich koloniach karnych jednocześnie nigdy nie znalazło się w sieci. I jeszcze nigdy w postsowieckiej Rosji nie spowodowało to dymisji niemal całego kierownictwa służby więziennej. Ale przecież nie jest to pierwszy taki przeciek do mediów, o nadużyciach w koloniach karnych wiadomo od lat.

W grudniu 2015 roku strażnicy przywiązali szalikiem do kraty okiennej więźnia, którego wcześniej pobili kijami i skuli kajdankami. Mężczyzna się udusił. W 2016 roku głośno było w światowych mediach o torturach w rosyjskich łagrach po historii Ildara Dadina. Aktywista został skazany za wielokrotne naruszenie zasad imprezy publicznej – czyli za samotne pikiety o politycznym charakterze – i wysłany do miasta Segieża w Karelii, do kolonii karnej nr 7. Tam, według Dadina, był bity kilka razy dziennie przez więcej niż 10 osób naraz. „W dniu 12 września 2016 roku pracownicy przyszli i skuli mi ręce kajdankami za plecami. Zawieszenie to spowodowało straszny ból w nadgarstkach, a także wykręciło mi stawy łokciowe i poczułem dziki ból w plecach. I tak wisiałem tam pół godziny. Potem zdjęli mi spodnie i powiedzieli, że przyprowadzą innego więźnia, a on mnie zgwałci" – w liście, który Dadin zdołał przemycić do niezależnych mediów, pisał, że był osobiście torturowany przez naczelnika kolonii Siergieja Kossijewa i jego zastępcę Anatolija Łujsta. W 2019 roku Kossijew dostał za to 2,5 roku, a jego zastępca 3 lata. Obaj są już na wolności.

W latach 2018–2019 niezależna „Nowaja Gazieta" opublikowała nagrania tortur więźniów w kolonii karnej nr 1 w Jarosławiu. Filmy pochodziły z wideorejestratora jednego z funkcjonariuszy FSIN. Według dziennikarzy, skazanemu, pobitemu przez funkcjonariuszy służby więziennej, pozostało do odsiadki tylko 13 dni. Po zwolnieniu spędził dwa tygodnie w szpitalu. Inny więzień, Waża Boczoriszwili, zmarł po torturach. Uprzedził pracowników kolonii, że nie ma siły nawet na to, by samemu położyć się na biurku. Po pobiciu próbowano go leczyć w kolonii, ale ostatecznie został przewieziony do szpitala w Rybińsku. Sąd rejonowy w Jarosławiu uznał 11 pracowników kolonii karnej nr 1 za winnych nadużycia władzy. Sześciu mężczyzn otrzymało wyroki do 3,5 roku w kolonii o zaostrzonym rygorze i zostało zwolnionych na sali sądowej. Czterech innych mężczyzn otrzymało 4 lata w kolonii karnej, a jeden były strażnik więzienny 4 lata i 3 miesiące. Szefowie kolonii Dmitrij Nikołajew i Igit Michajłow zostali uniewinnieni przez sąd. Prokurator początkowo wnosił o 7 lat więzienia dla każdego z nich.

Marsel Amirow odsiaduje wyrok 14 lat więzienia za morderstwo w kolonii w obwodzie kirowskim. Gdy stało się głośno o nagraniach Gulagu.net, zgłosił do władz, że chce opowiedzieć o tym, jak nad nim się znęcano. W listopadzie doszło do jego spotkania z komisją zajmującą się – z sankcją władz – prawami człowieka. Amirow powiedział im, że był torturowany, gwałcony i poniżany przez strażników. Wielokrotnie wpychano mu głowę do wiadra z ludz-

eprasa.pl 14a99e893b

kimi odchodami, był bity, duszony i gwałcony kijem od mopa. Po wizycie komisji Amirow został przeniesiony na pobliskiego więziennego oddziału medycznego, ale 11 dni później, 30 listopada, został odesłany z powrotem do kolonii karnej. Powiedział później swojemu prawnikowi, że był ponownie torturowany przez strażników i naciskany, by odwołał swoje wcześniejsze zeznania. Rozpoczął strajk głodowy, w wyniku którego 13 grudnia został przeniesiony z powrotem do placówki medycznej. Dziesięć dni później spotkał się ze swoim prawnikiem. Tatiana Szabanowa relacjonowała później w rozmowie z Radio Swoboda, że gdy po raz pierwszy go zobaczyła, „wyglądał jako zranione zwierzę". – Rozglądał się wokoło, trząsł się, wszystkiego się bał, oczy miał podkrążone. Ale gdy zrozumiał, że może bezpiecznie rozmawiać, uspokoił się troszkę – mówiła Szabanowa. „Dla strażników więźniowie nie są ludźmi, ale zwierzętami, z którymi możesz robić, cokolwiek zechcesz. I nie masz się komu poskarżyć" – stwierdziła Lilia Amirowa, siostra więźnia. Wszczęto dochodzenie administracyjne w kolonii karnej w Kirowie, które nie wykazało żadnych nadużyć.

Reżim

Znęcanie się ma różne przyczyny, w tym szantaż i karę za nieprzestrzeganie zasad. Niektórzy więźniowie są wykorzystywani w celu wymuszenia zeznań, w tym fałszywych, przeciwko sobie lub komuś innemu. Nie jest tajemnicą, że światem więziennym rządzą określone zasady, oczywiście niezapisane w prawie. Zasady podobne do tych rządzącym rosyjskim światem kryminalnym poza drutami łagrów. FSIN czy FSB chętnie wykorzystują więzienną hierarchię dla własnych celów. Nagranie wideo, na którym widać, jak grupa więźniów gwałci ważną w hierarchii personę, to doskonały kompromat. W przypadku więźniów, których szanują lub obawiają się inni osadzeni, nagrania są wykorzystywane do szantażowania ich, aby pomogli władzom.

Jedną z takich wstrząsających historii opowiedział Władimir Matuszkiejew, biznesmen z Irkucka, który przez wiele miesięcy siedział w tamtejszym areszcie nr 1. Płacił regularnie funkcjonariuszom FSIN, żeby uniknąć przemocy, ale i tak sam musiał brać udział w znęcaniu się nad innymi więźniami. Był świadkiem, jak tortury i gwałty strażnicy rejestrowali na wideo. Po co to robili? Wszak najbardziej ich to obciążało. – Nagrywali, żeby szantażować ofiarę, by wykonywała wszelkie polecenia pod groźbą skompromitowania, gdyby inni więźniowie dowiedzieli się o gwałtach, dołączyłaby do „kasty upokorzonych" – tłumaczy Matuszkiejew. „Upokorzeni" aż do końca kary muszą czyścić toalety, kanalizację itd. Są najniższą kastą w więziennej hierarchii.

Rosyjskie więzienia i kolonie karne – z ich otoczką niezwykłej brutalności – stanowią element reżimu stworzonego przez Putina. Reżimowi zależy na utrzymaniu tego poczucia grozy, by Rosjanie bali się pójścia za kraty, a więc byli bardziej ulegli władzy. Z drugiej strony, reżim stara się ukrywać szczegóły brutalności więziennej, bo to mogłoby wywołać przeciwny skutek: oburzenie i protesty opinii społecznej. Publikacje Gulagu.net są więc dużym problemem dla władzy. Podobnie jak duże bunty w koloniach, rzecz niespotykana od czasów Stalina, a zarazem wskazująca, jak bardzo łagry putinowskie są podobne do stalinowskich, jeśli chodzi o upodlenie człowieka.

W kwietniu 2020 roku do Angarska trzeba było wezwać 300 żołnierzy specnazu, żeby stłumić bunt w kolonii o zaostrzonym rygorze. W buncie wzięło udział około 500 więźniów, którzy nie wytrzymali pogarszających się warunków odbywania kary (nie tylko znęcanie się przez strażników, lecz także pandemia koronawirusa). Kilka miesięcy później organizacja pozarządowa „Syberia bez tortur" alarmowała, że więźniowie w dwóch sąsiednich koloniach w obwodzie irkuckim również są na skraju buntu. We wrześniu 2021 roku przeciwko swoim oprawcom zbuntowali się więźniowie kolonii karnej nr 14 w Kraju Chabarowskim. Znów musiał interweniować specnaz, znów byli zabici i ranni. Bunt rozpoczął się od konfliktu między osadzonymi, ale potem więźniowie zjednoczyli się i zaatakowali strażników. W październiku 2021 roku doszło do trzeciej dużej rewolty więziennej, tym razem na Północnym Kaukazie. 600 więźniów wszczęło bunt w kolonii karnej we Władykaukazie. Więzienie otoczyły specjalne jednostki policji, które stłumiły bunt. Wśród zabitych i rannych znaleźli się zarówno więźniowie, jak i strażnicy.

Te trzy duże bunty, ale jeszcze bardziej publikacje Gulagu.net, zwiększyły presję na władzę, żeby zacząć robić porządek z nadużyciami za kratami. Zwłaszcza że tortury i znęcanie się to tylko jedna z przyczyn niezadowolenia. Są też inne zapalne czynniki: złe wyżywienie, konflikty między różnymi grupami etnicznymi i religijnymi więźniów oraz w ostatnim czasie pandemia COVID-19. W przeciwieństwie do wielu innych krajów, władze rosyjskie nie zwolniły starszych lub chorych więźniów na początku pandemii ani nie podjęły innych kroków, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby za kratami. Wygląda na to, że reżim Putina będzie musiał jednak podjąć jakieś systemowe zmiany w więziennictwie, sama wymiana kierownictwa służby więziennej to za mało. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Hongkong

Pekin mianował gen. Peng Jingtanga, szefa paramilitarnej policji z Xinjiangu, na dowódcę garnizonu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW) w Hongkongu. Jest to sygnał, że rola chińskich sił zbrojnych stacjonujących w byłej kolonii brytyjskiej ulega zmianie i będzie obejmowała przeciwdziałanie antypekińskim zamieszkom. Zgodnie z oficjalnym oświadczeniem, Peng „zdecydowanie zastosuje się do poleceń partii, Centralnej Komisji Wojskowej i przewodniczącego Xi, aby w pełni wdrożyć koncepcję »jedno państwo, dwa systemy« i zdecydowanie bronić narodowej suwerenności, bezpieczeństwa i interesów".

Genenrał Peng był szefem sztabu Sił Zbrojnych Policji w prowincji Xinjiang, gdzie Chiny zatrzymały co najmniej milion Ujgurów w obozach koncentracyjnych. Tymczasem Komunistyczna Partia Chin zaprzecza jakimkolwiek nadużyciom w regionie Xinjiang i twierdzi, że obozy są ośrodkami reedukacji i są niezbędne do przeciwdziałania „ekstremizmowi".

Wysłanie Penga do byłej kolonii brytyjskiej to kolejna nominacja na kluczowe stanowisko w Hongkongu dla komunistycznego urzędnika mającego duże doświadczenie w chińskim aparacie represji.

W styczniu 2020 roku na stanowisko szefa biura łącznikowego Chin w Hongkongu wybrano Luo Huininga, nazywanego rzeźnikiem Tybetańczyków. Luo jako sekretarz KPCh w prowincji Qinghai (graniczącej z Tybetem, gdzie Tybetańczycy stanowią około 20 proc. populacji) zasłynął z forsowania bardzo rygorystycznej polityki wobec mniejszości tybetańskiej. W lutym 2020 roku dyrektorem Biura ds. Hongkongu i Makao został Xia Baolong, znany z prowadzenia kampanii przeciwko Kościołom chrześcijańskim w prowincji Zhejiang. Dodatkowo, w następstwie dużych protestów antyrządowych w 2019 roku, kluczowe stanowiska rządowe w Hongkongu otrzymali byli zawodowi policjanci.

W wypowiedzi dla hongkońskiej gazety „South China Morning Post" Andrei Chang, redaktor naczelny kanadyjskiego magazynu wojskowego „Kanwa Asian Defence", zauważył też, że w 2019 roku „garnizon w Hongkongu nabył wiele broni i sprzętu antyterrorystycznego służącego do zwalczania antyrządowych protestów". Według Changa nominacja Penga jest wyrazem obawy KPCh przed potencjalnymi zamieszkami w Hongkongu i przed przekształceniem się nastrojów antyrządowych w większe niepokoje społeczne.

Japonia

Zaniepokojona działaniami Chin w regionie Indo-Pacyfiku, a zwłaszcza możliwością konfliktu o Tajwan, Japonia zacieśnia współpracę wojskową z USA i Australią. 7 stycznia doszło do wirtualnego spotkania ministrów spraw zagranicznych i obrony Japonii i Stanów Zjednoczonych, na którym podkreślono znaczenie amerykańsko-japońskiego sojuszu w obliczu rosnącego zagrożenia ze strony Chin. Oba kraje osiągnęły też porozumienie w sprawie nowej pięcioletniej umowy dotyczącej podziału kosztów amerykańskiej obecności wojskowej w Japonii i zapowiedziały podpisanie umowy w sprawie badań i rozwoju technologii związanych z obronnością, w tym sposobów przeciwdziałania zagrożeniom ze strony broni hipersonicznej. We wspólnym oświadczeniu przedstawiciele Japonii i USA wyrazili obawy wobec chińskich wysiłków „podważenia porządku opartego na zasadach", co stanowi „wyzwania polityczne, gospodarcze, militarne i technologiczne dla regionu i świata". Ministrowie powiedzieli również, że mają „poważne i ciągłe obawy" dotyczące łamania praw człowieka w chińskiej prowincji Xinjiang i w Hongkongu, oraz podkreślili

eprasa.pl 14a99e893b

znaczenie pokoju i stabilności w Cieśninie Tajwańskiej.

Dzień przed spotkaniem z amerykańską delegacją, Tokio podpisało pakt o współpracy w dziedzinie obronności z Australią. Porozumienie o wzajemnym dostępie (RAA), pierwsze, jakie Japonia podpisała z jakimkolwiek krajem, pozwoli australijskim i japońskim siłom zbrojnym na współpracę w operacjach obronnych i humanitarnych. Według Malcolma Davisa, analityka think tanku Australian Strategic Policy Institute, nowy pakt obronny Australii i Japonii to mocny sygnał dla Chin, że oba kraje będą ściśle współpracować, aby zapewnić stabilność w regionie Indo-Pacyfiku.

Przed spotkaniami Tokio z Waszyngtonem i Canberrą, japońska agencja Kyodo podała, że USA i Japonia uzgodniły wstępny plan na wypadek sytuacji kryzysowej na Tajwanie. Projekt zakłada, że amerykański Korpus Piechoty Morskiej przy wsparciu armii japońskiej (tzw. Sił Samoobrony) założy bazę na jednej z wysp Nansei-Riukiu, łańcuchu archipelagów wysuniętym w kierunku południowo-zachodnim, najdalszym krańcem niemal dotykający Tajwanu. Najbliższa mu japońska wysepka, Yonaguni, jest położona w odległości 170 km i prawdopodobnie tu ulokowano by bazę wojska USA i system HIMARS (High Mobility Artillery Rocket System), czyli samobieżną, wieloprowadnicową wyrzutnię rakiet na podwoziu kołowym. HIMARS znajduje się na uzbrojeniu US Army, US Marine Corps i US National Guard, a także został zakupiony przez sześć innych państw, w tym: Jordanię, Polskę, Rumunię, Singapur i Zjednoczone Emiraty Arabskie. W czerwcu 2021 roku umowę na zakup HIMARS wraz z systemami obrony wybrzeża Harpoon podpisał również Tajwan.

▶ Korea Północna

Była żołnierz północnokoreańskiej armii, która uciekła z kraju rządzonego przez Kim Dzong Una i obecnie mieszka w USA, zeznając przed amerykańską organizacją pozarządową – Komisją ds. praw człowieka w Korei Płn. (HRNK) – opisała, jak traktowane są kobiety w armii w KRLD. Występująca jako Jennifer Kim kobieta przyznała, że 70 proc. jej rodaczek w armii jest ofiarami napaści na tle seksualnym lub molestowania seksualnego. Sama Kim zgwałcona została w wieku 23 lat przez politycznego doradcę w wojsku. Kobieta usłyszała, że jeśli nie podda się jego zachciankom, to nie będzie mogła zostać członkiem komunistycznej Partii Pracy Korei, a jeśli wróci do społeczeństwa bez możliwości wstąpienia do partii, to będzie postrzegana jako osoba z problemami i będzie napiętnowana do końca życia. „To znaczy, że nie będziesz w stanie znaleźć dobrej pracy i będą problemy, gdy będziesz próbować wyjść za mąż. Co mogłam wybrać?" – zeznała była północnokoreańska żołnierz. Po pewnym czasie okazało się, że jest w ciąży, i gdy powiedziała o tym sprawcy gwałtu, ten odesłał ją do gabinetu lekarskiego. Tam poddana została aborcji bez znieczulenia. „Z powodu tego doświadczenia nie tylko nadal zmagam się psychicznie, lecz także nie mogę mieć dzieci. Więc nawet teraz trudno mi stworzyć dobry związek. Wstyd, który wtedy czułam, wciąż mnie prześladuje i nadal będzie" – mówiła.

Według Kim, kobiety służące w armii Korei Płn. muszą używać przemoczonych onuc jako podpasek i znosić okrutne i często zbiorowe kary. Jedną z nich jest zanurzanie rąk w lodowatej wodzie, a następnie zwisanie z żelaznego pręta, który przymarzając do dłoni, powoduje oderwanie skóry po uwolnieniu. Kobiety-żołnierze są też zmuszone przeżyć na trzech łyżkach kukurydzy dziennie. „Podczas jedzenia liczyłam każde ziarno kukurydzy, żebym mogła dłużej wytrzymać" – powiedziała Jennifer. Wiele z kobiet kradło, by przeżyć.

Greg Scarlatoiu, dyrektor wykonawczy HRNK, powiedział, że znęcanie się nad kobietami odbywa się we wszystkich warstwach północnokoreańskiego społeczeństwa. „Kobiety-żołnierze Korei Północnej są poddawane nieustannym nadużyciom, niedożywieniu, okrutnym karom, molestowaniu seksualnemu i napaściom seksualnym. Ich tragiczna sytuacja uosabia kryminalną trajektorię reżimu ustanowionego ponad 73 lata temu, rzekomo w celu stworzenia sprawiedliwego społeczeństwa. Dzisiaj temu reżimowi zależy tylko na zachowaniu władzy. Znęca się i wykorzystuje ludność Korei Północnej, aby zapewnić sobie przetrwanie" – stwierdził Scarlatoiu.

Pod koniec 2021 roku serwis Daily NK opisał historię innej północnokoreańskiej żołnierz, która w wyniku licznych napaści seksualnych ze strony jej przełożonych próbowała popełnić samobójstwo. Po każdym gwałcie kobieta informowała odpowiednie władze o krzywdzie, jaka ją spotkała, ale żaden z jej oprawców nie został ukarany. Nawet ich nie przeniesiono do innych jednostek. Ostatecznie, gdy kobieta przeżyła próbę samobójczą, zwolniono ją ze służby, a całe wydarzenie zostało zatuszowane.

Od 2015 roku służba wojskowa w Korei Płn. dla kobiet w wieku od 17 do 20 lat jest obowiązkowa. Powodem tego dodatkowego poboru jest wysoka śmiertelność dzieci i niski wskaźnik urodzeń spowodowane głodem w latach 1994–1998. Zmuszając młode kobiety do służby wojskowej, władze KRLD chcą uzupełnić niedobór w liczbie żołnierzy.

Wprowadzone w 2015 roku nowe prawo poboru wywołało duże zaniepokojenie opinii publicznej w Korei Płn., gdzie kobiety są często głównymi żywicielami rodziny. ■

eprasa.pl 14a99e893b

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Zawirowania w Kazachstanie zwiastują koniec ery Nazarbajewa

Protesty w Kazachstanie pokazały, że obecny model rządów rozgniewał miliony ludzi, którzy zostali pominięci przy przysłowiowym dzieleniu tortu z zasobami naturalnymi. Jednak model ten jest tak nieodłączną częścią struktury gospodarczej i politycznej kraju, że kierownictwo raczej nie jest w stanie go zmienić, nawet gdyby prezydent Tokajew chciał to zrobić – piszą Aleksandr Gabujew i Temur Umarow w analizie opublikowanej na stronie think tanku Carnegie Moscow Center 10 stycznia 2022 roku.

Jeszcze w ubiegłym roku Kazachstan był uważany za postępową autokrację: wręcz wzór dla innych byłych republik sowieckich. Model transformacji władzy wprowadzony tam w 2019 roku wzbudził żywe zainteresowanie Moskwy. Zaledwie kilka dni po rozpoczęciu roku 2022 to wszystko się zmieniło. Co najmniej 164 osoby zginęły w najgorszych masowych zamieszkach, jakie miały miejsce w tym kraju od czasu uzyskania niepodległości po upadku ZSRS, a rządzący reżim został zmuszony do zwrócenia się o pomoc do Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ), czyli do Rosji. W chaosie rozgrywających się wydarzeń nie da się ustalić niektórych ważnych szczegółów, ale jedno jest pewne: era kontroli byłego prezydenta Nursułtana Nazarbajewa nad Kazachstanem dobiegła końca.

Kryzys rozpoczął się na początku roku od protestów w zachodnim Kazachstanie przeciwko cenom paliwa, które wzrosły dwukrotnie po zniesieniu rządowego limitu cenowego. Od 3 stycznia, w ciągu zaledwie 24 godzin, protesty rozprzestrzeniły się – przy pomocy mediów społecznościowych – na cały kraj, wywołując eksplozję ogólnego niezadowolenia. Przyczyną obecnych protestów jest fakt, że w ciągu ostatnich dwóch lat dobrobyt materialny wielu Kazachów wyraźnie się pogorszył. Inflacja wzrosła do 8,9 proc. w 2021 roku z 7,5 proc. w 2020 roku. W przypadku artykułów spożywczych była ona jeszcze wyższa: 11,3 proc. w 2020 roku i 10,9 proc. w pierwszych jedenastu miesiącach 2021 roku. W 2020 roku rekordowo wzrosła kwota pożyczek zaciągniętych na cele osobiste – o 12,3 proc. w stosunku do roku poprzedniego.

Pandemia mocno uderzyła w kazachstański rynek pracy. Według sondażu Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, oficjalna stopa bezrobocia w 2021 roku wzrosła o 12 procent. Najbardziej ucierpieli młodzi mężczyźni (średnia wieku w Kazachstanie nie przekracza 32 lat), którzy przenoszą się do dużych miast z prowincji w poszukiwaniu pracy. Wielu z nich straciło znaczną część swoich dochodów z powodu ścisłych blokad nałożonych w związku z pandemią. Jednocześnie spadek cen ropy naftowej w pierwszej połowie 2020 roku wpłynął na dochody budżetowe, co oznacza, że możliwości rządu w zakresie gaszenia tlącego się

eprasa.pl 14a99e893b

niezadowolenia poprzez wyrzucanie pieniędzy w błoto również były ograniczone.

Przemoc w Ałmaty

Najpopularniejszym celem dla migrujących za pracą Kazachów, poza stolicą Nur-Sułtan, jest dawna stolica Ałmaty. Nie jest więc zaskakujące, że Ałmaty stało się centrum protestów. Z ponad 1300 demonstracji, które odbyły się w Kazachstanie od 2018 do czerwca 2021 roku, większość miała miejsce w Ałmaty. W mieście tym odnotowano również wzrost przestępczości, która od 2007 do 2017 roku wzrosła czterokrotnie. Duża liczba sfrustrowanych młodych mężczyzn, którzy nie mają nic do stracenia, jest najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem tego, jak szybko protesty się zradykalizowały i nabrały gwałtownego charakteru. Protestujący starli się z organami ścigania i zaczęły się grabieże, podsycane tanim alkoholem spożywanym podczas świętowania Nowego Roku i najwyraźniej dokonywane głównie przez rozwydrzonych i zubożałych młodych mężczyzn z miasta, a także z lokalnych wsi i małych miasteczek w południowym Kazachstanie.

Tłum w Ałmaty rabował sklepy z bronią i supermarkety, napadał na bankomaty, palił samochody i zajmował opancerzone pojazdy wojskowe. Szturmowano także budynek administracji lokalnej, prokuraturę, budynek Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego, studia telewizyjne i inne obiekty, z których wiele zostało splądrowanych lub spalonych. Przez kilka godzin okupowano również lotnisko w Ałmaty. Dotychczasowe dowody sugerują, że uzbrojeni protestujący nie mieli żadnych celów strategicznych poza chaosem i grabieżą: budynki administracyjne zostały spalone i splądrowane, ale nikt nie próbował ich potem utrzymać. Nie wysunięto też żadnych żądań politycznych. Kluczowy jest tu brak scentralizowanego przywództwa wielu gangów i brak programu politycznego innego niż chaos, ale pewną rolę odegrały również dziesięciolecia tłumienia przez rząd Kazachstanu prawdziwej opozycji.

Prezydent Kasym-Żomart Tokajew w swoim orędziu narodowym 7 stycznia i podczas wirtualnego szczytu OUBZ 10 stycznia stwierdził, że działania „terrorystów i bandytów" są częścią próby zamachu stanu i że stoją za nimi wrogie siły zagraniczne, choć nie wskazał na żadne konkretne kraje. Zapowiedziano już powołanie komisji do zbadania wydarzeń, która jednak prawdopodobnie nie będzie w stanie udzielić obiektywnej odpowiedzi na pytanie, czy protesty były całkowicie spontaniczne, czy też miały organizatorów w kraju lub za granicą. Prezydent już w swoim przemówieniu, oskarżając obce siły o koordynowanie protestów, uprzedził wyniki śledztwa. Jest oczywiste, że wyniki komisji będą odpowiadać reżimowi, a dokładniej samemu Tokajewowi, którego rola w systemie władzy Kazachstanu zmieniła się w ciągu ostatniego tygodnia, a także tym przywódcom aparatu bezpieczeństwa, którzy mogą teraz zrzucić winę za własne niepowodzenia na potężnych wrogów wewnętrznych i ich zagranicznych popleczników.

Koniec tandemu

Sytuacja w Kazachstanie może się jeszcze zmieniać w różnych kierunkach, ale na razie wygląda na to, że największym wygranym obecnego kryzysu jest prezydent Tokajew. Do niedawna był on młodszym partnerem w rządzącym Kazachstanem tandemie, w którym liderem był jego poprzednik Nursułtan Nazarbajew, rządzący krajem od uzyskania niepodległości przez blisko 30 lat. 68-letni Tokajew znalazł się na szczycie oficjalnej piramidy władzy w Kazachstanie w 2019 roku w wyniku operacji zmiany władzy, przeprowadzonej przez 81-letniego Nazarbajewa krótko po śmierci prezydenta sąsiedniego Uzbekistanu Islama Karimowa w 2016 roku. Przekonawszy się na własnej skórze, co nagła śmierć autorytarnego przywódcy może oznaczać dla jego spuścizny i rodziny (jedna z córek Karimowa, Gulnara, została aresztowana jeszcze za życia ojca i odbywa długoletni wyrok więzienia, druga zaś pozbyła się wszystkich większych aktywów w Uzbekistanie i wyjechała), Nazarbajew zaczął przygotowywać się do kontrolowanego przekazania władzy. Pierwszym krokiem było mianowanie Karyma Masymowa, najbardziej zaufanego członka swojej ekipy, który wcześniej kierował rządem i administracją prezydencką, szefem Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego (KNB), najpotężniejszej służby bezpieczeństwa w kraju.

Pomimo zaufania Nazarbajewa, Masymow nie mógł być pretendentem do roli jego następcy ze względu na uprzedzenia wobec niego – w oczach opinii publicznej Masymow jest Ujgurem, a nie w pełni etnicznym Kazachem. Został on więc wybrany jako idealny kandydat do nadzorowania zmiany władzy ze szczytu KNB. Po długich wahaniach Nazarbajew wybrał na swojego następcę Tokajewa, lojalnego dyplomatę. Spędziwszy wiele lat za granicą, Tokajew nie miał własnego zaplecza w strukturach władzy, ludzi, którzy mogliby stano-

eprasa.pl 14a99e893b

wić zagrożenie dla Nazarbajewa. Po tym, jak Nazarbajew zaszokował naród, ustępując z urzędu prezydenta w 2019 roku, zachował kontrolę nad formalną i nieformalną dźwignią władzy. Ustawa o statusie pierwszego prezydenta postsowieckiego Kazachstanu gwarantowała mu osobiste bezpieczeństwo, a jako przewodniczący Rady Bezpieczeństwa zachował ogromną władzę: mógł skutecznie nie tylko wyznaczać strategiczny kurs kraju, lecz także zawetować wiele decyzji swojego następcy. Wpływ Nazarbajewa został wzmocniony przez Masymowa, który stał na czele KNB, oraz przez grono innych jego protegowanych na innych kluczowych stanowiskach władzy. Wydawało się, że tandem rządzący w Kazachstanie działa bez żadnych kryzysów: przynajmniej żadnych dostrzegalnych dla zewnętrznych obserwatorów, chociaż osoby wtajemniczone donosiły o rosnących napięciach między gabinetami obu przywódców. Zdrowie Nazarbajewa było kluczowym czynnikiem w dynamice władzy tego tandemu. W miarę jak stan zdrowia pierwszego prezydenta zaczął się pogarszać, władza i kontrola Tokajewa nad krajową biurokracją zaczęły rosnąć. W ciągu ostatnich dwóch lat, zwłaszcza od początku pandemii *covid*, Nazarbajew sporadycznie pojawiał się publicznie i był wyraźnie osłabiony.

Protesty dały Tokajewowi nagłą okazję do rozbicia filarów systemu podwójnej władzy. Najpierw zwolnił cały rząd, na czele którego stanął Askar Mamin, człowiek wagi ciężkiej z czasów Nazarbajewa. Następnie Tokajew ogłosił, że od tej pory to on, a nie były prezydent, będzie przewodniczył Radzie Bezpieczeństwa (tydzień później sekretarz prasowy Nazarbajewa powiedział, że były prezydent autoryzował ten ruch, aby w nadzwyczajnych warunkach dać Tokajewowi pełną kontrolę). Ostateczny cios został zadany 5 stycznia, kiedy Masymow został zwolniony z obowiązków i zastąpiony przez Jermeka Sagimbajewa, który do lata ubiegłego roku kierował ochroną Tokajewa. Potem Masymow został aresztowany i oficjalnie oskarżony o zdradę stanu. Prokuratorzy przygotowują akt oskarżenia przeciwko byłemu „carowi bezpieczeństwa" za rzekome zorganizowanie próby przejęcia władzy i obalenia Tokajewa. Jeśli reżim zdecyduje się postawić Masymowa przed sądem za rzekomy zamach stanu, pomimo jego dość nielogicznego i nieortodoksyjnego charakteru (większość prawdziwych prób przejęcia władzy przez szefów służb bezpieczeństwa zaczyna się i kończy w stolicy eliminacją dotychczasowego przywódcy), rządowi łatwo będzie udowodnić jego winę, ponieważ wszystkie sądy są częścią pionu władzy.

Jednak fakt, że Tokajew może okazać się największym beneficjentem obecnego kryzysu, nie oznacza, że to on za nim stoi. Bardziej prawdopodobne jest to, że prezydent po prostu wykorzystał nagłą okazję do skonsolidowania władzy w swoich rękach. Jedną z oznak, że obecny kryzys był dla reżimu nieoczekiwany, jest decyzja Tokajewa o zwróceniu się o pomoc w przywróceniu porządku do sojuszników Kazachstanu w ramach OUBZ, przede wszystkim do Rosji.

▶ Reforma bez zmiany?

Władze Kazachstanu w widoczny sposób nie były w stanie samodzielnie powstrzymać zamieszek w dużych miastach. Początkowy kryzys bezpieczeństwa w Ałmaty i innych miastach południowych, który obnażył nieudolność kazachskich służb bezpieczeństwa i słabą koordynację między nimi, najprawdopodobniej został zaostrzony przez okres świąt noworocznych, ponieważ wielu urzędników i dowódców służb bezpieczeństwa przebywało na zagranicznych wakacjach lub wracało do zdrowia po świętach w kraju. Nie powinno być zaskoczeniem, że reżim zrzucił winę za zamieszki na „terrorystów". Takie sformułowanie pozwoliło Tokajewowi zwrócić się o pomoc do OUBZ, której kompetencje nie obejmują konfliktów czysto wewnętrznych. Sojusz zgodził się pomóc w nocy 5 stycznia, a już kilka godzin później do Kazachstanu zaczęły przylatywać pierwsze samoloty z rosyjskimi, białoruskimi, tadżyckimi i ormiańskimi siłami pokojowymi.

Zwrócenie się o pomoc z zewnątrz w rozwiązaniu konfliktu, który w istocie jest konfliktem wewnętrznym, było ryzykownym posunięciem. W Kazachstanie z każdym rokiem rosną nastroje nacjonalistyczne. Wrogowie prezydenta mogą przedstawić zaproszenie wojsk rosyjskich jako próbę wykorzystania przez Tokajewa obcych sił zbrojnych do utrzymania władzy. Takie oskarżenia już pojawiają się zarówno w Kazachstanie, jak i w diasporze kazachskiej w Rosji. Co dokładnie skłoniło Tokajewa do podjęcia tak ryzykownego kroku, pozostaje w sferze domysłów. Możliwe, że prezydent, patrząc na zdemoralizowaną armię i policjantów, zaczął wątpić w to, że ma wystarczająco dużo lojalnych siłowików, czyli funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, aby przywrócić porządek, zwłaszcza w sytuacji zmiany kierownictwa w aparacie bezpieczeństwa. W tym kontekście zwrócenie się o pomoc do OUBZ wydaje się mniejszym ryzykiem niż utrata kontroli nad Ałmaty i innymi dużymi miastami.

eprasa.pl 14a99e893b

Po początkowym wybuchu niepokojów tłumy protestujących wyraźnie zmalały, ponieważ wielu ludzi zamknęło się w domach, przestraszonych przemocą. Do wieczora 5 stycznia rząd odzyskał kontrolę nad kluczowymi miejscami w kraju i przeprowadzał ukierunkowane operacje w Ałmaty i innych głównych ośrodkach zbrojnych zamieszek. Wygląda na to, że siłowicy Kazachstanu mogli odzyskiwać kontrolę nad krajem z minimalną pomocą swoich kolegów z OUBZ, którzy zostali rozmieszczeni w celu pełnienia roli wspierającej, polegającej na patrolowaniu i ochronie, a nie wymianie ognia z buntownikami. Zresztą dość szybko zaczęli oni być wycofywani do swych krajów, wraz z szybkim opanowaniem sytuacji. W takim przypadku zarówno Tokajew, jak i Moskwa wyjdą na tym jako zwycięzcy. Prezydent pokaże mieszkańcom, elitom i sąsiadom Kazachstanu, że potrafi budować pragmatyczne relacje z Kremlem, które pozwalają nie tylko zwracać się o pomoc do rosyjskich siłowików, lecz także odsyłać ich, gdy nie są już potrzebni.

Moskwa ze swej strony upiecze kilka pieczeni na jednym ogniu. Po pierwsze, pomoże zachować przyjazny reżim w Kazachstanie: jest to kluczowy cel rosyjskiej polityki zagranicznej, który należy osiągnąć za wszelką cenę. Po drugie, wzmocni autorytet OUBZ, który został nadszarpnięty przez ostatnie wydarzenia w Kirgistanie i Górskim Karabachu. Jeszcze niedawno wielu uważało, że organizacja i jej wspólne siły szybkiego reagowania istnieją tylko na papierze. Teraz pokazała, że w razie potrzeby może podjąć działania. A wielostronna operacja pokojowa wygląda nawet lepiej, niż gdyby wojska rosyjskie musiały interweniować na własną rękę. Wreszcie, udana operacja pokaże, że tylko Rosja może odgrywać rolę zewnętrznego gwaranta bezpieczeństwa w Azji Środkowej, i że nie zmienią tego ani wizyty amerykańskich generałów w regionie, ani chińskie placówki w głębi Tadżykistanu.

Jeśli chodzi o sam Kazachstan, to głównym skutkiem obecnych wydarzeń, niezależnie od tego, co jeszcze się wydarzy, będzie koniec długiego panowania Nazarbajewa. Jak na razie dwa ważne aspekty jego spuścizny są jasne. Po pierwsze i najważniejsze, system, który zbudował, umożliwił utrzymanie mniej lub bardziej skonsolidowanej elity, pomimo nieuniknionej walki o władzę i pieniądze. Za rządów Nazarbajewa nie brakowało oczywiście konfliktów: jego były zięć Rachat Alijew poróżnił się z prezydentem i zmarł w tajemniczych okolicznościach w celi wiedeńskiego więzienia. Jednak obecnie wojna na śmierć i życie wydaje się mniej prawdopodobna niż stosunkowo płynne przejście od systemu, w którego centrum znajdował się Nazarbajew, do systemu, który obraca się wokół Tokajewa. Na razie wygląda na to, że jedyną polityczną ofiarą tych wydarzeń będzie Masymow i jego otoczenie, którzy staną się kozłami ofiarnymi najbardziej gwałtownego kryzysu bezpieczeństwa w najnowszej historii Kazachstanu. Krewni Nazarbajewa nadal są częścią krajobrazu politycznego, choć ich rola będzie się prawdopodobnie stopniowo zmniejszać wraz z władzą ich patrona.

Przyczyną obecnych protestów w Kazachstanie jest fakt, że w ciągu ostatnich dwóch lat dobrobyt materialny wielu Kazachów wyraźnie się pogorszył.

Drugim aspektem spuścizny Nazarbajewa, który ujawniły protesty, jest fakt, że obecny model rządzenia w Kazachstanie ma wiele wad, które rozwścieczyły miliony ludzi, którzy zostali pominięci przy podziale tortu z zasobami. Model ten jest jednak tak mocno wpleciony w strukturę gospodarki i życia politycznego kraju, że nowy rząd raczej nie będzie w stanie go zmienić, jeśli prezydent Tokajew będzie tego chciał. Jest jednak mało prawdopodobne, aby nowe kierownictwo Kazachstanu miało takie ambicje: silna, scentralizowana władza jest postrzegana jako filar narodu, którego zburzenie doprowadziłoby najpierw do sytuacji podobnej do tej w sąsiednim Kirgistanie, a w dalszej perspektywie do upadku kraju. Na przestrzeni postradzieckiej doświadczenie pokazało, że protesty, takie jak te trwające obecnie w Kazachstanie, nie prowadzą do reform, lecz do stłumienia ich przez reżim, tak jak to miało miejsce w Rosji i na Białorusi. Tokajew już zobowiązał się do pociągnięcia do odpowiedzialności nie tylko domniemanych terrorystów, lecz także tych spośród działaczy liberalnych i (na razie) niezależnych mediów, którzy rzekomo podżegali do zamieszek. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Marcin Wolski

SZTUKA APOSTAZJI

Nie ma co ukrywać, problem istnieje, jest przykry, kłopotliwy, bolesny. Apostaci są wśród nas. Ludzie, którzy mogli być i nawet byli chlubą prawicy, a z bliżej niejasnego powodu przeskoczyli na drugą stronę barykady, stając się często najgorliwszymi wrogami niedawnych przyjaciół. I żeby było jasne, nie są to przemieszczenia w ramach jednego zespołu wartości, o parę czy kilkanaście procent, tylko prawie zawsze o 180 stopni.

Rodzi się oczywiście pytanie, na ile zmiana owa jest wynikiem duchowego przełomu w rodzaju: Gustaw dokonał coming outu, ogłaszając się Konradem, a na ile kunktatorskim wyborem korzystniejszej opcji? Dalsze pytanie: kiedy omawiani odstępcy byli prawdziwi – wczoraj, dzisiaj, a może będą dopiero pojutrze – jest bardziej skomplikowane. Trudno przecież uwierzyć, że nigdy nie mieli żadnych poglądów, tylko w „supermarkecie idei" brali akurat to, co im podeszło pod rękę.

Alfa był świetnym publicystą. Mistrzem słowa, precyzyjnym, a zarazem zrozumiałym, na jego wieczory autorskie ściągała cała śmietanka ówczesnej prawicowej elity cieszącej się z posiadania autentycznego inteligenta, mogącego stawać w szranki i wygrywać z celebrytami Salonu.

Podobnie było z Betą – prawdziwym krasomówcą, mistrzem ciętej riposty, potrafiącym argumentować w najtrudniejszych sytuacjach. W dodatku jego oddanie dla sprawy, fizyczna wręcz odraza wyrażająca się wobec przeciwników z lewa, predestynowała go na same wyżyny politycznego Parnasu (wdrapie się tam, ale za pomocą windy z lewej strony). Obserwując go dziś, nie mogę uwierzyć, że jest to ten sam człowiek, który w stanie pijackiego zauroczenia przekonywał mnie, że właściciel kota Busia jest największym mężem stanu, jaki nam się przytrafił od czasów Stefana Batorego, i sama możliwość oddychania z nim tym samym powietrzem jest prawdziwą rozkoszą.

Gamma z kolei to młody, utalentowany pisarz, który szybko zyskał status prawicowej gwiazdy. Penetrował tematy trudne, niechciane i w odróżnieniu od innych słusznych literatów opanował naprawdę znakomicie technikę pisarską. Potem coś się w nim zmieniło. Przeszedł do tematów peryferyjnych, zaczął szokować odmiennością i w końcu wylądował w Salonie, którym na początku swej drogi gardził.

We wszystkich przypadkach jawi się pytanie o powód ich konwersji. Czy byli doceniani? Byli! Cierpieli niedostatek? Skądże znowu. A więc skąd decyzja? Można domniemywać, że mogło ich coś urazić, rzecz na prawicy nierzadka, że w którymś momencie poczuli się niedocenieni, odtrąceni. Tyle że człowiek nawet skrzywdzony może obrazić się na konkretnych ludzi, nie na idee! Bronisław Wildstein po utracie prezesury telewizji nie przystąpił do klubu „Gazety Wyborczej", a Ziemkiewicz, nawet gdy uznał, że nie jest mu po drodze z TVP, nie załatwił sobie okienka w TVN-ie.

Apostaci widocznie zapomnieli o starej zasadzie, że lepiej być pierwszym w Syrakuzach niż setnym w Rzymie.

Za to Alfa, Beta i Gamma...? Wydaje się, że ich wybór wynikł przede wszystkim z pychy, owej pramatki wszystkich grzechów. Kiedy osiągnęli na prawicy wszystko, co mogli, zamarzyło im się więcej. Nagroda Mackiewicza nie jest przepustką do Nobla, Nike – zdecydowanie prędzej! A jeśli chce się wyjść z getta, trzeba zdradzić getto rytualnie, niczym Holendrzy pragnący handlować z Japończykami, podeptać krzyż.

Apostaci widocznie zapomnieli o starej zasadzie, że lepiej być pierwszym w Syrakuzach niż setnym w Rzymie. Czy mają dziś więcej, niż mieli? Na pewno mniej, niż mogliby mieć. O stracie twarzy już nie wspomnę. ■

eprasa.pl 14a99e893b

Tomasz Sakiewicz

Złe skutki zaniedbywania psychologii

Wydawało się, że próba podziału żelaznego elektoratu PiS-u jest niemal niemożliwa. Po tragedii smoleńskiej przeszedł on próbę ognia i było bardzo trudno rozbić zahartowane w boju środowisko. Nie działały na niego ani propaganda TVN, „Wyborczej" czy Onetu, ani akcje internetowe sponsorowane przez liberalne ośrodki. Pewne rysy pojawiły się po wybuchu wojny na Ukrainie. W interesie Polski była suwerenność Ukrainy i niedopuszczenie, by realna granica z Rosją rozciągała się od Bałtyku aż do Słowacji. Moskwa bardzo skutecznie rozegrała nierozliczone sprawy mordów nacjonalistów ukraińskich na Polakach. Emocje z tym związane spowodowały pęknięcia w twardym elektoracie patriotycznym, którego część pochodziła z Kresów i miała jeszcze w pamięci okrucieństwo tamtych czasów. Drugą rysą była kwestia majątku pożydowskiego na terenie Polski. Absurdalne żądania zwrotu mienia, które miało być przekazane organizacjom niemającym nic wspólnego z byłymi właścicielami, stały się doskonałym paliwem politycznym do skłócania nas z naszym najważniejszym sojusznikiem, i to w czasie rządów Donalda Trumpa. Mającą jedynie symboliczne znaczenie uchwałę amerykańskiego senatu podniesiono do rangi uderzenia ekonomicznego w Polskę. Przez wiele miesięcy ta sprawa, skutecznie zresztą podgrzewana przez środowiska prorosyjskie, dzieliła prawicowy elektorat.

Jednak prawdziwy problem pojawił się wraz z wybuchem epidemii COVID-19. Polacy w pierwszych miesiącach zarazy niemal wzorowo podporządkowali się zaleceniom władzy. Działo się tak mimo ograniczonej wiedzy i konieczności częstego zmieniania strategii wraz z poszerzaniem doświadczeń płynących z walki z chorobą. Kryzys nastąpił na jesieni 2020 roku. Skuteczny atak opozycji na ministra Szumowskiego, zmęczenie, niepewność i ciągły stres zrobiły swoje. Apele władzy zaczęły trafiać na realny opór. Ludzie mniej ufali poleceniom, a coraz chętniej zaczęli skłaniać się ku różnego typu spiskowym teoriom, które czasem były nawet osadzone na prawdziwych faktach, ale prezentowano je w kompletnie nieprzystających do rzeczywistości proporcjach. Na takie zmęczenie społeczne trafiła rozpoczęta na początku ubiegłego roku akcja szczepień.

Już na jesieni 2020 roku nawoływałem do zmiany sposobu narracji w walce z epidemią. Trzeba było więcej mówić o emocjach i towarzyszących im mechanizmach obronnych. To właśnie tego typu emocje nakłaniają ludzi, często nawet wykształconych i oczytanych, do przyjmowania postaw nieracjonalnych. Nie da się tego zupełnie zwalczyć, ale można ograniczyć skutki działania różnych manipulatorów i cyników, chcących coś na tym ugrać. Mam wrażenie, że nikt z decydentów nie zrozumiał, o co mi chodzi. Efekty tego widzimy dzisiaj. Spora grupa ludzi przyjęła jako najuczciwszą propagandę osób, które postanowiły nakłaniać do nieprzyjmowania szczepionek. Nie jest to oczywiście większość, ale wystarczająco dużo, by epidemia szerzyła się całkiem mocno (nie oznacza to, że gdyby zdecydowana większość się zaszczepiła, pandemia przestałaby się szerzyć, ale można by było bardziej ograniczyć jej skutki). Innym zupełnie fatalnym efektem tego wyłomu jest kolejny silny podział w społeczeństwie, a szczególnie w twardym elektoracie patriotycznym. Boleję nad ludźmi, którzy umierają, bo wielu z nich znałem. Boleję też nad bardzo silnym podziałem wśród tych, którzy są wielkimi patriotami. Zapomnieliśmy, że każda epidemia rozwija się z dwóch powodów: wirusa i zachowań ludzi. Na wirusa mamy szczepionki, ale o psychologię zadbaliśmy słabo. Dlatego zaraza ciągle wygrywa. ■

eprasa.pl 14a99e893b

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce

niezalezna.pl

eprasa.pl 14a99e893b